Proletariusze wszystkich krajów, łączcie się!

NOWA KULTURA

TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

Cena 1 zł — 12 stron | Warszawa, 13 lipca 1952 r. | Nr 28 (120) Rok III

Spotkanie z życiem

W upalną czerwcową niedzielę jechałem na zjazd; autobus był natłoczony, wszyscy wybierali się poza miasto. Jakiś chłopiec w harcerskim mundurku wiózł zaskrońca, który wychylał łebek z dwoma jasnymi plamkami w kształcie słonecznikowych pestek. Obok mężczyzna pilnował dziecinnego wózka, a spod poduszeczki w niebieskie groszki wystawał ostatni numer „Nowych Dróg".

Gmach Rady Państwa zatłoczony był niczym autobus. Pełen niecierpliwości, z niejakim lękiem oczekiwałem podniecony spotkania z człowiekiem, którego chciałem poznać. Nie był mi obcy, znałem bowiem jego listy, wytrwałą i skrupulatną kronikę wydarzeń jego wsi. Był listonoszem wiejskim, agitatorem, a zarazem sekretarzem organizacji gromadzkiej, o tym wszystkim wiedziałem z jego listów, kiedy śledziłem w nich przebieg przemian gromady Grabowo Pomorskie, w gminie Nowa Karczma, pow. kościerskiego. Interesował mnie ten człowiek tym więcej, że pisałem o nim, właściwie nie tyle o nim, ile o jego pracy. „Pisać zawsze będę prawdę!" — deklarował on w jednym ze swoich listów. Prawda oddycha spokojnie, powiedział Szekspir, tak, oddycha spokojnie, ale nie w latach walki. Wtedy jej tętno jest przyspieszone jak oddech człowieka, któremu za mało powietrza. Kiedy walka o przyszłość stanowi prawdę naszych dni, ten pozostanie spokojny, kto ma świadomość, że tę walkę wygrywa.

Władysław Patoka na zjeździe nie przemawiał. Siedział spokojny, pewny siebie i swoich zadań! Rola korespondenta jest nie byle jaka, jeśli weźmiemy pod uwagę, że w 1919 r. z prasą współpracowała 9-tysięczna armia korespondentów robotniczych i chłopskich, a w 1951 r. liczba ta wzrosła do 20 tysięcy. W 1951 r. do redakcji pism i radia nadeszło ze wsi około 250 tysięcy listów. Zapobiegając szkodnictwu gospodarczemu czy społecznemu, biurokracji czy marnotrawstwu, korespondencje te torowały drogę nowemu życiu.

„Kiedy mowa o roli korespondenta — powiedział Ludwik Maj z Podhala, korespondent „Wsi" — uważam, że nie zawsze trzeba pisać do prasy centralnej. W 1947 roku napisałem do „Chłopskiej Drogi" o sklepowym, który żerował na spółdzielcach. Podałem fakty i odniosło to natychmiastowy skutek, winni ponieśli karę. Ale z tej korespondencji nie byłem zadowolony, bo nie przeciwdziałałem na miejscu, nie przyłożyłem rąk, aby usunąć zło przez samych chłopów. Od tego czasu zmieniłem taktykę. Założyliśmy gromadzką gazetkę i wytykaliśmy zło dopóty, dopóki przez władze miejscowe fakty nie zostały stwierdzone, a zło usunięte. To dopiero wpływa wychowawczo na ludzi, uczy gromadę, że w naszych rękach, na miejscu, leży władza, możność usuwania zła i rozwijania zbiorowej inicjatywy".

Korespodent przestał już być tym, który wytyka lub piętnuje niedociągnięcia, wraz ze wzrostem jego świadomości i roli jego pracy zmieniły się jej funkcje — korespondent stał się działaczem. „Niejednokrotnie rady i sygnały, zawarte w listach do redakcji, stają się bodźcem do podejmowania przez naczelne władze bardzo istotnych decyzji państwowych. W tym sensie można stwierdzić, że w tych 250 tysiącach listów wyraża się niejednokrotnie udział mas w rządzeniu państwem" — stwierdził w swym referacie wicemarszałek Zambrowski, przemawiając na otwarciu zjazdu.

Niesposób pisać o wszystkim. Niesposób wymienić wszystkich ani opisać wzruszenia, kiedy pisarz ściskając dłoń Władysława Patoki winszował koledze po piórze, walczącemu jak i on o przemianę świata, srebrnego Krzyża Zasługi. Dla nas spotkania z życiem bywają krótkim błyskiem, który jednak głęboko zapada w serce, czułe na przemiany i walkę. Dlatego w pamięci pozostanie mi ten dzień czerwcowy, kiedy robotnik jadąc na wycieczkę podmiejską wiózł „Nowe Drogi", a chłop radził nad losami kraju w Radzie Państwa.

Nie ma w tym wszystkim przesady, koledzy, tylko trzeba to zrozumieć. A wtedy będzie nam łatwiej ogarnąć nowe życie.

Lesław Bartelski

ANDRZEJ WASILEWSKI

LUDOWY EPOS

1

„Przedwiośnie" Żeromskiego, powieści Wasilewskiej, Nałkowskiej, Gojawiczyńskiej, Boguszewskiej, powojenne książki Brezy i K. Brandysa, wydane ostatnio wspomnienia Bobruka i Felisa — oto źródła literackiego poznania życia polskiego w niesławnej republice między dwiema wojnami. Dorobek prozatorski niemały, a przecież nie mógł zaspokoić pragnienia artystycznego przeżycia pełnej prawdy tych czasów. Przełomowe, rewolucyjne powieści Wasilewskiej — przez swą wyłączność tematyki wiejskiej; utwory realistów krytycznych — przez ograniczoność ich horyzontów poznawczych, nieukazanie siły przekształcającej teraźniejszość i określającej przyszłość; utwory Brandysa i Brezy — przez poprzestanie na opisach środowisk mieszczańskich; bogate w realia i fakty wspomnienia robotnicze — przez swój specjalny rodzaj autentyku, nie pozwalający wzbogacić siły utworu artystyczną fikcją.

Toteż czerpiąc wiedzę i wzruszenie z lektury tych doskonałych i dobrych książek — oczekiwaliśmy powieści, która wypełni te różnorodne braki: ukaże walkę klasy robotniczej, odda heroizm i mądrość jej przewodnika — Partii, nasyci nas bogatymi obrazami życia ludu w miastach oddziałując pełnią środków artystycznych, siłą uogólnienia i pięknem słowa.

Metoda czytankowego ilustrowania procesów i faktów rzeczywistości, łatanie wymowy utworu frazeologiczną publicystyką, przedstawianie gotowych wyników zamiast procesów stawania się, wulgarny socjologizm w kreśleniu sylwetek ludzkich, brak pogłębienia psychologicznego, ubóstwo realiów i języka — oto niektóre groźne schorzenia naszej bieżącej literatury, znane pod ogólną nazwą schematyzmu. Czytając lepsze i słabsze nowości powieściowe — niecierpliwie czekaliśmy na książkę, która przemówi romantyzmem życia oddanego rewolucji, stworzy pełnego, wyrazistego bohatera pozytywnego, żywe i przekonywające postacie, bogate i własną siłą przemawiające sytuacje i konflikty.

To podwójne oczekiwanie zaspokaja książka Igora Newerlego—„Pamiątka z Celulozy".

2

Inne, ludowe, optymistyczne „Przedwiośnie" — oto jaka myśl nieodparcie nasuwa się czytelnikowi pierwszych rozdziałów „Pamiątki z Celulozy".

Zamiast urzędniczej rodziny Baryków — rodzina wiejskiego cieśli, rzucona wojenną tułaczką w głąb carskiego państwa i przeżywająca nad Wołgą rewolucję. Zamiast wizji „szklanych domów", ucieleśniającej inteligenckie marzenia o doskonałej ojczyźnie — malowany pędzlem odpustowego malarza obrazek wiślanego brzegu, upiększający chłopskiej tęsknocie prawdę o życiu na rodzinnej ziemi. I tu i tam gorzki powrót z rewolucyjnego kraju do ojczyzny, która wita repatriantów okrutną nędzą swoich wsi i miast, odpychającą prawdą pańskich rządów. I tu i tam — młodzieńczy bohater, silny, śmiały, ambitny, rzucony w koleje polskiego życia lat dwudziestych, które szybko odbierają mu wyidealizowane złudzenia o automatycznie sprawiedliwej ojczyźnie. Dopiero teraz niezrozumiałe doświadczenia dzieciństwa przeżytego wśród wydarzeń rosyjskiej rewolucji odkrywają swą prawdę i pomagają mu w drodze do walczącego proletariatu.

Ale „Przedwiośnie" jest powieścią o szukającym prawdy inteligencie. Jego droga do rewolucji, to droga światopoglądowych dyskusji, teoretycznych przemyśleń, wyciągających wnioski z wrażliwej i bolesnej obserwacji polskiej rzeczywistości. „Pamiątka z Celulozy" jest powieścią o chłopskim synu, przechodzącym w mieście znamienny proces proletaryzacji, wrastania w klasę robotniczą, przyswajania sobie jej ideologii. Jego droga do rewolucji — to nie droga światopoglądowych rozważań, ale żywiołowy wynik życiowych doświadczeń, które dopiero Partia wyprostowuje i wzbogaca ideowo-teoretyczną świadomością. Newerly znakomicie przedstawia ów etap żywiołowości i etap ideowej, partyjnej świadomości w drodze swego bohatera.

I rzecz druga: „Przedwiośnie" napisał wielki pisarz realizmu krytycznego, czujnie i odważnie śledzący życie polskie, ale nie rozumiejący biegu dziejów, nie widzący sił rewolucyjnych. I dlatego obrazy „Przedwiośnia" są bolesne, rozdzierające, a jego bohater samotnie kroczy na czele szarego, uniesionego żywiołowym buntem tłumu. „Pamiątkę z Celulozy" napisał pisarz socjalistyczny z perspektywy zwycięskiej rewolucji. I dlatego obrazy rzeczywistości polskiej między dwiema wojnami są— pomimo odtworzonego ciężaru tych lat — optymistyczne, przepojone romantyzmem oswobodzeńczych dążeń i pięknem ludowego humanizmu; dlatego w losach bohatera ukazują potęgę sił przyszłości.

Tak zbudować powieść o Polsce międzywojennej, aby nie zatrzeć obrazu ciężaru życia ludowego i nie załagodzić ostrości konfliktów, a zarazem poprzez prawdę o nędzy i ucisku przeprowadzić ów realistyczny nurt optymizmu — to rzecz wielkiej dojrzałości ideowej i rzetelnej sztuki pisarskiej. Z jednej strony grozi bowiem pisarzowi naturalizm, zniekształcający realistyczną prawdę jednostronnym widzeniem ludowego bytowania tylko od strony jego wstrząsającej nędzy, z drugiej — gładki i fałszywy patos, wyodrębniający nadludzkie postacie bohaterów z realiów ich codziennego bytu.

Nie popadając w żadną z tych skrajności Newerly pokazał, jak rozwija się i potężnieje młode, wstępujące życie wśród najczarniejszej nędzy Polski dwudziestolecia, na jej wyklętych przedmieściach i w jej głodujących wsiach. Pokazał, jak różnymi drogami zdobywa sobie ono miejsce w duszach ludzi, w jakich doświadczeniach stopniowo narasta i krzepnie.

Obrazy tego powszedniego bytu ludowego w dwudziestoletnim państwie rodzimej burżuazji głęboko zapadają w pamięć, tak przez bogactwo swych realiów, jak i dzięki sile ich artystycznego przedstawienia.

Autor posiada olśniewającą wprost znajomość zawodów, środowisk, miejsc, typów ludzkich. Robotnicy fabryczni, chłopi, szewcy, stolarze, flisacy, lumpy robiące karierę i lumpy ze złodziejskiego dna, drobni urzędnicy i kupcy, emigranci rosyjscy i chińscy, specyficzne typy Żydów polskich — wszystkie te środowiska i fachy pokazane są w najróżniejszych odcieniach, z właściwymi im zwyczajami, gwarą, specyfiką myślenia. Tak wielostronne obrazy najrozmaitszych odmian bytu ludowego przypominają bogactwo życiowej wiedzy Gorkiego z jego autobiograficznej trylogii.

Obrazy te utrwalają zarazem niezwykle plastycznie bolesny krajobraz Polski dwudziestolecia. Któż czytając opisy „rozwoju" straszliwego osiedla nędzarzy — Kozłowa — nie ujrzy setki takich przedmieść i nie odczyta z tej „historii polskich miast" całego okrucieństwa i hańby burżuazyjnych rządów? Któż w przejmującym obrazie „jaszczurek" nie zrozumie wielkiego skrótu prawdy o obcości tych rządów wobec narodu? Kto w scenach z „łączki bezrobotnych" nie dostrzeże tragedii milionów, daremnie oczekujących pracy w państwie dwudziestolecia?

Newerly nie gromadzi wstrząsających szczegółów. Nieliczne — obdarza siłą uogólnienia, uwydatniając ich historyczno - klasowy sens. Robi to nie w jakimś prymitywnym komentarzu odautorskim, ale poprzez wymowę powieściowych sytuacji. Tak np. wymowę „sprawy Kozłowa" pogłębia scena z wielce „humanitarnym" radcą, ofiarującym... nawóz na „domki" dla bezrobotnych, ale zarazem dbającym o honor tej dzielnicy, aby nie była przezwana od nazwiska jakiegoś tam chama. A także relacja o trosce magistratu, który wśród bud i jam Kozłowa pospieszył wystawić dwa kościoły, a od strony szosy — baraki, aby przesłoniły „wstydliwą" dzielnicę.

Te lapidarne sceny znakomicie wydobywają obłudę, egoizm i groteskowy blichtr ówczesnych władców, którzy przecież przeszli do historii z patentem budowniczych „sławojek" dla dobra ludu.

Działające siły polityczne uosobione są w powieści w pełnych, konkretnych postaciach; akcja utworu toczy się tak, aby w jej perypetiach ujawnił się „samoczynnie" system ustrojowy i polityczny ówczesnej rzeczywistości. A obraz jego jest celny i bogaty.

W przeciwieństwie do wielu powojennych książek o dwudziestoleciu pokazujących polityczne wierzchołki sanacyjnego reżimu — Newerly ukazuje rozgałęziony system ucisku i dywersji burżuazyjnej na przykładach życia ludu.

Najgłówniejszą odnogą tego systemu jest w powieści chadecja, której rola i metody działania wśród robotników zostały znakomicie uwyraźnione w szeregu powieściowych wydarzeń. Dusza miejscowej chadecji — ks. Woyda — to prawdziwy potentat miasteczkowego życia, najpewniejszy pośrednik w uzyskaniu pracy i zapomogi pieniężnej — oczywiście pod warunkiem prawomyślności.

W kreśleniu postaci zdecydowanych wrogów autor unika częstego błędu naszych utworów, polegającego na ułatwionym, prymitywnym demaskatorstwie. Ów ks. Woyda — to człowiek szczerze przekonany o słuszności swego „posłannictwa", mocno utwierdzony w jego ideologii i umiejący trafić do niedojrzałych umysłów.

Dyrektor „Celulozy" — Pandera — to osobnik o nieprzeciętnej inteligencji, energii, o doskonałych walorach kapitalistycznego przedsiębiorcy. I on również jest pewny obiektywnej słuszności swego postępowania wobec robotników.

Autor pokazuje przeciwnika w całym jego uzbrojeniu ideologicznym, w jego łudzącej „dobroci" i „ludzkości" — i tę jego postać demaskuje całym obrazem rzeczywistości, istotną rolą w systemie wyzysku i niewoli.

Woyda, ukazani marginesowo przywódcy prawicy pepesowskiej, funkcjonariusze „defy" — to polityczni reprezentanci reżimu, obsługujący interesy kapitału: właściciela „Celulozy" i jej dyrektora — Pandery. Na sygnał Pandery chadecy puszczają w ruch swoją maszynę, w ostrzejszych wypadkach zjawia się policja. Służebna rola różnych oficjalnych i ukrytych agend państwa burżuazyjnego w stosunku do posiadaczy ukazana została w przebiegu wypadków powieściowych z całą wyrazistością.

A obok nich działa w „Celulozie" przemyślny system ekonomiczny, przerzucający odpowiedzialność za wyzysk na małych posługaczy — owych żałosnych „przedsiębiorców", dopuszczonych do drobnej części łupu za pełnienie roli piorunochronu przed ludowym gniewem. Jakże świetny przykład kapitalistycznej demoralizacji ludu daje obraz „przedsiębiorstwa" Sumczaka i Udałka!

Najpełniejszym zaś jej odbiciem jest „zawrotna" kariera Korbala. Ów cwany lump w lot chwyta prawo burżuazyjnego świata: wymianę brudnych usług. „Terminuje" u chadeków, którzy w zamian za antykomunistyczną swadę torują mu drogę do posażnej rzeźnickiej córki, zbija majątek na byłych spółtowarzyszach bezrobocia, wymienia pierwszych patronów na „bebe", gdy sanacja dorywa się do władzy i już jako szanowny pan poseł wraz z samą „defą" usiłuje rozpędzić robotniczą manifestację.

Ten z rozmachem nakreślony wątek świetnie obnaża nie tylko ogólną prawdę o prawach burżuazyjnego systemu, lecz także oddaje szczególny koloryt tej kariery w groteskowym reżimie sanacji.

3

Ale nie tym ciemnym i żałosnym stronom rzeczywistości międzywojennej poświęcona jest główna uwaga autora. Choć wszystkie te obrazy są w naszej literaturze o dwudziestoleciu całkowicie nowe i odkrywcze — nowatorstwo „Pamiątki z Celulozy" polega przede wszystkim na porywającym przedstawieniu nurtu rewolucyjnej walki, na głębokim ukazaniu pracy KPP, na stworzeniu pełnej, bogatej postaci pozytywnego bohatera.

Właściwym tętnem powieści są nie machinacje Pandery, Woydy czy Korabla, ale rosnący i dojrzewający gniew ludu, który uczy się na te machinacje godnie odpowiadać.

Obejmująca 14 lat akcja książki (1923 — 1937) odbija historyczne wydarzenia z życia włocławskiego proletariatu: jego słabe jeszcze wystąpienia z okresu pierwszego po wojnie rewolucyjnego wzniesienia (1922-24) i potężny wybuch walk w latach trzydziestych, kiedy żywiołowo rośnie jednolity front robotniczy, kiedy KPP rozszerza swe wpływy na wielką część klasy robotniczej, rozwija pracę wychowawczą wśród młodzieży, szeroką agitację wśród bezrobotnych i chłopstwa.

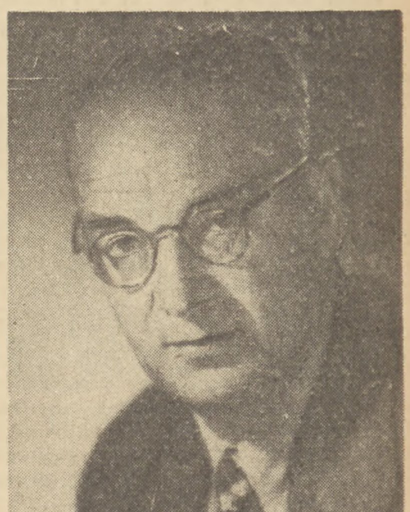
Ta dynamika potężnego wzrostu decyduje o kompozycji powieści, o losach jej głównego bohatera: w początkowych partiach mamy nieudane wystąpienia strajkowe, słabą działalność komunistów, która zasiewa jednak ziarno jątrzącej prawdy w myślach Szczęsnego, w środkowej części powieści, obejmującej lata odpływu fali rewolucyjnej — uczestniczymy w wędrówkach bohatera po jego życiowych „uniwersytetach"; ostatnią wreszcie część, przypadającą na lata trzydzieste, wypełniają obrazy historycznych akcji KPP, i na ich tle obraz zasadniczego przełomu ideowego bohatera. Tak skomponowana powieść ma wierzytelność historycznego dokumentu.

Wzrost zasięgu i aktywności Partii ukazany został na żywym ciele powieściowych wydarzeń: przyciąganie i mobilizacja bezpartyjnych — na losach Bajurskiego i Gawlikowskiego; zawiązywanie sojuszu robotniczo-chłopskiego — na działalności Szczęsnego w rzekuckiej komórce partyjnej; ogromny wzrost autorytetu Partii w masach — w obrazie krwawego strajku bezrobotnych.

Obrazy te uzyskują walor artystycznej prawdy dzięki stworzeniu żywych i przekonywających postaci partyjnych aktywistów. Po długiej posusze na dobre literackie obrazy ludzi Partii — powieść Newerlego sypnęła od razu wspaniałym urodzajem: Olejniczak, Marusik, Madzia, Szczęsny, Staszek — każda z tych postaci to odmienna indywidualność, różny stopień doświadczenia partyjnego, a wszystkie po swojemu wyrażają wspólną treść człowieka-komunisty: miłość życia, prostolinijność, nieugiętość.

Gdzie źródło tego sukcesu pisarskiego?

Newerly pokazał, że te cechy duchowe komunisty wyrastają z moralności ludu, z jego twardej szkoły życiowej, z tradycji wyzwoleńczych dążeń przekazywanych z pokolenia



Igor Newerly

w pokolenie. Te naturalne cechy duchowe rozwija, wzmacnia, hartuje Partia. Aby tę głęboką jedność ludowej moralności z ideałami Partii ukazać — musiał autor bogato odmalować psychikę postaci, musiał odtworzyć życiowy rodowód ich duchowych cech.

Oto Olejniczak — stary partyjniak, długoletni więzień caratu, wzór proletariackiego męstwa i ofiarności. Kiedy objaśnia Szczęsnemu błędność jego stosunku do ludzi — jest starszym i dojrzalszym towarzyszem partyjnym, ale zarazem jakby wcieleniem doświadczonej ludowej mądrości. Czuje się, że blask mocy i humanizmu, jaki bije od tej postaci, to spotęgowany i oczyszczony w tyglu partyjnej świadomości nurt życia duchowego, praw moralnych, tęsknot wszystkich tych nieprzebudzonych jeszcze prostych ludzi: Werki, Perehubki, Gawlikowskiego...

Ukazanie ludowych źródeł postawy komunisty — oto „tajemnica" porywającego piękna, pełni i prawdziwości działających w powieści ludzi Partii.

4

To nowatorskie w naszej literaturze ujęcie pozwoliło autorowi zbudować doskonałą postać bohatera pozytywnego — Szczęsnego. Nareszcie mamy obraz działacza partyjnego, który swych cnót nie otrzymał od autora w formie gotowych nalepek, ale dopracował się do nich trudnymi doświadczeniami życia. Nareszcie wyposażony jest on w naturę bogatą, w wyraźną indywidualność, w porywające cechy. Nareszcie w losach jego widzimy skrzyżowanie sił historii i własnego, podyktowanego osobistym charakterem, wyboru.

Fabuła „Pamiątki z Celulozy" to przebieg jego dzieciństwa, młodości, dojrzałości. Nim z hardego młodziaka, straszącego ludzi swym „zbójeckim" wyglądem, wyrośnie na świadomego i pełnego człowieka — autor powiedzie go przez burzliwe losy. Znamienną cechą pisarstwa Newerlego jest szeroki rozmach w kreśleniu losów bohaterów. Dzięki świetnej znajomości życia nie ma on trudności z realistycznym zagęszczaniem wydarzeń dla skupienia najbardziej typowych cech rzeczywistości. „Uniwersytetami" Szczęsnego są dziesiątki fachów, zajęć, środowisk, coraz to różnych doświadczeń w zetknięciu z ludźmi. Jeszcze raz przywołałem tu trylogię Gorkiego. Oczywiście nie na literackim naśladownictwie polega to podobieństwo, ale na zbieżności typowych losów, charakteryzujących bieg życia polskiego i rosyjskiego ludu.

W losach Szczęsnego **odbijają się** historyczne warunki bytowania polskiego ludu, **kierują nim** ekonomiczne i polityczne prawa tego okresu. Ale nie dostrzegamy ani cienia wulgarnego socjologizmu w ukształtowaniu postawy bohatera, ani cienia fatalizmu w decydowaniu się jego losów.

Jako dojrzały pisarz-marksista Newerly uwydatnia złożoność procesu życiowego, udział osobistego doświadczenia, charakteru, decyzji w dialektyce przemian i losów człowieka.

Chociaż rodzeństwo Szczęsnego wyrosło ze wspólnego, nędzarskiego bytowania — inny jest Walek, zapatrzony w dostępne mu „szczyty"

(Dokończenie na str. 4-ej)

WŁODZIMIERZ SŁOBODNIK

MOWA CODZIENNA

Cóż nam po pięknej mowie, gdy piękno
Jej nie pomoże tworzącym rękom
Walczyć, budować?

Jest ona pięknym domem bez okien.
Mowo codzienna, walcząca z mrokiem,
Góruj i prowadź!

Mowo codzienna, niezakłamana!
Napić się ciebie, jak wody z dzbana,
Wody źródlanej.

Gdy cię wypiję, czysty potoku,
Nie na śnie złudnym, nie na obłoku,
Na ziemi stanę!

Jest w zwykłym słowie siła prostoty,
Jest pieśń zbiorowa, nie ma samotnej
I jest marzenie

Wyższe niż własne — spólnoty całej. —
Tak kłosy w zboże się pojednały,
Iskry w płomienie.

STEFAN ARSKI

PREZYDENTURA NA SPRZEDAŻ*)

Wśród wielu legend, którymi karmi się obywatel amerykański od zarania młodości, jest jedna, która głosi, jakoby każdy Amerykanin mógł zostać prezydentem i jakoby prezydent był wybrańcem narodu.

Pierwsza część tego twierdzenia jest nieprawdziwa już choćby z tego powodu, że prezydentem nie może zostać Murzyn ani żaden inny człowiek „kolorowy" czy posiadający jakąkolwiek domieszkę „krwi kolorowej", że nie może nim być również imigrant, ani też katolik, mahometanin czy Żyd. Nie wynika to wprawdzie z przepisów konstytucji (która czyni zastrzeżenia tylko w odniesieniu do imigrantów), niemniej jednak taki jest stan faktyczny: prezydentem Stanów Zjednoczonych może być tylko człowiek rasy białej, urodzony w Ameryce, wyznawca jednego z kościołów protestanckich. Ale nie znaczy to bynajmniej, że każdy biały protestant, urodzony na ziemi amerykańskiej, ma możność ubiegania się o urząd prezydenta. Bynajmniej. Albowiem nie jest prawdziwa i druga część legendy, głosząca, że prezydent jest wybrańcem narodu. Naród ma tu bardzo niewiele do powiedzenia, a sam akt wyborczy, w którym biorą udział miliony obywateli, jest tylko formalnym usankcjonowaniem decyzji, która zapadła w bardzo ścisłym gronie zawodowych polityków partyjnych. Ci zaś kierują się w swych postanowieniach zupełnie innymi motywami aniżeli przypisuje im to oficjalna propaganda. Źródeł ich natchnienia należy szukać zawsze tam, gdzie tkwi istotny ośrodek władzy gospodarczej i politycznej — w kręgu klas posiadających.

„MASZYNY PARTYJNE" I „BOSSOWIE"

Twórcy konstytucji amerykańskiej obmyślili wielce złożony system wyborczy, by zagrodzić drogę do organów władzy państwowej żywiołom — z ich punktu widzenia — niepożądanym. Praktyka polityczna jeszcze bardziej ten system powikłała.

Sprawę wyborów wzięły w swe ręce partie polityczne. One to zaczęły decydować o wysuwaniu kandydatur na prezydenta i wiceprezydenta, na posłów i senatorów, na wszystkie inne obieralne urzędy federalne, stanowe i lokalne. One też zaczęły organizować kampanie na rzecz wyboru swych kandydatów. Zjawisko normalne i zgodne z duchem panującego ustroju demokracji burżuazyjnej.

Ale od owych lat, gdy pojawiły się w Ameryce pierwsze stronnictwa polityczne, charakter ich uległ ogromnym przemianom. Było to następstwem wielkich przeobrażeń, którym podlegał kraj od czasu wojny domowej. W miarę postępującego procesu koncentracji kapitału, w miarę rozrostu wielkich fortun milionerów i miliarderów partie polityczne burżuazji wyrodniały i korumpowały się.

Oznaki tej degeneracji dały się zauważyć już w okresie poprzedzającym wojnę domową. Spotęgowały się one podczas wojny, a po jej zakończeniu proces ten uległ gwałtownemu przyspieszeniu. Obie partie burżuazyjne — Demokratyczna i Republikańska — przekształciły się w to co żargon polityczny Ameryki tak trafnie określa mianem „maszyn politycznych".

Owładnęły nimi szajki zawodowych macherów politycznych, zwanych pogardliwie „politicians" (politykierzy). Byli to ludzie pozbawieni wszelkich skrupułów, sprzedajni i cyniczni, nierzadko wywodzący się ze świata przestępczego, a w każdym razie ze światem tym ściśle związani. Na czoło poszczególnych maszyn politycznych wysuwali się bardziej obrotni, sprytni i bezwzględni politykierzy, zwani pospolicie „bossami" (szef, przywódca). Ci „bossowie" stali się właściwymi kierownikami partii.

Ponurą sławę zdobyli sobie w historii drugiej połowy dziewiętnastego stulecia tacy „bossowie" jak Concling, Platt czy Hill z Nowego Jorku, Randall, Cameron czy Quay z Pensylwanii, Foraker czy Brice z Ohio. Szczególnym rozgłosem cieszył się wszechwładny „boss" nowojorskiej maszyny partyjnej Demokratów, William Marcy Tweed. Stał on na czele Tammany Hall, która jest synonimem korupcji, sprzedajności, nadużyć i skandali politycznych w Stanach Zjednoczonych. Tammany Hall, zwana tak od budynku, gdzie mieściła się siedziba organizacji partyjnej Demokratów w Nowym Jorku, grupowała od połowy ubiegłego stulecia najbardziej łajdackie elementy, żerujące na życiu politycznym największego miasta amerykańskiego. Tweed był „bossem" Tammany Hall od r. 1863 do 1871, kiedy to sprawki jego wyciągnięte zostały przez prasę i konkurencyjnych politykierów na światło dzienne. W ciągu dziewięciu lat swych rządów w nowojorskim magistracie Tweed zebrał olbrzymią fortunę i stał się absolutnym władcą miasta. Po jego upadku maszyna partyjna Demokratów w Nowym Jorku przeszła w ręce innych, nie mniej sprzedajnych „bossów" i choć raz po raz wstrząsały opinią skandaliczne afery, związane z działalnością Tammany — pozostała ona po dziś dzień tym, czym była za czasów Tweeda.

Bossowie partyjni trzymali mocno w garści aparat partyjny, rekrutujący się w coraz większym stopniu z mętów społecznych, rzezimieszków, oszustów, nierzadko pospolitych złodziei i bandytów, słowem tego wszystkiego, co w Ameryce określa się mianem „racketeer" (kanciarz, oszust). Z biegiem lat ten sojusz polityki amerykańskiej ze światem przestępczym zacieśniał się coraz bardziej, aż osiągnął punkt kulminacyjny za rządów Trumana.

WALKA PARTII ZMIENIA SIĘ W POJEDYNEK SPEKULANTÓW

Dosadną charakterystykę tego systemu politycznego dał Fryderyk Engels w przedmowie do „Wojny domowej we Francji" Karola Marksa:

„Nigdzie „politycy" nie stanowią bardziej wyodrębnionej i wpływowej części narodu niż właśnie w Ameryce Północnej. Tu każda z obu wielkich partii, które na przemian stają u steru władzy, sama jest z kolei rządzona przez ludzi, którzy z polityki robią interes, którzy spekulują mandatami do ciał ustawodawczych Związku i poszczególnych stanów, lub którzy żyją z agitacji na rzecz swej partii i po jej zwycięstwie otrzymują w nagrodę posady. Wiadomo, że Amerykanie już od 30 lat *) starają się zrzucić to jarzmo, które stało się wprost nie do zniesienia, i że mimo to grzęzną coraz głębiej w tym bagnie korupcji... Mamy tu dwie wielkie bandy spekulantów politycznych, które na przemian biorą w swe ręce władzę i wyzyskują ją do najbrudniejszych celów przy użyciu najbrudniejszych środków — a naród jest bezsilny wobec tych dwóch wielkich karteli polityków, którzy rzekomo służą mu, w rzeczywistości zaś panują nad nim i grabią go".

W partiach tego typu pieniądz stał się czynnikiem decydującym i wszechwładnym. Kto miał pieniądze, ten decydował o polityce partii. Kupował po prostu jej „bossów", ci zaś chętnie sprzedawali się to jednej to drugiej grupie kapitalistów. Niekiedy dwóm współzawodniczącym ze sobą grupom jednocześnie. A kto miał pieniądze, by kupić „bossów" partyjnych, ten mógł też decydować o obsadzaniu wszelkich stanowisk w gminie, w mieście, w powiecie, w stanie, w całym wreszcie państwie. Sprzyjał temu zakorzeniony w systemie amerykańskim zwyczaj, który głosił, że „łupy należą do zwycięzcy". Po każdych więc wyborach zwycięska partia dzieliła między swoich ludzi wszystkie intratne stanowiska w administracji państwowej, stanowej i lokalnej. Umożliwiło to maszynom partyjnym roztaczanie ścisłej kontroli nad całym aparatem administracyjnym, który stawał się narzędziem w rękach „bossów" i ich mocodawców.

„Bossowie" wyznaczali bowiem kandydatów na wszelkie stanowiska w porozumieniu ze swymi mocodawcami finansowymi. Jeżeli były to stanowiska obieralne, za pieniądze tych mocodawców organizowali następnie kampanię wyborczą na rzecz swych protegowanych. Dużą w niej rolę odgrywała agitacja, ale jeszcze większą przekupstwo. Po prostu kupowało się głosy, bądź kupowało milczenie tych, którzy mieli nadzorować wybory, i „korygowało" wyniki. A kiedy dana partia zdobyła „większość" w wyborach — mogła już potem „dzielić łupy" w postaci urzędów i stanowisk według uznania „bossów".

OD WŁADZ GMINNYCH DO WASZYNGTONU

Korumpowanie partii szło od dołu ku górze. Można było tanio kupić wpływy polityczne w gminie czy miasteczku, drożej kosztowało kupno na szczeblu wielkiego miasta czy stanu. W skali ogólnopaństwowej, gdzie chodziło o władze federalne, rzecz była nieco trudniejsza. Przełom nastąpił tutaj pod koniec dziewiętnastego wieku, gdy wielka finansjera stała się panem całego życia gospodarczego Ameryki i nastąpiła era wszechwładzy kapitału finansowego. W tym właśnie okresie na czoło Partii Republikańskiej wysunął się „boss" partyjny z Ohio, Mark Hanna, prawdziwy geniusz korupcji politycznej. Hanna pochodził ze środowiska wielkokapitalistycznego, ambicje osobiste, żądza władzy i panowania pchnęły go na tory działalności politycznej. Od początku był mężem zaufania Rockefellera i objąwszy kierownictwo Partii Republikańskiej podporządkował ją całkowicie interesom wielkiej finansjery. Odtąd obie burżuazyjne partie polityczne Ameryki są już absolutnie i całkowicie podległe Wall Street. W tym samym bowiem okresie Partia Demokratyczna również popadła w całkowitą zależność od wielkiego kapitału.

Życie polityczne Stanów Zjednoczonych przybrało formy, które tak oto scharakteryzował w końcu ubiegłego stulecia pisarz amerykański Frederick T. Martin (Passing of the Idle Rich):

„Obojętne, jaka partia znajduje się u władzy i kto piastuje godność prezydenta. Nie mężowie stanu ani myśliciele, lecz my, bogacze, będący właścicielami Ameryki, owładnęliśmy krajem przy pomocy Bóg tylko wie jakich środków i zamierzamy go zachować w swym posiadaniu rzucając na szalę cały nasz potężny wpływ, wszystkie nasze środki, pieniądze i stosunki polityczne, kupionych senatorów i żarłocznych posłów, naszych krzykliwych demagogów, przeciwko wszelkiemu ustawodawstwu, wszelkim programom politycznym czy kandydatom na prezydenta, którzy mogliby uszczuplić nasz stan posiadania".

Mark Hanna był znakomitym wykonawcą tego programu. Stał się też wzorem i mistrzem wszystkich następnych „wodzów" i „bossów" obu burżuazyjnych partii amerykańskich. Z jego to szkoły wyszli ludzie tacy jak „boss" Penrose, który przez kilkadziesiąt lat trząsł Partią Republikańską, jak słynny Pendergast, „boss" Partii Demokratycznej w Missouri i ojciec kariery politycznej Trumana, jak „boss" Hague, który przez pół bez mała stulecia był dyktatorem stanu New Jersey i wsławił się powiedzeniem „Prawo — to ja", jak dziesiątki innych hersztów szajek politycznych i gangsterskich, które opanowały „maszyny" burżuazyjnych partii Ameryki.

PIENIĄDZ WYGRYWA WYBORY

Mark Hanna doprowadził system korupcji politycznej w Stanach Zjednoczonych do perfekcji. Po dziś dzień system ten działa z niewielkimi zmianami. Pieniądz jest czynnikiem decydującym na wszelkich szczeblach rządzenia, nie wyłączając Białego Domu. Jeśli przedtem kupowało się w Ameryce stanowiska burmistrzów miast i gubernatorów stanowych, posłów i senatorów, to od czasów Hanny co cztery lata wystawiana jest na sprzedaż prezydentura Stanów Zjednoczonych.

Formalnie i zwyczajowo kandydatów na prezydenta i wiceprezydenta Stanów Zjednoczonych wysuwają konwencje partyjne. Jest to rodzaj kongresów, na które przybywają delegaci ze wszystkich stanów. Dla podniesienia autorytetu tych konwencji i nadania im pozorów demokratycznych, delegaci wybierani są przez ogół obywateli, którzy zarejestrowali się jako zwolennicy danej partii. Jest rzeczą znamienną, że system wybierania delegatów na konwencję (dawniej mianowały ich zarządy poszczególnych organizacji partyjnych) przez ogół zwolenników danej partii, czyli tzw. prawybory (primaries), został wprowadzony w Ameryce dopiero przed kilkudziesięciu laty. A więc wtedy, gdy partie przeobraziły się ostatecznie w „maszyny" podległe machinacjom „bossów" i ich dolarowych mocodawców. W ten sposób system prawyborów stał się jeszcze jednym środkiem maskowania rzeczywistego mechanizmu rządzenia Stanami Zjednoczonymi.

Albowiem delegaci na konwencje partyjne republikańskie i demokratyczne nie są wyrazicielami wyborców, lecz wykonawcami poleceń „bossów". Stwierdził to ostatnio, po raz nie wiadomo już który, wybitny działacz Partii Demokratycznej, senator Paul Douglas ze stanu Illinois: „Delegaci na konwencje nie są reprezentantami ludu. Są oni wybrańcami bossów partyjnych i zawodowych politykierów z różnych stanów". Ci to właśnie „bossowie" i zawodowi politykierzy, w drodze szacherek i przetargów, działając z ramienia tej czy innej grupy wielkiej finansjery, wyznaczają kandydatów na najwyższe stanowiska w państwie. Decyzja zapada czasami na długo przed zebraniem się konwencji. Czasami zaś jest owocem zajadłych walk poszczególnych klik politykierskich, wyrażających interesy rozmaitych grup wielkiego kapitału. Cały zaś mechnizm oliwiony jest obficie dolarami.

W parę miesięcy po konwencjach odbywa się drugi akt komedii. Kandydaci, wyznaczeni na konwencji, stają teraz w szranki walki wyborczej. Tu tkwi źródło legendy, że „prezydent jest wybrańcem narodu". Istotnie, jeśli dosłownie interpretować przepisy prawa konstytucyjnego, prezydent Stanów Zjednoczonych wybierany jest przez ogół obywateli w głosowaniu powszechnym. Znowu jednak — tylko na papierze.



Gangster i prezydent: zwłoki gangstera pod portretem Trumana w lokalu Partii Demokratycznej w Kansas City. Amerykański „obrazek rodzajowy" z okresu kampanii wyborczej

JAK SIĘ „REGULUJE" GŁOSY

Przede wszystkim zaś wysoce problematyczna jest sama powszechność wyborów. W niektórych stanach obowiązuje swoisty cenzus majątkowy w postaci podatku wyborczego (poll tax). Ten tylko może głosować, kto podatek ten uiści za wszystkie lata od chwili dojścia do pełnoletności. Podatek wyborczy pozbawia głosu około 10 milionów obywateli w 7 południowych stanach. Pokaźny odsetek tych dziesięciu milionów stanowią Murzyni.

Innym środkiem ograniczenia powszechności wyborów jest obowiązujący w wielu stanach cenzus wykształcenia. Na pozór wygląda to niewinnie. Wymagana jest umiejętność czytania i pisania oraz znajomość zasad konstytucji. Ale w Ameryce jest blisko 10 milionów ludzi, którzy nie umieją czytać ani pisać, tym bardziej zaś nie znają zasad konstytucji. Ich to właśnie przepis ten pozbawia prawa głosowania. Ale nie tylko ich. Egzamin ze znajomości zasad konstytucji w rękach odpowiednio dobranych komisji wyborczych jest wygodnym narzędziem skreślania z list wyborczych osób podejrzanych o „nieprawomyślne poglądy". Pojęcie „znajomości zasad konstytucji" jest tak giętkie, że przy odpowiedniej wykładni egzaminator potrafi ściąć nawet ludzi z wyższym wykształceniem.

Nie na tym koniec. Istnieje mnóstwo najrozmaitszych sposobów poza tymi formalnie ustanowionymi ograniczeniami, umożliwiających „regulowanie" liczby wyborców. Wiedzą o tym dobrze Murzyni amerykańscy. Terror fizyczny i moralny, stosowany wobec nich, przechodzi wszelkie wyobrażenie. Sprawia on, że miliony Murzynów po prostu nie biorą udziału w wyborach. Wystarczy wskazać, że w 11 stanach południowych, gdzie zamieszkuje około 10 milionów Murzynów (w tym co najmniej 6 — 7 milionów w wieku uprawniającym do głosowania), w latach 1936 — 1942 uczestniczyło w wyborach około 250.000. Był to z ich strony akt dużej odwagi osobistej. Zazwyczaj bowiem w dniu głosowania lokale wyborcze obstawione są uzbrojonymi bandami Ku Klux Klanu, które nie dopuszczają „kolorowych" wyborców. Wprawdzie XIII poprawka do konstytucji zagwarantowała wszystkim obywatelom bez różnicy rasy i koloru skóry prawo wyborcze, wprawdzie władze federalne i stanowe są obowiązane czuwać nad wykonaniem tego prawa, ale ani sądy, ani administracja nigdy nie próbowały tego uczynić. Wręcz przeciwnie. Pogromy i lyncze Murzynów, którzy ośmielili się skorzystać z przysługujących im praw konstytucyjnych, stały się regułą. Władze przypatrywały się tym gwałtom w najlepszym razie bezczynnie. Gorzej, gdy policja lub gwardia stanowa zaczynały interweniować. Z reguły bowiem stawały wtedy po stronie rasistowskich bojówkarzy i następowała masakra Murzynów.

W rezultacie wybory w wielu stanach, zwłaszcza na Południu, gdzie Murzyni stanowią większość w poszczególnych okręgach — są zwykłą farsą. Nieliczna grupa bogatych białych wyborców, których stać na opłacenie podatku wyborczego, deleguje po prostu upatrzonych przez siebie kandydatów do stanowych i federalnych ciał ustawodawczych. Znane są fakty, że senatorowie i posłowie ze stanów południowych są wybierani przy udziale kilku lub kilkunastu procent wyborców. Tak np. w stanie Mississippi liczba osób w wieku uprawniającym do głosowania wynosi 1 250 000, ale podczas wyborów 1946 roku do urn wyborczych zgłosiło się zaledwie 180 000. Senator Walter F. George ze stanu Georgia został wybrany w roku 1944 przy udziale około 40 proc. ogólnej liczby potencjalnych wyborców w tym stanie, czyli około 10 procent ogólnej liczby mieszkańców. Senator Ellender ze stanu Louisiana pobił swego rodzaju rekord: głosowało nań zaledwie 6 procent ogółu potencjalnych wyborców. Mimo to nie dorównał jeszcze osławionemu reakcjoniście Jamesowi Byrnesowi, który wszedł po raz pierwszy do Kongresu w roku 1922 „wybrany" głosami 4.163 wyborców w okręgu liczącym około 300.000 mieszkańców. To znaczy, że szanowny kongresman, jeden z przywódców Partii Demokratycznej i późniejszy Sekretarz Stanu (ten sam, który w roku 1946 pierwszy zakwestionował granice Polski na Odrze i Nysie), zawdzięczał swój pierwszy mandat poselski systemowi wyborczemu, który dał głos decydujący dwóm procentom ludności. Dzieje się tak dlatego, że podatek wyborczy, cenzus wykształcenia, a wreszcie terror i gwałt nie dopuszczają do udziału w wyborach na południu Stanów Zjednoczonych olbrzymiej większości obywateli — czarnych i białych.

Nie na tym jednak polega istota oszustwa wyborczego w Stanach Zjedn. Mimo wszystkie ograniczenia formalne i faktyczne — każdorazowo uczestniczy w wyborach kilkadziesiąt milionów ludzi. Oszustwo polega na tym, że ci, którzy biorą udział w wyborach, nie mają żadnego wpływu na ich wynik. Albowiem — jak już wiemy — czynnikiem decydującym w życiu politycznym Ameryki są od dziesiątków lat dwie wielkie partie burżuazyjne — Demokraci i Republikanie. Wyborca więc, nawet ten, który dostąpił już zaszczytu głosowania, ma przed sobą coś w rodzaju wyboru między „Lucyperem a Belzebubem". Nic dziwnego, że w tej sytuacji wyborca tak często pozostaje w domu, zamiast wziąć udział w głosowaniu. Tym się tłumaczy niska z reguły frekwencja w wyborach amerykańskich, która często spada poniżej 50 procent liczby uprawnionych do głosowania.

Kandydaci obu wielkich partii burżuazyjnych licytują się podczas kampanii wyborczej, szafując hojnie pięknymi hasłami i przyrzeczeniami, których nigdy nie zamierzają dotrzymać. Programy wyborcze obu wielkich partii, zwane „platformami", to istny „róg obfitości" — tyle w nich wzniosłych haseł i kuszących obietnic. Są przy tym tak bliźniaczo do siebie podobne, że niesposób rozeznać, czym różni się zapowiadany „raj republikański" od „raju demokratycznego". Toteż większość wyborców, nauczonych doświadczeniem, traktuje te „platformy" tak jak się traktuje krzykliwą, wszechobecną, natrętną a oszukańczą reklamę amerykańską. Rozporządzając milionami dolarów obie partie organizują wrzaskliwą propagandę, opartą na tych właśnie wzorach reklamowych i ogłuszającą wyborców. Cała wielka prasa burżuazyjna jest ich posłusznym narzędziem. Radio, telewizja i film sekundują jej wiernie. Organizacje społeczne, kulturalne, oświatowe, związki zawodowe opanowane przez reakcyjne kierownictwo — wszystko staje się tubą wyborczą obu wielkich partii. Pracownicy i robotnicy zakładów przemysłowych i handlowych znajdują się pod silnym naciskiem swych pracodawców. A wreszcie, ogromne fundusze gadzinowe służą wprost do kupowania głosów. Takie maszyny partyjne, jak nowojorska Tammany Hall, jak maszyna „bossa" Hague w New Jersey czy Pendergasta w Missouri doprowadziły ten system przekupstwa do doskonałości.

Kiedy zaś i to nie wystarcza — pozostaje jeszcze terror band gangsterskich, sprzymierzonych z „maszynami politycznymi" obu partii i chętnie użyczających im swego poparcia w zamian za gwarancję bezkarności i ochrony ze strony zwycięskiej partii. Kronika polityczna Stanów Zjednoczonych dostarcza tysięcy przykładów tego rodzaju „świętego przymierza" pomiędzy światem kryminalnym a politycznym. Wielki rozgłos zdobyła sobie historia „współpracy" Partii Demokratycznej w Kansas City (w ojczystym stanie Trumana — Missouri) z bandą gangsterów pod wodzą niejakiego Binaggio. Banda potrafiła zapewnić sobie wybór gubernatora stanowego, który tolerował jej nielegalne domy gry, potajemnego totalizatora i szeroko rozwinięty handel narkotykami. W zamian Binaggio oddał duże usługi w poprzednich wyborach przy organizowaniu kampanii na rzecz Trumana. Kiedy jednak zaczął się zbyt jawnie chełpić osobistymi stosunkami z prezydentem, został w tajemniczych okolicznościach „sprzątnięty". Nie mniej szerokiego rozgłosu doczekały się afery byłego burmistrza Nowego Jorku, O'Dwyera, który swą karierę polityczną zawdzięcza w dużej mierze poparciu „króla gansterów" — Franka Costello, wodza całego świata przestępczego Stanów Zjednoczonych. Gubernator stanu Nowy Jork, Dewey, uciekał się również do pomocy gangsterów w kampanii wyborczej. Ceną, jakiej Costello zażądał za tę usługę, było ułaskawienie słynnego rzezimieszka Lucky Luciano. Dochodzenia przeprowadzone w roku 1951 przez komisję senatora Kefauvera ujawniły, że tego rodzaju afery są na porządku dziennym we wszystkich 48 stanach Unii oraz jej stolicy, Waszyngtonie.

Jak widać, możliwości są tu nieograniczone. A ściśle biorąc, ograniczone tylko rozmiarami funduszów, którymi rozporządzają obie partie. W roku 1946 Uniwersytet Nowojorski opublikował interesującą pracę dr Harolda W. Deveya, który na podstawie nagromadzonego materiału faktycznego doszedł do wniosku, że w Stanach Zjednoczonych „pieniądz wygrywa wybory".

Zdarzało się jednak niekiedy, że obok dwóch tradycyjnych stronnictw burżuazyjnych pojawiły się na arenie politycznej Stanów Zjednoczonych tzw. „trzecie partie". Były one odbiciem buntu i protestu mas przeciwko nieznośnej dyktaturze wielkiego kapitału. Wtedy płynęły do kas obu wielkich partii burżuazyjnych jeszcze znaczniejsze sumy na korupcję, urabianie prasy, kupowanie głosów. A w końcu sięgano po niezawodną broń terroru moralnego i fizycznego. Mord, pogromy, rozbijanie zgromadzeń niezależnych kandydatów, demolowanie ich lokali wyborczych, rozbijanie urn i palenie kartek, a wreszcie ordynarne fałszowanie wyników — okazywały się zawsze skutecznym środkiem zapewnienia władzy jednej z dwóch partii lojalnych wobec Wall Street.

Dlatego wybory w Ameryce są fikcją. Niezależnie od tego, czy wygrana jest po stronie Partii Republikańskiej czy Demokratycznej — zwycięzcą jest nieodmiennie Wall Street. Monopol władzy pozostaje nienaruszony. Wygrywa pieniądz.

Stefan Arski



„Prawdziwi panowie senatu" — słynna karykatura Kepplera z r. 1889 Dominujące na rysunku postacie przedstawiają trusty. Pośrodku napis „To jest senat monopolistów, przez monopolistów, dla monopolistów", będący parafrazą hasła Lincolna „Rząd ludu, przez lud, dla ludu"

*) Fragment obszernej pracy, która ukaże się wkrótce nakładem „Książki i Wiedzy".

*) Pisane w roku 1891. Cyt. według: Karol Marks, Fryderyk Engels Dzieła Wybrane, tom I. str. 453—4. „Książka i Wiedza" 1949.

Stanisław Sojecki

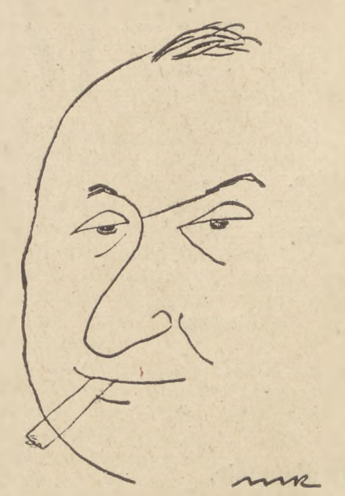
członek Związku Literatów Polskich zmarł dnia 30 czerwca 1952 roku

w Zmarłym utraciliśmy zasłużonego satyryka i dobrego kolegę.

Zarząd Oddziału Warszawskiego Związku Literatów Polskich

JERZY POMIANOWSKI

SZTAFETA Z POLA WALKI



rys. Marek Rudnicki
Louis Daquin

Od pewnego czasu na zdjęciach z paryskich demonstracji, zamieszczanych w postępowej prasie francuskiej, pojawiła się dziwnie duża liczba twarzy pokrytych bujnym zarostem i ozdobionych wielkimi, ciemnymi okularami. Nowa moda? Ejże. To tylko retusz na zdjęciach, środek ostrożności stosowany przezornie przez lewicowe redakcje — policja szuka dowodów rzeczowych. W ojczyźnie Jaurèsa jest dziś rzeczą niebezpieczną noszenie transparentu z napisem „Precz z wojną". Prefekt Baylot nie daremnie jeździł na przeszkolenie do Ameryki. W ostatnim numerze „Regards", obok fotografii z pogrzebu bezbronnego robotnika Belaida Hocine, ojca czworga dzieci, szeregowego obrońcy pokoju, trafionego przez trzy kule policyjne, obok podobizn — kordialnie się ściskających — Auriola z Ridgwayem i Schumana z Adenauerem, znaleźć można ciekawy dokument fotograficzny: francuscy policjanci przy pomocy drabiny strażackiej usuwają z jakiegoś balkonu transparent. Cóż, rzecz ludzka, zdarza się. Tyle tylko, że aż nadto dobrze widać litery na płachetce: „A bas le fascisme! A bas la guerre!" Precz z faszyzmem, precz z wojną — oto czego nie wolno dziś mówić Francuzom. Jest rok 1952. Jeszcze osiem lat temu hitlerowcy panoszyli się w Paryżu. Zapamiętajmy, bo nuż premier Pinay nie przyzna się do winy.

We Francji idzie na ostre. Ale o charakterze tej walki i jej losach nie decyduje wzmożenie represji policyjnych; sprawa najważniejsza, rozstrzygająca, to wzrost oporu ludowego. Walka dopiero się zaczyna. Lud udaremnił zamach stanu amerykańskiej agentury: Duclos jest na wolności. Dowiedzieliśmy się o tym tego właśnie dnia, gdy do Warszawy przybył paryski zespół teatralny ze sztuką Rogera Vaillanda „Pułkownik Foster przyznaje się do winy".

O tym, co się na zachodzie Europy dzieje jesteśmy informowani na ogół nieźle przez prasę, radio i film. Wieści z Francji szukamy z ciekawością, z nadzieją i wiarą w siłę, w świadomość tego wspaniałego narodu, który tylu ma wśród nas przyjaciół. Ale dopiero jakiś szczegół jaskrawy, jakieś zdjęcie niespodziewane, jakieś bezpośrednie spotkanie odsłania nam w błyskawicznym skrócie to, co dla przeciętnego człowieka jest najwiarygodniejszym sprawdzianem nadziei: napięcie, ludowy rozmach, wrzącą atmosferę tej walki. Widzimy z bliska determinację i solidarność ludu francuskiego, a wiemy, że to właśnie ona, nie zaś słowne deklaracje, uratuje sprawę pokoju. W codziennym uporze, w śmiałości myśli tego mądrego, wesołego i dzielnego narodu odnajdujemy — jakże dobrze znaną Polakom — miarę zasięgu i głębi ludowej walki o prawo do wolnej przyszłości. Rozumiemy lepiej, że najlepsi Francuzi walczą o to, by ich kraj nie stał się amerykańskim przyczółkiem, trampoliną do skoku na nas. Walczą — i to zwycięsko. Mężnie. I nie sami tylko robotnicy, nie sami czytelnicy „L'Humanité". Mamy rok 1952. Mamy za sobą zwycięstwo w wojnie z imperializmem, z faszyzmem. Francuzi pamiętają i Monachium, i Vichy; dziś trudno się spodziewać, aby dla świętego spokoju pozwolili sprzedać gangsterom Francję z dobrodziejstwem inwentarza.

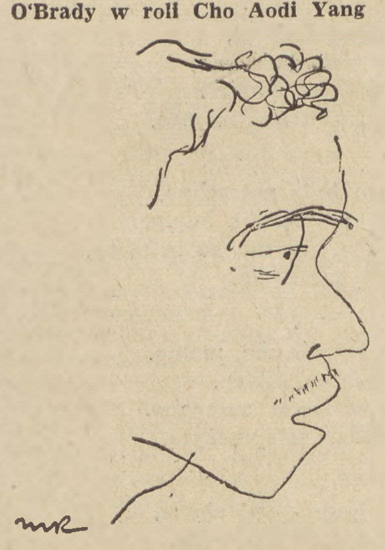
Ta walka ma charakter narodowy. Nie zdecydują o jej wyniku chwilowe koleje. Rozstrzyga świadomy udział mas — rosnący mimo wyraźnego, brutalnego spotęgowania represji. Tysiące nowych członków zyskała Partia Komunistyczna w dniach, gdy Jacques Duclos zamknięty był w Santé, gdy policja strzelała do kobiet, które z dziećmi na rękach wyszły na demonstrację. W tej walce na pierwszej linii frontu stoją obok robotników francuscy inteligenci, pisarze, artyści. Nie odstąpili, nie ugięli się, nie wrócili do kawiarni, chociaż walka ani trochę już nie przypomina „drole de jeu", dziwnej zabawy. W swojej celi więziennej Duclos przeczytał list Vaillanda z prośbą o przyjęcie go do szeregów Francuskiej Partii Komunistycznej. Do listu załączony był egzemplarz sztuki, którą oglądaliśmy w Warszawie. W Paryżu policja grać jej nie pozwoliła.



rys. Charlie
O'Brady w roli Cho Aodi Yang

Widzieliśmy oto sztukę której treść, charakter i dość spora ranga artystyczna świadczą równie silnie, jak jej losy, że imperialiści toczą walkę nie tylko przeciw życiu, rozwojowi i kulturze narodu koreańskiego, lecz także przeciw narodowi francuskiemu i jego kulturze. Zobaczyliśmy oto, jak mało szans mają w tej walce, mimo swojej czelności. Słyszeliśmy oto głos mężnych naszych przyjaciół, patrzyliśmy, z jakim przekonaniem i zapałem pokazali nam na gościnnej polskiej scenie nieuniknione dzieje klęski najezdniczego oddziału pułkownika Fostera. Jak grali? Dobrze grali, sprawnie, potoczyście, przekonywająco. Ale przede wszystkim z przekonaniem i ze zrozumieniem. Racjonalizm francuskiej doktryny scenicznej sprzągł się z buntowniczym zapałem.

Zważmy, że wystąpił przed nami zespół nie zgrany jeszcze, teatr bez szczególnych tradycji, ot młoda, paryska trupa. Ale o to właśnie chodzi! Zespół z „Ambigu" nie jest wyjątkiem, podobnie jak wyjątkiem nie jest Roger Vailland. Ich przykład raz jeszcze uczy, jak słuszna sprawa, jak solidarność z walczącym ludem uskrzydla talenty.



rys. Marek Rudnicki
Maurice Oury w roli żołnierza amerykańskiego

Sztuka Vaillanda jest utworem zwartym, celnym, śmiałym, napisanym zwięźle i ostro. Zasada treściowej celowości posłużyła do podporządkowania wszystkich elementów sztuki naczelnej idei; każdy prawie zwrot, dialog, każda perypetia służy tu do podkreślenia, uwypuklenia politycznej myśli utworu. I właśnie dlatego nie ma w tej sztuce nic, co by nie popychało naprzód jej akcji; nawet zbyt obszerne dialogi służyć mogą za przykład słowa d z i a ł a j ą c e g o. Charakterystyka bohaterów odbywa się przez działanie. Nie autor przemawia ze sceny, ale postacie. Vailland dał przykład dobrej roboty dramaturgicznej właśnie dlatego, że chodziło mu o dobre spełnienie zadania politycznego, które szczerze uważał za słuszne. Nie ułatwił sobie wcale tego zadania. Jego pułkownik, Foster, ani trochę nie przypomina esesowca z pierwszych polskich filmów powojennych. Jednakże przyklasnąć tylko można Vaillandowi i wybornemu reżyserowi spektaklu — Louis Daquin — w wyborze protagonisty. Pokazano nam bowiem, że dialektyka najazdu imperialistycznego nieuchronnie prowadzi do nieludzkich zbrodni, że kto jest najeźdźcą, kto walczy przeciwko wolności — ten musi dojść do ludobójstwa, że osobiste zalety i poczucie subiektywnej słuszności ani trochę tu faktów nie zmieniają. Przypadek Fostera jest swego rodzaju e x p e r i m e n t u m c r u c i s; skoro ten jest winny, to znaczy, że cały imperializm amerykański nie ma wytłumaczenia — ani politycznego, ani moralnego.



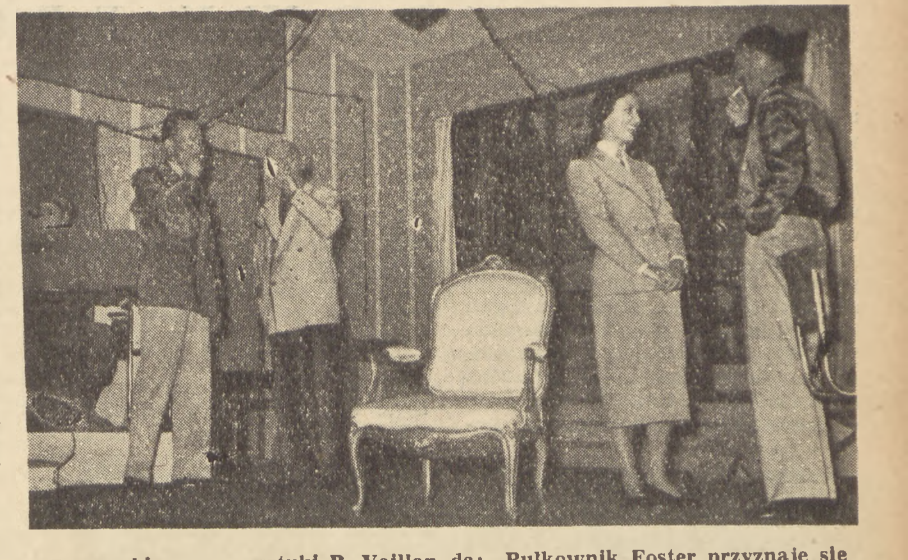
rys. Marek Rudnicki
Philippe Kellerson w roli sierżanta Paganella

Ta sztuka przekonywa. Czy to tylko sprawa wysokiej ideowości autora i słuszności sprawy, której broni razem z nami? Tego byłoby mało. Vailland nie wyrzekł się samobójczo przywilejów teatru na rzecz scholastycznych reguł. Dobierał postacie z gospodarnością dowódcy wybierającego pole walki: traktował je jako ruchome punkty, z których prowadzić ma obstrzał, dbał przede wszystkim o szerokość pola widzenia, jakie się z takich punktów otwiera. I oto — po raz nie wiadomo który — okazało się, że publicystyczna zasada dobitności, treściowej trafności całkowicie się zbiega z regułami i wymogami prawdziwego, żywego, pełnokrwistego teatru. Przypomnijmy tylko, jak ważną dla uświadomienia widza rolę pełnią w sztuce repliki kapitalisty Cho, zastanówmy się, jak celowo i zręcznie każe mu Vailland **robić** w sztuce to właśnie, co autor mniej utalentowany kazałby naiwnie piętnować bohaterowi pozytywnemu, Vailland zna sekret sformułowany przez Sergiusza Obrazcowa: „Teatrowi właściwe jest tylko to, co uległo transformacji, a nie pozostało samym sobą". Dlatego nie wygłasza prawd politycznych bez swoistego cudzysłowu, dlatego kompromituje najeźdźców ich własnymi rękoma. Dlatego trudno zapomnieć rozmowę Loleh Bellon (Lia) z Pierre Asso (Foster) w przedostatnim akcie. Dlatego tak się wierzy w każde słowo, w każdy lakoniczny argument partyzanta Masana (André Charpak). Rzeczowość tego spektaklu przypomina w czymś świetny teatr Bertolda Brechta. Ani śladu fałszywej teatralności.

Sztuka będzie grana zapewne w teatrach polskich. Nie tu miejsce, aby ją streszczać. Co tu uderza — to słuszność ideowa w pełnym blasku etycznej czystości. Mamy w niej do czynienia z realizmem wysokiej klasy; każdy z bohaterów jest człowiekiem i sądzi, że ma własną rację. Jednak — obok tego autor jest wierny obiektywnym faktom. Stąd wyraźny, jednoznaczny kształt moralny, jaki swojej idei nadał. Vailland jest lojalny wobec wszystkich bohaterów, ale jednocześnie wie co o nich myśleć i uczy nas tego, nie ułatwiając sobie roboty. Korelacja tych zadań zawsze była warunkiem wartości artystycznej dzieła sztuki.

Szczególne ma znaczenie przyjazd francuskiego teatru do Polski w tych gorących lipcowych dniach. Kilka dni temu — 4 lipca — minęła 176 rocznica ogłoszenia deklaracji niepodległości Stanów Zjednoczonych, deklaracji, której twórcą był Beniamin Franklin, deklaracji skierowanej przeciw kolonizatorom i najeźdźcom. Przypuszczać należy, że rocznicę tę obchodzono w Ameryce raczej wstydliwie, zaś w amerykańskich ambasadach — w Paryżu, Rzymie, czy Londynie, wszystko jedno — chyba niezupełnie jawnie. Za dni kilka rozpoczną się igrzyska olimpijskie w Helsinkach. W tej chwili na poprzek Europy biegnie trasa sztafety: z rąk do rąk przechodzi pochodnia, zapalona w dalekiej Grecji. Na ojczyźnie Belojannisa! Gdy czytać będziecie te słowa, cała Francja święcić będzie dzień 14 lipca. Dnia tego lud paryski zburzył kiedyś Bastylię.

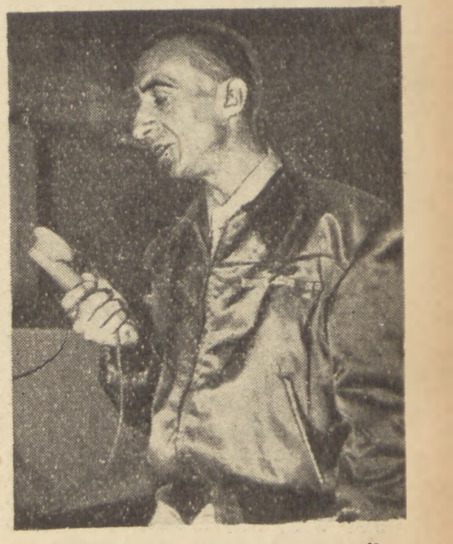
Jerzy Pomianowski



Scena zbiorowa ze sztuki R. Vaillan-da: „Pułkownik Foster przyznaje się do winy".



Loleh Bellon w roli Lii



Pierre Asso w roli pułkownika Fostera

LOUIS ARAGON

POŚWIĘCONE JOCQUES DUCLOS

Z cyklu: „Ojczyzna w niebezpieczeństwie"

PROTEKTOR

Oto Protektor Wartości Wiecznotrwałych
Oto Protektor miast koreańskich zburzonych
Strugi krwi jeńców jego twarz zafarbowały
Granat nosi u pachy jak gruczoł nabrzmiały
Oto on zwycięzca zadżumionych

Mówi za tych dla których tylko księga Biblii
Wagą z żelaza mierzy mędrca uczonego
Za tych których strzał w tarczę w Murzyna nie chybi
Jest prawem lynchu i rasizmem popędliwym
Co uderza ojca w dziecku jego

Ten zamorski wybawca jak antycyklony
Będzie na naszych polach słońce i deszcz stwarzał
Błogosławcie emisariusza pentagonu
On Białych chce po Żółtych czyścić Za Czerwonych
Jednako ich wszystkich uważa

Biada przyszłości którą świat ku sobie woła
Zamachem jest przyśpieszać jutra narodzenie
Jeśli Darwin Marks diabłem imię archanioła
Nosi syn Stock Exchange'u i Tarzan bez czoła
Zmianie zaprzecza płomieniem

Trzeba w myślących głowach ziarno przebrać bacznie
Ten generał z miłości ku nam u nas stanął
Prędko do więzień i niech robota się zacznie
Co ją dokończy napalm co zaślubi Francję
Z Asq i Oradour esesmanom

Z nimi Francuzi pójdą na rzeź po kolei
Dla ideału swastyki jednego zawsze
Na niebie Montoire odwrócone widnieje
Valmy gotowe umrzeć by zatrzymać dzieje
Kraj nasz rzuca Reichowi w paszczę

Jak wydarzenie ślepe powtarza się Vichy
Pod paznokciem jak biały wrzód na nowo wzbierze
W Marnes-la-Coquette prokonsul mieszka Zakładnicy
Aresztowani na ulicy
Siedzą w Santé za kratą w Niemieckiej Kwaterze

przełożył Mieczysław Jastrun

SPISEK

Paryżowi nie łatwo nałożyć kaganiec
Z całej ojczyzny naszej zbrodniarze atomu
Słyszeli jak podnosi się okrzyk GO HOME
I nawet we śnie przeklinali to wezwanie

I dobrze jest wynaleźć Męża Opatrzności
Kogoś pana Pinay'a od Skór i Wyrobów
Aby jak but pęknięty gołą stopę obuł
Prosząc o powrót w tany złodziejskich ichmości

Lecz trzeba było skończyć z wołaniem o pokój
Z tym wołaniem nieznośnym dla możnych wspólników
I trzeba było skończyć z owym tłumem krzyków
Upartym który nie chce śmierci ani oków

Na placu Bauveau głowy w pomysłach łamali
Złodziejaszek nos sztuczny kanciarz nóż w kieszeni
Ach na Alei Focha co czynić wiedzieli
Czegoś nowego trzeba nam jakiejś nowalii

Rzetelnych naszych ludzi nie da się znieprawić
Oni cnoty jedności uczyli się sami
Więc nie podobna Francji zagłuszyć krzykami
Które przez radio swe wydaje Jean Paul Dawid

Umieć prawo postawić po swej stronie Zgłębiaj
Tę najpierwszą zasadę w nowoczesnym świecie
Rządcy trzeba za sobą mieć prawo to wiecie
I wtedy wymyślono Bajkę o gołębiach

Pocztowych co ohydę z komizmem zaręcza
Bajkę co z groszkiem łączy kuchenną kwaterkę
Wielką politykę z lasu zakątkiem Z Javertem
Jest Courteline a z gliną w parze Ekscelencja

To pewne prowokacji już się nie odwróci
Kiedy władzę legalną pokrywa wygodnie
Zbrodnie w cnoty zmieniają się a cnoty w zbrodnie
Nie cofnęli się przed zwichnięciem konstytucji

Tak Ludwik Napoleon rzekł Drugiego Grudnia
Prezydentem legalnie wybrała mnie Francja
Tak zyskał zgodę obu Izb Marszałek-zdrajca
Lecz Zgromadzenie wpierw z komunistów wyludnia

Podziwiajcie ich miłość do władzy legalnej
Gdy Reichstag płonął Göring miał tekę ministra
Faszyści CRS i w książkę kancelista
„Dymitrow uwięziony" wpisał triumfalnie

Trzeba liczyć się z głosem publicznej krytyki
W braku pożaru zmyślić trzeba sprzysiężenie
I z kolei przez posła Duclos uwięzienie
Monsieur Brune będzie teraz bronił Republiki

przełożył Mieczysław Jastrun

RÓŻA ŚLAZOWA

Kiedy mówiłem drzwi się otworzyły
I zewsząd zbiegł się tłum moich słuchaczy
Któż może wątpić czas się przeinaczył
Kto wątpi słońca promienie zalśniły
W szeregach naszych

I na tchórzostwo na próżno stawiali
Na zabłąkanie histerię zgniliznę
Próżno liczyli na kłamstwa truciznę
Na próżno pieniądz przekupny zasiali
W naszą ojczyznę

Różo ślazowa o słodka mądrości
Ojczyzno moja ojczyzno ty umiesz
Powiedzieć nie Mów nie Armaty stłumisz
Pierwszą cię rzucą w płomień bez litości
Nasza światłości

My z gołębicą staniemy przy pięści
O chwała tobie która los odwrócisz
Tu cały wszechświat za świadka być musi
Niosący pokój będą najsilniejsi
Przeciwko śmierci

Niech wyjdzie z cienia dzień w słodkich zapachach
W otwartym wiatrom francuskim ogrodzie
Kwiecie pokoju w barwach dzieci wschodzisz
Obrazie liczby różo wieloraka
Żywy Narodzie

przełożyła Mieczysława Buczkówna

LUDOWY EPOS

(Dokończenie ze str. 1-ej)

mieszczańskiego życia i układnie wrastający w nie; inna jest Kachna, słaba i zatrwożona przemocą burżuazyjnego świata, szukająca najłatwiejszych dróg. Czym uzasadnia Newerly odmienność młodszego rodzeństwa? Jego uprzywilejowaną sytuacją w domu, łagodniejszym życiem, które ochraniali, na które pracowali starsi. I dlatego bliższa Szczęsnemu jest Weronka, heroiczna pracownica rodzinnej kuchni, przygłuszona ciężarem życia, ale biorąca zeń twardość i tęsknotę do wyższego, duchowego świata.

A sam Szczęsny?

Od dzieciństwa rola najstarszego wyrabia w nim poczucie odpowiedzialności za losy rodziny, ducha tkliwego choć szorstkiego na zewnątrz opiekuństwa. On jeden z rodzeństwa, zwalczając przeciwieństwa na szlaku stepowych wypraw po żywność, w ciężkiej zarobkowej pracy u wyzyskiwacza — nabiera siły i zuchwałości, on jeden też doświadcza gorzkiego poczucia krzywdy i odruchów buntu. Tak kształtuje się w dzieciństwie i młodości charakter Szczęsnego.

Hardość, pasja niezależności, duch buntu — będą go żywiołowo kierować przeciw ciemięzcom ludowego życia. Ale te same cechy długo przeszkadzać będą pełnemu zespoleniu się z prawidłową walką swej klasy. Już po rozwianiu się wpojonej w dzieciństwie piłsudczykowskiej legendy — drażliwa ambicja po wielekroć odepchnie go od Partii.

Jeśli na kartach ostatnich utworów mogliśmy nawet obserwować sam proces przemian człowieka, to był to jakby wyłączony z całokształtu jego charakteru rozwój jego społeczno-politycznej świadomości. Newerly pokazuje wzrost dojrzałości ideowej poprzez przekuwanie i rozwój wszystkich stron charakteru ludzkiego. Właśnie dzięki powiązaniu tych przemian z głębokim, uczuciowym życiem człowieka nadaje im pełną wiarygodność i wydobywa ich urzekający romantyzm. Umie też odnaleźć dziesiątki konkretnych i żywych sytuacji, w których ten wszechstronny rozwój charakteru plastycznie się ujawnia.

Ów błądzący i hardy Szczęsny — to nie tylko przekorny niedowiarek „czerwonej" sprawy, lecz także niepohamowany rozbijaka, także — bohater awanturniczego romansu z Czerwiaczkową. Jednak we wszystkich tych okolicznościach odnajdujemy takie właściwe mu rysy (odwaga, bezkompromisowość, ambicja, humanistyczna czystość uczuć), które pod tchnieniem wielkiej prawdy rozwiną sie w pełnowartościowe cechy. Ów nowy , doskonalszy Szczęsny — to nie tylko oddany bojownik rewolucji, lecz także zharmonizowany wewnętrznie człowiek, który i w nowej miłości szuka utwierdzenia piękna odnalezionej prawdy.

Rozwinięte kontrastowo historie dwóch miłości Szczęsnego, to przykład mistrzowskiej pracy artysty-ideologa i psychologa. Jakże cherlawe, byle jak przyłatane i niewiele mówiące są uczucia miłosne bohaterów wielu ostatnich książek! Jak gdyby ta strona psychiki obojętna była wobec ich życiowych ideałów, jak gdyby nie ujawniała poziomu ich duchowego, a więc i ideowego życia.

W historii romansu z Czerwiaczkową Newerly z dobrotliwym uśmiechem pokazuje, jak bardzo niewypierzony i młodzieńczo naiwny jest ten Szczęsny, który — hardo odrzuciwszy jedyną słuszną drogę — szuka własnych, niezwykłych szlaków. Ale zarazem widzimy, że w starciu jego świeżej i czystej natury z płaską duszą mieszczki musi umrzeć miłość, która chwilowo zbliżyła obce sobie moralności, obce ideały życiowe, obce światy.

Dzieje miłości Szczęsnego i Madzi, skreślone z urzekającym liryzmem, pogłębiają obraz ideowego dojrzewania bohatera, rozkwitu najlepszych cech jego duszy.

Po raz pierwszy w naszej literaturze z taką siłą wydobyty został romantyzm miłości dwojga ludzi, oddanych żarliwie rewolucyjnej sprawie i wspólnotą tej sprawy sycących wzajemne uczucie. Ten miłosny wątek „Pamiątki z Celulozy" ma niemniejszy walor ideowy niż porywające sceny bohaterskich czynów i walk. Ukazuje, jakie piękno i humanistyczną czystość uczuć wyzwala w duszach ludzi komunizm. Ukazuje, że życiową glebą tej siły komunizmu jest świat owej naturalnej ludowej moralności, która nie pozwoliła Szczęsnemu przystać na wulgarny ideał kupieckiego szczęścia.

Zniewalając czytelnika do pokochania postaci, a poprzez nie — spraw, którymi żyją, osiąga autor najsilniejszy argument artysty: wzruszenie. I w tym osiągnięciu jest Newerly głęboko partyjnym pisarzem.

5

„Pamiątkę z Celulozy" przesyca żywioł najszlachetniejszego humoru. Na ogół z humorem w ostatnich naszych utworach było niewesoło. Zbyt często autorzy przypominali przyciężkawe niedźwiedzie, puszczające się w hołubce. A w dodatku te tańczące niedźwiedzie znały tylko jedną figurę — postać wesołego „dziadka", w którego perypetiach zaczynał się i kończył cały humor utworu.

Skalę dobrego humoru znacznie rozszerzył M. Brandys w „Początku opowieści". Był to humor przyjazny, żywiący się radością przezwyciężania zła w życiu i w duszach bohaterów. Ale pomimo bogactwa żywych sytuacji, w których się on przejawiał, był jednak jednostajny, wygrany na tej jednej, pogodnej strunie.

Humor powieści Newerlego jest i tkliwy, i chłoszczący, i rozedrgany najpiękniejszym liryzmem miłości dla człowieka i brzmiący zdrowym, ludowym śmiechem z kłamstwa i obłudy posiadaczy, z tchórzostwa i głupoty ich pachołków.

Do pierwszego rodzaju należą niezrównane sceny rozmów Szczęsnego z małą Brońcią, rysy starego ojca, którego zacofanie jest tyleż śmieszne, ile usprawiedliwione ciemnym, katorżniczym, a przecież tak uczciwym życiem, postać Fejgi — dobrej kobiety, z pociesznym sprytem troszczącej się o losy rodziny, i dziwaka — Perehubki, żyjącego czystym nurtem ludowej, nieprzebudzonej i naiwnej jeszcze tęsknoty do sprawiedliwego świata.

Ten głęboko humanistyczny stosunek autora do prostego człowieka, wejrzenie odkrywające piękno i czystość jego duchowego życia — jakże przypomina klimat moralny książek Gorkiego. Komunizm — mówią te książki — to jest miłość dla ludzi, ukazywanie bijących źródeł człowieczeństwa w świecie burżuazyjnego upodlenia, walka w imię tych wartości. Szyderstwo, gniew, nienawiść — to tylko nieunikniona konsekwencja tej miłującej postawy, narzucona jej warunkami życia.

Żadnemu z naszych powieściopisarzy nie udało się tak przejmująco wyrazić tej naczelnej prawdy, tak głęboko odkryć humanistycznej siły marksizmu. Powiodło się to Newerlemu — doskonałemu znawcy życia i ludzi, zrośniętemu wieloletnim obcowaniem z opisywanymi środowiskami.

Dlatego też i humor negatywny — ośmieszający i szyderczy — odbija szeroką naturę ludu, jego fantazję i cietość, jego umiejętność samoobrony i celnej drwiny.

Poszczególne postaci objawiają odmienne typy owej życiowej inteligencji ludu: Szczęsny — rozumną brawurę, gdy wsuniętą do kieszeni ręką dowcipnie nabiera policję lub odegraniem roli chciwego przygłupka wyprowadza w pole „gumowanego" tajniaka; Łąpieć — cięty, samorodny dowcip, gdy owymi z cicha pęk gadkami i przysłowiami wytrąca z równowagi kupiectwo, zmuszając je do podatku na strajkujących; Jasieńczyk — bezlitosną, demaskatorską drwinę, ów swobodny i mądry śmiech, obnażający przebiegłą chciwość posiadaczy; mała Brońcia z udaną naiwnością naprowadzająca szpicli na ślad przestępczyni-kozy, dwie dziewczyny wykorzystujące „męskie ambicje" mizernych agentów — to dla odmiany typ dziecinnej i kobiecej fantazji, jeszcze jeden objaw tej samej inteligencji, zmysłu humoru-samoobrony i humoru-ataku.

Dla artyzmu Newerlego znamienne jest to, że ową szeroką ludową fantazją odznaczają się nie tylko niektóre postaci powieści — przeniknęła ona w sam styl narracji autora, w budowę jego komentarzy, nadając „Pamiątce z Celulozy" doskonałą jednolitość treści i formy.

Duszą tej narracji jest potoczne porównanie, cięte ludowe powiedzenie, dowcip, obrazowa charakterystyka.

Styl wielu ostatnich powieści rozpada się na dwa jakby rodzaje: język ludowych bohaterów, który pisarz stara się oddać w dialogach i monologach oraz wymuskany i wymyślny styl „literata", którym pisane są partie narracyjne i komentarzowe. Nasycenie stylu narracyjnego „Pamiątki z Celulozy" bogactwem żywej mowy sprawia, że zanika wrażenie jakiegokolwiek dystansu między pisarzem a opisywanym ludowym środowiskiem. Czy to będzie dosadna charakterystyka szpicla Kota, który „rozum miał w nogach nadzwyczaj bystry", czy obrazowe określenie wyglądu Jasieńczyka — „kataryniarza włoskiego", czy zawsze kpiący rysopis Korbala, który „skrobie sie i mówi — podwójną ma przyjemność", czy wreszcie utrzymany w tonie samorodnej satyry komentarz historyczny o „sukcesorach osieroconych" śmiercią Piłsudskiego — wszędzie brzmi ów żywy, bogaty, celny humor ludowy, gdy trzeba — ostry i walczący, a kiedy indziej miękki i tkliwy. Dyskretny liryzm przepaja przecież opis pociesznych przygód Mechmandary czy też niepokojów Szczęsnego w miłości do „towarzyszki młodzieżowej na szczeblu bądź co bądź okręgu".

Humor Newerlego — ten czuły i ten chłoszczący, ten przejawiony w sytuacjach powieściowych i ten pulsujący w stylu autorskiej narracji — jest bardzo ważkim składnikiem ideowym „Pamiątki z Celulozy". Wyraża ludowy optymizm — siłę młodą i zwyciężającą pomimo przemocy wroga; na tle prawdy o materialnym i politycznym ucisku ludu — uwydatnia jego moc odporu, inteligencję i fantazję, cieszy się świeżością i pięknem jego duchowego życia.

Na różnorodności rodzajów i funkcji tego humoru, na jego bezbłędnym osadzeniu w prawdzie psychologicznej i społecznej — uczyć się można sztuki pisarskiej.

Sprawa rozmaitości emocjonalnego zabarwienia poszczególnych partii utworu nie wyczerpuje jeszcze przyczyn pełnej satysfakcji estetycznej, jakie budzi lektura „Pamiątki z Celulozy".

Przypomnijmy, jak różnorodne są impulsy uczuciowe Szczęsnego, Madzi i Władka przy zakładaniu mieszkaniowej „komuny". Autor starannie odbija wydarzenia powieściowe w specyficznym przeżyciu każdej z uczestniczących postaci. Dzięki temu ich charaktery rysują się „samoczynnie" w toku akcji. Ale to nie wszystko. Uwydatnienie odmienności reagowania psychicznego postaci nadaje dramatyzm najspokojniejszym nawet scenom, gdyż nasyca je wielostronnością ludzkich podejść. Błahy fakt — urządzenie wspólnego mieszkania — przedstawiany kolejno od strony specyficznych przeżyć Szczęsnego, Madzi i Władka — staje się bogatym i dramatycznym wydarzeniem. Również więc i stąd — z wydobywania ludzkiej problematyki każdej sytuacji — pochodzi owo nieopuszczające czytelnika poczucie żywej i pełnej prawdy.

Niesposób wyczerpać poznawczej i artystycznej problematyki „Pamiątki z Celulozy" w ramach recenzji — trzeba by napisać całą książkę. A w niej — wiele miejsca poświęcić pięknej postaci dziewczyny-rewolucjonistki — Madzi. Jak również całej galerii znakomitych typów newerlowskich — staremu ojcu, Baburze, Czerwiaczkowej, Korbalowi, Haraśnemu... Trzeba by z całą uwagą zbadać ich język, znakomicie podchwycony przez autora, odkrywający w jednym błysku charakter, środowisko, mentalność mówiącego. Trzeba by podziwiać znajomość psychologii dziecka, kreślącą rysy, zachowanie się, mowę małej Brońci.

Wreszcie trzeba by więcej, niż tu było możliwe, poświęcić miejsca specyficznym cechom sztuki pisarskiej autora. Jego wielkim, realistycznym metaforom — w rodzaju sceny tej oczyszczającej kąpieli Szczęsnego, kiedy po rozmowie z Olejniczakiem — odrodzony, natchniony, niecierpliwy — skoczył do wiślanej wody, aby co prędzej być na brzegu, powiewającym czerwonym sztandarem; albo opisowi powitania Madzi ze Szczęsnym — wśród scenerii mazowieckiego krajobrazu— kiedy głos umęczonej tęsknotą kobiety przeistacza się w głos całej ziemi — cierpiącej i tęskniącej. I wszystkie wspaniałe opisy krajobrazu, pachnące Mazowszem i Wisłą, tchną prawdą o doli ludu, zamieszkującego tę ziemię, oddają jej ojczysty, niepowtarzalny smak.

Ktoś powiedział, że „Newerly pisze coraz młodziej". Rzeczywiście orzeźwiająca młodość duszy ludu i dojrzałość jego Partii ukształtowały tę książkę.

Andrzej Wasilewski.

— Igor Newerly: Pamiątka z Celulozy. Czytelnik, 1952. Str. 518 i 1 nlb.•

W tym roku przypada dziesiąta rocznica śmierci wielkiego poety bułgarskiego Nikoły Jonko Wapcarowa, ur. w 1909 r., rozstrzelanego w 1942 r. przez rząd faszystowski za działalność rewolucyjną. Twórczość poetycka Wapcarowa przypadająca na lata miedzywojenne jest wyrazem najświetniejszych rewolucyjnych tradycji poezji bułgarskiej. Wapcarow po raz pierwszy wprowadził do poezji bułgarskiej nową tematykę, bułgarskich robotników walczących z kapitalistycznym wyzyskiem. Wydawnictwo „Książka i Wiedza" przygotowuje obecnie wybór jego wierszy, który ukaże się w czasie najbliższym.



Mikołaj Wapcarow

MIKOŁAJ WAPCAROW

PIEŚŃ MIŁOSNA

Jak spadający kamień
Trwoga nad nami zawisła.
Wojna. Przeczucie nie kłamie.
Krew, bunt i ogień w myślach.

Na tle czystego nieba
kominy fabryk jak co dzień —
a przecież bunt w nich dostrzegam,
choć słońce cicho zachodzi.

I teraz, w obręczy wroga
powiedz, czy wielką jest winą,
żeś jeszcze sercu tak droga,
że jeszcze w sercu jest miłość?

Maszyny dudnią z pośpiechem.
Huk armat powietrzem targa.
Powiedz, czy dzisiaj jest grzechem
mieć twoje imię na wargach?

Świat zmalał — i dla miłości
niewiele miejsca zostało.
Dlatego śpiewam najprościej
piosenkę tak samo — małą.

Przełożyła **Wisława Szymborska**

MIKOŁAJ WAPCAROW

LIST

Adres:
Senora
Francesca
labore
Yuesca.

Matko.
Fernandeza zabito.
Fernandez
zakopany w ziemi.
Fernandeza
już nie ma.
Fernandez
leży niemy
pod murami
Madrytu.

Taki był dobry dla mnie,
dlaczego mi go zabili?
Po jego śmierci nagle
może ten bój się przesili.

Ja tylko tobie, matko,
zwierzyć swój smutek mogę,
ty wiesz, że łzy nierzadko
na wojenną padają drogę.

Zapatrzysz się w czyjeś oczy,
chcesz pociechę w nich znaleźć,
lecz ich spojrzenie się mroczy
i złą wytacza z nich żałość.

To może brat dogorywa,
to może kochany padł,
to może pocisk porywa
uśmiech młodzieńczych lat.

A może na chłopca i ona
jak ja oczekuje samotna,
ale kogo w wilgotne ramiona
ziemia chwyci, tego nie odda...

Matko nie szukaj w nim winy,
że stanął do walki krwawej,
to raczej my się mylimy,
on bił się o dobrą sprawę.

On jeden prawdę zobaczył
godną ludzkich zamierzeń:
lepiej umierać w walce,
niż dalej żyć jak zwierzę.

My mogliśmy jeść do syta,
nam obojgu chleba nie brakło,
lecz dla przyszłego syna,
czy starczyłoby, matko?

Patrzę na obraz wojny,
nie mogę go objąć rozumem:
Ruszają na siebie zbrojni —
czy głód tylko rządzi tym tłumem?

Dziś stu wkładaliśmy do trumien,
których zgniotła schronu powała,
tego zamknąć w słowach nie umiem,
com na własne oczy widziała.

Jakiż podziw to budzi,
jakże dziwne to mi się zdało,
że oto na tych ludzi
jakby nowe światło spływało.

I ujrzałam stojąc przy grobie
jak poprzez trumien deski
ręce wyciągnięte ku sobie
połączył uścisk braterski.

Oto łączą się w śmierci,
we wspólne ciało jednoczą,
radość szczęśliwej śmierci
w ich oku płomieniem migoce.

I pojęłam: to było potrzebne,
aby odszedł w wojenną burzę.
Został miły, gdzie szańce bitewne,
już go więcej nie ujrzę.

Fernandeza już nie ma, mamo.
Matko, Fernandez zabity.
Fernandeza w ziemi zakopano.
Opłakuj młodość nieprzeżytą.

Ale przed ojcem — ni słowa,
smutek zeżre to wątłe życie,
dla niego uśmiech zachowaj —
zapłacz gdzieś skrycie.

Jeżeli o czymś się dowie
Jeśli zadrży przeczuciem nękany,
powiedz, że sprzyja nam zdrowie
i że dziecka się spodziewamy.

„Dolores" — powiedz czule —
„dziecięcych bajek się uczy
i z możem cię zapytuje
czy wnuczka ma być, czy wnuczek?"

Gdybym o czym innym pisała,
byłby smutek znów matko moja.
Córka cię twoja pozdrawia —

Dolores Maria Goya.

Przełożył: **Andrzej Wirth**

Zamieszczamy poniżej wiersz poety bułgarskiego, Dymitra Pantelejewa; wiersz napisany został w związku ze śmiercią Georgi Dymitrowa, której druga rocznica minęła w dniu 2 lipca br. Dymitr Pantelejew bawi obecnie w Polsce w związku z przygotowywaniem antologii współczesnej poezji polskiej w języku bułgarskim.

DYMITR PANTELEJEW

BALLADA O KOLUMNOWEJ SALI

Nad Moskwę spływa mroku gęsta fala,
zegara dźwięk z kremlowskiej słychać wieży,
światłami płonie Kolumnowa sala,
Dymitrow zmarły pośród kolumn leży.

Stepowym chłodem wiatr wieczorny dmucha,
moskiewskie gwiazdy zaglądają w oczy.
Radzieckich ludzi tłum w kolumnie kroczy
żegnając brata — towarzysza, druha.

A obok trumny — wciąż, niepostrzeżenie —
kolumna druga się przesuwa w mroku:
nie niosą kwiatów bezcielesne cienie —
nadzieje niosą, troski i niepokój.

Nad martwym ciałem bezszelestnie stanął
partyzant-żołnierz z głową zakrwawioną
i jeszcze szepnąć zdołał, zanim skonał:
— Lud Jawy cię pozdrawia zbuntowany.

Osłabły z głodu górnik — tak Kanada
nagradza ciężki trud! — meldunek składa:
— My, towarzyszu, zgodnie z wolą twoją
idziemy naprzód i krzepniemy w boju.

A polski hutnik, jak partyjnym hasłem,
stalowym żegna towarzysza słowem:
— Nasz lud, pamięci twojej wierny jasnej,
o pokój walczy, życie tworzy nowe.

I idą wciąż — i w twarz wodzowi patrzą
ci, co go znali — przyjaciele szczerzy:
murarze z Rzymu, znad Tamizy tkacze,
żołnierze z Chin, z francuskich miast dokerzy.

Żegnają niewolnicy go z Hawanny,
całego świata żegna lud roboczy,
bo wszędzie bój zażarty, nieustanny
o wolność, prawdę i o chleb się toczy.

A gdy już z mrokiem walczy brzask poranny,
do trumny, mężnie tłumiąc łzy, podchodzi
robotnik — za nim żniwiarz, junak: młodzież
z rodzinnych naszych pól i gór — Bałkanów.

I płynie oto szept surowy, śmiały:
— Żyć będziesz w blasku nieśmiertelnej chwały!
Dokończyć dzieła twego w naszej dobie
my, Dymitrowie, ślubujemy tobie!

I kolumnami dwiema pochód ciągnie,
kremlowski zegar znaczy czas miarowo,
drżą nad stepami rosyjskimi ognie,
radziecka Moskwa żegna Dymitrowa.

Przełożył **Eugeniusz Żytomirski**

RYSZARD HŁADKO

Zdrowie dla dawnej Polski „B”

Miałem jechać tam, gdzie najbardziej dosadny synonim słowny zbyt był nieudolny, aby oddać bezmiar cierpienia i nędzy, zawarty w słowie „Białostocczyzna”. Do kraju wielkich kniei i nieprzebytych ostępów leśnych — jak dawniej mawiano. Do byłego latyfundium Wielkich Łowczych sanacyjnej Rzeczypospolitej, do Polski zarówno Mościckich jak i Goeringów, gdzie wartość człowieka mierzono jego przydatnością jako naganiacza dzikiej zwierzyny.

A przecież nie w takie już może Białostockie. Miałem prawo z góry założyć, że Plan Sześcioletni nie zna pojęcia „rubieży”. Taka bowiem jest wewnętrzna logika tego planu. Dociera on do najskrytszych zakątków kraju, ale przekonać się o tym mogłem dopiero na miejscu. Wystarczył jeden zaledwie wycinek tych przemian.

Na miejscowość wpadłem zupełnie przypadkowo. W przedpokoju Komisji Przydziału Pracy dla absolwentów warszawskiej Akademii Medycznej dwóch interesantów wiodło przyciszoną rozmowę.

— Jak uważasz? Dokąd nas skierują — dopytywał się jeden z nich.

— Czy ja wiem... — zastanawiał się zapytany. — Najprędzej — przypuścił z niezdecydowaniem — do Hajnówki.

— Hajnówka? Gdzie to?

— Białostocczyzna... — wzgardliwie machnął ręką. I dalej tonem zjadliwie nonszalanckim: — Pięć godzin samolotem, dzień pociągiem i dwa dni wołami. A jeszcze na „per pedes” coś zostanie...

Znikam za drzwiami Komisji. Przewodniczący, doktor Pietraszkiewicz, długo szpera w wykazach:— Absolwentów mamy niemało. Większość kierujemy na prowincję. Proszę, proszę... Może coś z tego... — zaczyna wyliczać: Mrągowo, Ełk, Mikołajki, Hajnówka...

— A no niech będzie Hajnówka — przerywam przypominając „tamtą” rozmowę.

ŻYWICZNE KLONDIKE

Jakoś obyło się bez wołów. Pociągiem dojeżdżamy aż na samo miejsce. Panorama miejscowości nie mieści się w jednym spojrzeniu: Hajnówka jest bardzo rozległa. Zastanawiam się nad określeniem: miasto, osiedle czy po prostu taka sobie „większa wieś”? Jakkolwiek ostatnio zdecydowano się ustalić, że Hajnówka to jednak chyba miasto i otwarto tu siedzibę MRN, wszelako bezładna asymetria osady z chaotycznie porozrzucanymi na podpuszczańskich piaskach drewnianymi domkami nie tłumaczy celności tego określenia. Polne ścieżki dopiero w centrum schodzą się w brukowaną ulicę. Hajnówka to królestwo drewna. Decyduje o tym bliskość Puszczy Białowieskiej oraz miejscowy tartak przystosowany do przeróbki drewna. Toteż drewno jest tu uniwersalnym materiałem budowlanym, wcieliło się w najdrobniejszy detal architektoniczny, wcisnęło w najskrytszy szczegół krajobrazu. Drewniane domy, drewniane stajnie i obory, drewniane płoty i ogrodzenia. Wydaje się, że nawet powietrze przesycone jest żywicznym zapachem drewna. W perspektywie spojrzenia przypadkowego turysty Hajnówka będzie sprawiać wrażenie podhalańskiego letniska. Pięknie musi tu być w lecie. Ta ostatnia okoliczność nabiera dziś szczególnego znaczenia.

Historia Hajnówki, to historia rzekomo kapitalistyczna. Rozkwit jej przypada na okres międzywojennego dwudziestolecia. Tutejsze drewno było prawdziwą żyłą złota dla tego, kto umiał je wykorzystać. Toteż rychło zjawili się tu zagraniczni reflektanci, głównie niemieccy. Kapitały wzajemnie się zasymilowały: państwo założyło tartak, niemiecka firma „Terebenten” — terpentynownię, inny fabrykant — fabrykę chemiczną. Hajnówka otwarła koniunkturę, do Hajnówki zaczęli ściągać bezrobotni. Nie dla wszystkich starczyło mieszkań. Zakrzątnęli się i wokół tej sprawy rozmaici kombinatorzy. Miejscowi i napływowi dorobkiewicze na gwałt poczęli budować. Jak grzyby po deszczu na hajnówczańskich piaskach rosły drewniane, na prędce stawiane pudła — czynszówki. Czterdzieści złotych żądano za jakie takie locum. Kto sobie nie mógł pozwolić, budował się sam. I oto Hajnówka stała się monstrualnym kretowiskiem. Robotnicy tartaczni — ówcześni jaskiniowcy kapitalistycznego porządku — w ziemi poczęli ryć swoje legowiska. Co parę kroków stawiano lepianki, głęboko wryte w ziemię, gdzie ubity grunt lub gliniane klepisko zastępowały podłogę, a kilka sękatych bierwion — ściany i dach. Zwano je „ziemlankami” lub inaczej „trociniakami”, jako że zimową porą opatrywali je mieszkańcy trociną, aby uratować choć szczyptę ciepła.

Dziś cała Hajnówka oskarża. Bezładnym zgiełkiem zbutwiałych bud, rozłażących się na wszystkie strony jak zdezelowany chodak, przeraźliwym skrzypieniem dawno nie naprawianych schodów, walącymi się parkanami i złowieszczym poświstem wiatru hulającego w niedomykających się futrynach okien i drzwi. Stracona hipoteka, w której przepadł ciężki grosz czynszowy robotnika.

A przecież jest już inaczej. Opuszczone przez kombinatorów mieszkania pozajmowali właściwi gospodarze osiedla, ci dla których niegdyś dnem życiowej mordęgi było gliniane klepisko „trociniaka”.

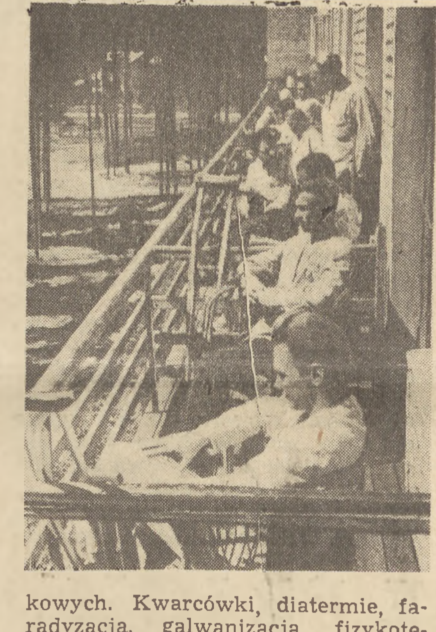
O PIERWSZYM NOWYM DOMU

Dziś jest inaczej. Przede wszystkim to, z czego tu żyją. Nieprzerwanymi smużkami wtapiają się w niebo dymy tutejszych fabryk. Jest to nierozdzielny nawet w nocy motyw hajnówkowego krajobrazu. A to znaczy: osiem tysięcy mieszkańców Hajnówki ma na z a w s z e pracę i n a z a w s z e kawałek chleba. Przecież jednak nie jest to jedyne akcesorium zmiany.

Prócz tego jest jeszcze szpital. Czyż w tym zestawieniu nie za wiele niezręcznej pretensji? Przeciwnie. Szpital — to drugie źródło tej samej przemiany. Wszakże to od stanu zdrowotnego tej dzielnicy rozpoczynali statystycy socjologiczną analizę terenu. Tu, na ziemi białostockiej, kryły się najjaskrawsze kontrasty, o tę sprawę rozgrywały się największe tragedie, tu cyfry miały najpotworniejszą wymowę. Z przerażeniem czytamy dziś, jak to w latach kryzysu 1929-33 ówczesny wojewoda białostocki, a późniejszy premier pan Marian Zyndram Kościałkowski, cieszył się i zachłystywał ze szczęścia, że... samorządy zmniejszają wynagrodzenie lekarzy, likwidują rejony: „z 28 rejonów spada ich liczba do 19 i z tych 2 są utrzymywane przez gminy wiejskie”.

Polska Ludowa przyniosła Hajnówce największe dobrodziejstwo: szpital. Wyposażyła go tak, że niejeden szpital wojewódzki mógłby Hajnówce pozazdrościć.

To że wszystko lśni od czystości — wiadoma rzecz: jak w każdym szpitalu. To że jest widno i słonecznie... tak powinno być wszędzie. To że świeże powietrze, że pod lasem — szczególne warunki. Ale nie w każdym prowincjonalnym szpitalu znajdą się aż 3 rentgeny, w tym: nowoczesny aparat Philipsa i aparat do zdjęć przyłóżkowych. Kwarcówki, diatermie, faradyzacja, galwanizacja, fizykoterapia, laboratorium, w którym można przeprowadzać najbardziej skomplikowane badania, sala operacyjna dostatecznie zaopatrzona w niezbędne instrumentalia, początki stacji przetaczania krwi i wreszcie obfitość medykamentów — pod tymi wszystkimi zawikłanymi terminami kryją się możliwości hajnówczańskiego ośrodka.



Przede wszystkim jednak ludzie: ludzie szpitala. Ta pięcioosobowa grupka lekarzy, która cały swój wysiłek i całą swoją ofiarność poświęciła służbie najpiękniejszej idei, idei życia, służbie człowieka.

Zniżmy ton: ci ludzie nie cierpią patosu. Traktują swą pracę jak każdy inny pracownik, jak każdy inny człowiek. Dwóch z nich, to doktor Arendarczyk i doktor Niekrasz. Niedawno dopiero ukończyli studia. Mogli przecież wyjechać sobie do Wrocławia, Gdańska, Szczecina, zostać nawet w Warszawie. Mogli, jak ich koledzy z podsłuchanej przeze mnie rozmowy w przedpokoju Komisji w Warszawie, machnąć ręką ze wzgardą. A jednak przyjechali tu do Hajnówki. Na tę wzgardzoną prowincję. A jednak zdecydowali się na ten czternastogodzinny często dzień pracy, na zbutwiały dach we własnym mieszkaniu, na upartą i nieraz mało skuteczną walkę z białostockim zabobonem i białostocką ciemnotą.

SPOKOJNA CHOROBA

Statystyka notuje, że przed wojną w Białostockiem jeden lekarz przypadał na 21 tysięcy mieszkańców. Jeśliby patrzeć z mechanicznego punktu widzenia statystyka, wyszłoby, że w Hajnówce nic się właściwie nie zmieniło. W dalszym ciągu owe 100 tysięcy mieszkańców Hajnówki i okolicy obsługuje 5 lekarzy. Ale ważna tu jest nie sucha statystyczna cyfra, lecz jej konkretna treść. Przed wojną jeden lekarz tylko „przypadał” na 20 tysięcy mieszkańców, dziś rzeczywiście obsługuje on tych 20 tysięcy. I to jest treść zasadniczej różnicy, jaką wyrazić by można w słowie „powszechność leczenia”.

W Prezydium MRN jeden z urzędników starał się mnie przekonać, że przed wojną ludzie mniej chorowali niż obecnie. Zdawałoby się, że istotnie tak jest.

Przegląd ksiąg zabiegów Ośrodka i szpitala w Hajnówce, nienotowana nigdy dotąd frekwencja pacjentów wypełniających poczekalnie lekarskie, zdawałyby się usprawiedliwiać to złudzenie. W ubiegłym roku przez szpital przeszło 2.600 chorych, którym udzielono ponad 2000 poważniejszych zabiegów chirurgicznych i leczniczych, w tym 110 o szczególnie skomplikowanym charakterze. Ponad 170 osób dziennie zasięgnęło porady lekarskiej. Do cyfr tych należałoby dodać liczbę zbadanych w wielokrotnych wyjazdach ekipy lekarskiej na wieś w ramach pracy społecznej i badanych w specjalnych okręgach profilaktycznych. Dopiero szczegółowe rozejrzenie się w tych cyfrach, analiza każdego pojedynczego wypadku pozwalają stwierdzić, że większość poważniejszych zjawisk chorobowych zaistniała jeszcze w przedwojennym okresie.

Na przykład najpowszechniejsze na tym terenie z chorób przedwojennych — są choroby żołądka. Większość poważniejszych operacji to resekcje żołądka. Choroba ta była tu tak powszechna, że posłużyła jako temat specjalizacyjny w pracach personelu lekarskiego Hajnówki. Dyrektor szpitala, doktor Dowgird, opracowuje obecnie książkę na ten temat.

Wiedziano o tej i innych chorobach i przed wojną. Ale wtedy rzadko kto się leczył. Nie tylko dlatego, że w Hajnówce nie było szpitala. Głównie dlatego że nie było za co. Wizyta u prywatnego lekarza kosztowała najmarniej 5 — 6 złotych, nie mówiąc już o zabiegu operacyjnym. Któryż z robotników tartaku zarabiający do 3 złotych dziennie mógł sobie na nią pozwolić? Nie leczono się też i z tego powodu, aby nie stracić pracy u fabrykanta, który nie mógł sobie pozwolić na przestoje produkcji, czy pokrywanie kosztów leczenia. Jednego tylko robotnika wysłano stąd przed wojną do sanatorium. Wysłano w ostatniej chwili, kiedy wiedziano, że umrze i chodziło już tylko o to, aby pozbyć się człowieka, któremu należałoby dać pośmiertną odprawę. Relacja jednego z pacjentów szpitala, dyrektora spółdzielni spożywców w Hajnówce, Józefa Cieśluka, dobrze naświetla różnicę między tamtymi a dzisiejszymi czasami. Przeszedł on niedawno ciężką operację żołądka i niezupełnie jeszcze powrócił do zdrowia. Woskowo żółta skóra szczelnie obciska kości twarzy.

— Pracowałem przy karczowaniu karpiny u Terebentena. Znany był na całym świecie z wyzysku. Mieszkałem w wykopanym dole, obłożonym patykami. Ubezpieczonych wśród nas nie było: właściciel trzymał nas na specjalnych umowach jako rzekomych wspólników. A drań — rzuca nie kończąc, bo go porywa spazmatyczny kaszel. I potem jeszcze cichszym tonem: — płacił dwa - trzy złote dziennie. To jak kto u nas zachorował — ładowaliśmy go na wóz i do szpitala. Niech się tam już o niego kłopoczą. Takie to czasy były. Ja miałem grypę. Ciężką. W szpitalu były brudy, nie dożywiali, ale płaciłem po 4 złote za dzień. Wydałem całe 200 złotych, to mi u Terebentena zwrócili tylko 50.

Cieśluk zamyśla się: to już przeszło.

— Teraz moje leczenie jest bardzo dobre. Tu mi niczego nie żałują: penicylina, streptomycyna, krew... wszystko; ile ja bym za to kiedyś musiał zapłacić... I wiecie, co jest najważniejsze... wiem, że jestem potrzebny, że czekają na mnie, że nie stracę pracy jak stąd wyjdę. Tam w domu żona, troje dzieci... Człowiek może spokojnie chorować.

„Spokojnie chorować” — to jest zaiste nowy zwrot naszej mowy w ustach — proszę wybaczyć pretensjonalność tego określenia — chorego Polski Ludowej. Przed wojną mówiło się inaczej: — „Ja tu leżę, a tam moi z głodu umierają”.

Więc po pierwsze: powszechność leczenia. Cieśluk nie jest wyjątkiem. Takie same warunki i podobną opiekę mają w Hajnówce i inni pacjenci: mała Basia ze złamaną nogą wspartą na podnośniku, młode matki czujnie nadsłuchujące przez uchylone drzwi porodówki wrzasku swych pociech, i ci z oddziału gruźliczego, łowiący jak ryba pierwsze podmuchy wiosennego wiatru wpadającego w otwarte okna sal. Ludzie starsi, którzy lata całe pieklili się sam na sam ze swoją chorobą, aby wreszcie móc zyskać prawo do szpitalnego łóżka; chłopcy o mądrych wyrozumiałych oczach odważnie otwartych na widok strzykawki czy lancetu, nieufne chłopki i rubaszni cieśle z tartaku — wszyscy wiedzą, że gdy stąd wyjdą, nie będą potrzebowali szukać od nowa pracy, zarobku, lecz powrócą do spraw niedawnych, znanych, przeżywanych, do siebie.

AFORYZM DOKTORA NIEKRASZA

Przed wyjazdem do Hajnówki rektor Akademii Medycznej w Białymstoku, profesor Kielanowski, namawiał mnie: — Zajdźcie koniecznie do tamtejszego tartaku. Złoci ludzie. Nie wyobrażacie sobie, jak szybko i starannie wykonali dla naszej uczelni zamówione meble. Podziękujcie im serdecznie ode mnie.

Dotrzymałem obietnicy. Pierwszy robotnik, z jakim się zetknąłem, to był Tadeusz Zawadzki — grupowy w stolarni. Brygada jego wyrabia 130 proc. normy. Kiedy mu powtórzyłem słowa profesora Kielanowskiego, zażenowany począł gorąco protestować.

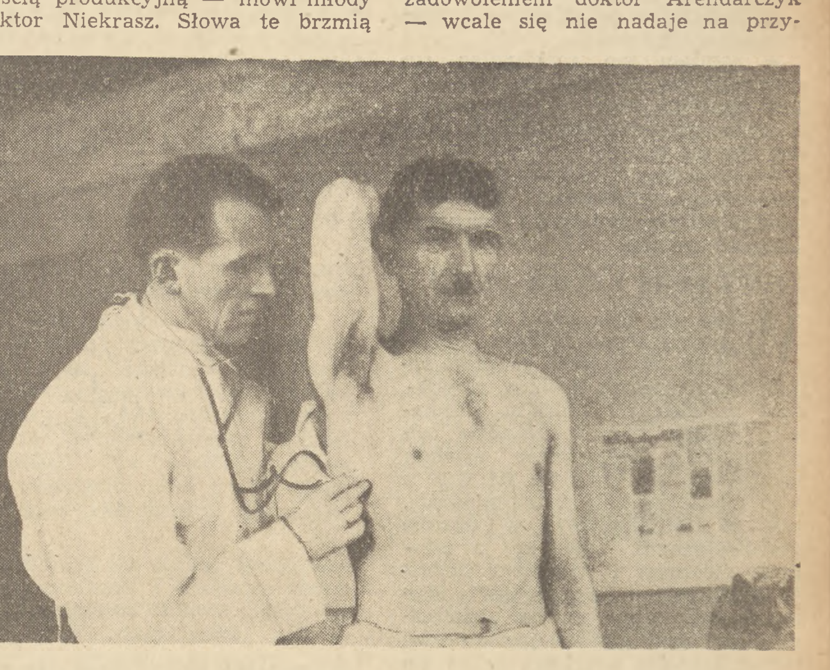
— Nie mnie, nie mnie. Doktorowi Dowgirdowi podziękujcie. Bo to — wiecie — odstawił piłę i oparł się o warsztat — było tak: miałem wrzód w żołądku. To jeszcze z czasów okupacji. Po wojnie, w robocie, jak mnie tu zaczęło skręcać, to tylko kładłem się na warsztat i beczałem. Właśnie wtedy robiliśmy meble dla Akademii. Termin obowiązywał. Alem ja nie mógł wyrobić swojej normy. Klęli mnie majstrzy, popędzali... bez skutku. Człowiek by samego siebie zjadł — a nie mogłem nawet kawałka chleba przełknąć. Jak się o tym Dowgird dowiedział, już mnie nie wypuścił. Nudzi i nudzi: daj się człowieku na operację, bo ci i tak nic nie pomoże. Tak przez pół roku mnie nachodził. To ja nie chciałem, bo mówili: pokrają człowieka, zakrają na śmierć. Ale w końcu se myślę: Już mi wszystko jedno. Żegnam się z żoną, dziećmi, mówię: idę na własny pogrzeb...

Zawadzki się uśmiechnął i sięgnął po nowego papierosa.

— A no widzicie... żyję i jakbym się na nowo urodził. W jedenastym dniu po operacji byłem w domu. Objadałem się jak żarłok. No i teraz, widzicie ,skąd te 130 proc. No to — zakończył przez ramię biorąc się z powrotem do pracy — idźcie, gadajcie w Dowgirdem.

To tylko jeden z wielu przykładów bezpośredniego wpływu służby zdrowia, wpływu hajnówczańskiego szpitala na wykonywanie naszych planów gospodarczych. Większość leczonych — to robotnicy miejscowych zakładów produkcyjnych. W ośrodku szpitalnym wykonuje się wszystkie zabiegi urazowe, skaleczenia, tu robotnik tartaczny leczy swe zadawnione schorzenia. Toteż wśród personelu szpitalnego wyczuwa się świadomość współodpowiedzialności za to wszystko, co się dzieje w zakładach pracy, za wykonanie planów produkcyjnych w tej czy innej brygadzie, w tym czy innym zakładzie.

— W każdym chorym chcemy widzieć nie tylko cierpiącego, któremu trzeba skrócić męki i przywrócić zdrowie, w każdym chorym chcemy widzieć także człowieka pracy, konieczność jego powrotu do warsztatu z możliwie pełną zdolnością produkcyjną — mówi młody doktor Niekrasz. Słowa te brzmią jak aforyzm i mogłyby być wyryte nad bramą szpitala.



Wypadek jaki miał doktor Niekrasz z robotnikiem tartaku, Wroną, był już tylko praktycznym wcieleniem głoszonych przez niego zasad. Wrona, zatrudniony przy pile tarczowej, przez nieostrożność tak sobie uszkodził palec, że nie pozostawało nic innego jak amputacja. Ale Wrona traciłby przy tym spory procent zdolności do pracy. Ponadto zwierzył się on kiedyś doktorowi Niekraszowi, że gra na klarnecie w orkiestrze zakładowej. Doktor Niekrasz nie jest człowiekiem sentymentalnym, a przecież, kiedy przystępował do zabiegu, i ta ostatnia okoliczność wydała mu się zasadnicza. Toteż nie poszedł najłatwiejszą drogą, nie zdecydował się na zabieg chirurgiczny. Mimo słabych szans zdecydował się na operację plastyczną, dłuższą i trudniejszą. Udało się. Skóra brzucha, przeniesiona na palec, zrosła się z nim nadspodziewanie szybko, dobrze wypełniając ubytek. Wrona powrócił do dawnej pracy. Można się tylko domyślać, z jakim wzruszeniem brał po raz pierwszy po operacji swój ulubiony instrument do ręki.

BITWA Z KOŁTUNEM

Nie wiem, kiedy doktor Arendarczyk wraca do domu. Wiem jednak, że gdy kładzie się do łóżka, będzie to oznaczało, że dzisiejszego dnia był wszędzie: w szpitalu, w ubezpieczalni, Domu Matki i Dziecka i że nawet nie omieszkał zajrzeć do Domu Starców. Że doktor w ciągu czternastogodzinnego dnia pracy przez cały czas nie rozstał się ani na chwilę ze swym fonendoskopem, którego gumowa rurka zwiesza się z kieszeni jego fartucha. Lecz gdybyśmy go porównali z Judymem, oburzy się i prawie ze złością zaprzeczy: nie róbcie z nas filantropów. To po prostu zwykła robota, obowiązek.

Arendarczyk jest najmłodszym (24 lata!) lekarzem Hajnówki. Zaledwie rok temu skończył studia na warszawskiej Akademii Medycznej.

Decyzja wyboru lekarskiego zawodu, choć dawna, wyszła z najzupełniej prozaicznych pobudek. To było jeszcze podczas okupacji. Pracował w Fabryce Wagonów w Warszawie. Zachorował na zapalenie gruczołu przyusznego i przebył bolesną operację, z której do dziś pozostała mu blizna pod uchem. Wtedy to właśnie poddając się rozmaitym zabiegom po raz pierwszy — powiada — zadał sobie niecierpliwe pytanie: Jak to jest, że za pomocą takich lub innych leków można człowieka do zdrowia przywrócić? Jakie to procesy muszą przebiegać w chorym organizmie. Na razie była to naiwna ciekawość laika, której nie towarzyszyły jakieś konkretne zamiary. Dzięki tej ciekawości jednak, już podczas studiów, tak wielką wagę począł przykładać do ćwiczeń. Wkrótce doszedł do wniosku, że anatomia patologiczna powinna stać się podstawą jego przyszłej praktyki lekarskiej. Toteż wybór kierunku studiów — chirurgii — był już tylko zastosowaniem tej pasji poznawczej, niepokojącej pasji odkrywania za pomocą skalpelu zagadek ludzkiego organizmu.

Teraz nie jest to już ciekawość dla ciekawości. Operuje żywych ludzi. Precyzyjność swoich cięć, trafność swojej diagnozy i skuteczność własnych recept zna nie tylko z pisanych prawideł medycyny. Skurcz bólu na twarzy pacjenta, jego uśmiech więcej mu niekiedy powie niż długie badanie. Lekarz — jak powiada — musi być jednocześnie psychologiem. Musi wiedzieć, komu i kiedy powiedzieć prawdę, przed kim ją zataić, musi umiejętnie dawkować nie tylko lekarstwo, ale i racjonalnie rozporządzać czynnikiem profilaktyki psychologicznej.

Arendarczyk zerka na zegarek: — Druga godzina. Muszę iść. W Izbie Matki i Dziecka mam stały dyżur.

Chcę mu towarzyszyć. Przyzwala. Idąc brniemy w błocie.

W poczekalni zgromadziła się już spora grupa kobiet i dzieci. W gabinecie doktor Arendarczyk zrzuca płaszcz i ubiera się w biały kitel. Umeblowanie pokoju skromne: stół, trzy krzesła i lekarska kozetka. Na ścianach zacieki od wilgoci. Zimno, kaflowy piec bardzo skąpi ciepła.

— Ten czworak — mruczy z niezadowoleniem doktor Arendarczyk — wcale się nie nadaje na przychodnię. Dobrze, że się rozbudowujemy. Widzieliście ten nowy budynek szpitalny?...

Rozpoczęło się badanie. Najliczniejszą grupę pacjentów stanowią niemowlęta i dzieci. Nieśmiałe i rezolutne, rozwrzeszczane i pokorne, dzieci na swój sposób, z nabożną powagą, z wstydliwym uśmieszkiem, płaczem lub beztroską paplaniną reagują na chłodny dotyk fonendoskopu, głuchy odgłos opukującego palca — sakramentalne czynności przy rozpoznawaniu. Znać, że młody lekarz wkłada w nie całe doświadczenie swoich niedawnych studiów z praktyki dyplomowej w warszawskich klinikach i półroczną rutynę zdobytą w miejscowym szpitalu. Do dzieci — mówił mi godzinę temu — czuję szczególny sentyment.

Złości go, że swą serdeczność dla nich musi najczęściej uzewnętrzniać w gniewie. Na ogół bowiem bezpośrednim sprawcą choroby dziecka są sami rodzice, którzy z lekkomyślnością traktują sprawę zagwarantowania odpowiednich warunków zdrowotnych. Trzeba umieć podchodzić do ludzi, bo nierzadko jeszcze rodzicielski przesąd, oddający dziecko w ręce wiejskich znachorów, walczy o lepsze z zaufaniem do lekarza. Chodzi mu więc o zdobycie tego zaufania.

Do gabinetu wśliznęło się dwoje ludzi: młode małżeństwo przydźwigało na rękach dwa grube tłumoki. Można się było jedynie domyślać ich zawartości; dzieci zawinięte były w potworną warstwę grubych betów.

— Odwinąc — polecił Arendarczyk. — Jak można tak zawijać dzieci? Dziecko się udusi... — tłumaczył cierpliwie.

— Zimno... — usprawiedliwiła się matka. — A taki my z daleka jesteśmy — przeciągnął z białoruska mężczyzna.

Wystarczyło jednego spojrzenia na główkę dziewczynki, aby wiedzieć o co chodzi. Wielki strup na czole pozlepiał zmierzwione włoski.

— Kołtun — rzekł lekarz.

— Aha — przyświadczyła skwapliwie kobieta, zdając się być ucieszona z orzeczenia, które potwierdziło jej przewidywania.

— Trzeba było ściąć dziecku włosy — upomniał Arendarczyk.

W oczach rodziców pojawił się wyraz przestrachu.

— Toć umrze — na wsi gadają — zaprotestowała energicznie kobieta. — Bo to raz tak było... A w ogóle — złagodziła rozkładając z dezaprobatą ręce — nie da się dotknąć, płacze...

Na twarzy Arendarczyka pojawiło się znużenie. Zawsze to samo, zawsze to samo. Staram się odgadnąć jego myśli. Kiedyż wreszcie kołtun — tradycyjna choroba dawnej Białostocczyzny — zniknie na zawsze z chałup wiejskich? Kiedyż rodzicielskimi odruchami serc pokieruje rozsądek?

Arendarczyk musiał przerazić się nagle swych myśli: bruzda na policzku, która mu nadawała wyraz sceptycznego rozgoryczenia, wygładziła się. Oczywiście, nie można winić tylko tych ludzi. Zawiły język ekonomii politycznej jakże prosto tłumaczył się tu w nagiej prawdzie czworacznej ciemnoty i nędzy. Łatwiej jest Polsce Ludowej przepędzić nędzę i głód z białostockiej ziemi niż wykorzenić odwieczny przesąd.

— Tak — to z brudu — decyduje się powiedzieć prawdę doktor Arendarczyk. — Tak, tak, z brudu — przytwierdza z nagłą pasją widząc porozumiewawcze, przekornie niedowierzające spojrzenie kobiety ukradkiem zamienione z mężem. — Zresztą, niech pani sama spojrzy... Przecież to wszystko już gnije.

Twarze rodziców pokrył nagle grymas podejrzliwej nieufności i niezadowolenia. Arendarczyk zapewne musiał doświadczyć podobnego, co ja, uczucia przykrej obcości. Postanawia jednak nie rezygnować. Matka tymczasem energicznie okręcała na powrót swe maleństwa w brudne gałgany. Arendarczyk począł mówić szybko, żywie, gwałtownie. Asystująca [illegible] tariuszka ze zdziwieniem ot-

WACŁAW OLSZEWSKI

* * *

Zacząłem na mej sali ranny obchód chorych,
słońce — siostra szpitalna — wędrowało ze mną,
nad każdym łóżkiem nocne rozsuwamy story:
pierzchał mrok i obawa, smutek i niepewność.
Na karty gorączkowe — złotym atramentem
wpisujemy zlecenia: i słońce, i lekarz —
i na szpitalnych łóżkach — twarze uśmiechnięte
i ufność w ludzką wiedzę i ufność w człowieka.

Mój brat, tym samym rankiem, w gdańskiej stoczni dokach
spuszczał w morze trud dłoni i trud mózgów — statek;
wzięła rudowęglowiec w opiekę Zatoka,
pękniętą flaszą wina żegnając go z bratem.
I popłynęły pierwszym rejsem mego brata:
marzenia hutników o lądach dalekich,
tęsknota morskiej fali i zew morskich latarń
i ufność w ludzką wiedzę i ufność w człowieka.

Żonie mojej — tym rankiem — w doświadczalnej glebie
kiełkowały gatunki nowych zbóż i roślin,
fiolet skrobi pachniał w mikroskopie chlebem,
w termostacie, jak w słońca blasku — zboża rosły;
rosły nowe odmiany i jak ludzie nowi
odporniały przed mrozem i tradycją wieków

— zmieniając świat i siebie — przekażemy wnukowi
ufność w ludzką nauką i ufność w człowieka.

oczy. Znała jego skąpstwo w słowach. Arendarczyk tymczasem nie zwracając uwagi na nikogo z nas tłumaczył rodzicom sens i znaczenie zawiłych terminów: infekcja... higiena... Sięgał do najprostszych przykładów i doświadczeń z pierwszych lat swoich studiów.

Tamci zdawali się ulegać. Z twarzy ich znikał powoli wyraz zaciętego oporu i nieufności. Wypisując receptę udzielał jeszcze ostatnich wskazówek. — Przede wszystkim: absolutna czystość. Przekonacie się, że to poskutkuje.

Zmierzchało się, gdyśmy wyszli z Ośrodka.

— Należałoby coś zjeść — zaproponował Arendarczyk.

W szpitalu nie rozbierając się skierował się od razu do dyżurki. Był tam już jego kolega, doktor Niekrasz. Arendarczyk od razu dorwał się do talerza.

— Ale wrzątek, co? — docinał z dobroduszną złośliwością Niekrasz. — Coś mi się wydaje, że zaczynasz szczękać zębami.

NATURALIA I NOWA ETYKA

Wiele się dziś mówi i pisze o nowej etyce lekarza. Istniejący w okresie przedwojennym typ szarlatana-doktora, zbijającego majątek na ludzkim cierpieniu, należy już w zasadzie do przeszłości. Atrakcyjność zawodu lekarskiego nie pokrywa się dziś z jego lukratywnością w takim sensie, jak to spotykaliśmy w okresie przedwojennym. Mało kto z młodych chłopców i dziewcząt studiuje medycynę „dla zarobku". Niemniej tradycyjna opinia „lekarza-zdzirusa" dość głęboko jeszcze tkwi wśród ludności wiejskiej. Toteż na młodego lekarza czyha tu wiele niebezpieczeństw, pokus i od tego, czy zdoła je w sobie przezwyciężyć, oprzeć się im — zależy wiele.

Niektórzy z przedwojennych lekarzy nie uznawali ekwiwalentnej wartości pieniądza w usługach oddawanych chłopom. „Honorarium" swe woleli egzekwować w postaci masła, jaj, drobiu, mięsa. Ta forma dawała bowiem możliwość dowolnego regulowania stosunku wynagrodzenia do wyświadczonej usługi, w przeciwieństwie do bardziej sztywnych i mniej dochodowych stawek pieniężnych. Zwyczaj tak głęboko wkorzenił się w umysłowość białostockiego chłopa, że z czasem stał się niepisanym prawem, regulującym stosunek między pacjentem a lekarzem.

Toteż i dziś w Hajnówce trafia się tradycyjna babina wiejska, która taszczy się po kilkanaście kilometrów obładowana najprzeróżniejszym bogactwem domowym. Patrzyłem, jak jedna z nch stojąc na ganku szpitala usiłowała natrętnie niby przekupka wcisnąć koszyk w rękę dyrektorowi Dowgirdowi. Bardzo się dziwiła, gdy ten nie chciał przyjąć. Jest przekonana, że gdy „panu doktorowi" coś dołoży, ot tak tylko choćby jako podarunek, zwyczajny podarunek, to będzie to właściwa zapłata za leczenie „starego". Doktor Dowgird zaprzecza.

— Tu są wszyscy traktowani jednakowo, od nikogo się więcej nie bierze. Tu każdy ma te same warunki i tę samą opiekę. Rozumie Pani? Proszę to z sobą zabrać i więcej mi się z tym nie pokazywać — uciął dalszą dyskusję. Kobiecina była bardzo rozżalona. Gdy odchodziła, uświadomiłem sobie, że doktor Dowgird ani razu nie zapytał o nazwisko jej męża.

To jest zaledwie jeden i wcale nie najbardziej charakterystyczny, lecz najbardziej za to rzucający się w oczy szczegół nowej moralności ludowego lekarza. Oczywiście w samej Hajnówce wśród robotników nie spotyka się tego nawyku, jaki tkwi jeszcze na wsi. Tu opieka lekarska uznawana jest przez wszystkich jako coś, co się każdemu słusznie należy i za co nie trzeba składać dodatkowych danin. Robotnicza Hajnówka jest nie tylko dumna ze swojego szpitala, ale i wdzięczna lekarzom, których otacza aura ciepła i serdeczności.

Toteż trudno się dziwić zebraniu, jakie miało miejsce któregoś dnia w tartaku. Rozbudowujący się szpital otrzymał 100 metrów drzewa budulcowego „w okrąglakach". Chodziło o to, aby je przetrzeć na materiał użytkowy. W tartaku zwołano masówkę. Doktor Dowgird nie potrzebował wygłaszać specjalnego przemówienia. W kilku zdaniach powiedział, o co chodzi. Robotnicy chcieli natychmiast płacić po 50 złotych od osoby. Doktor Dowgrid kategorycznie się temu sprzeciwił, chodzi mu tylko o pomoc przy przetarciu drewna. Nawet nie przypominał, że sami będą korzystać z nowego obiektu. Mimo to zgodzili się wszyscy bez wyjątku. Oni to zrobią. I było już po zebraniu. Doktor Dowgird sprawdził na zegarku. Od otwarcia masówki upłynęło zaledwie pięć minut. Jedna z najbliższych nocy napełniła się zgrzytem pił i nawoływaniami. Rano, gdy dyrektor wszedł do szpitala, drzewo było pocięte i złożone. Zwykła sprawa: wzajemna wymiana usług. Dzięki niej powstał ów piękny, piętrowy nowoczesny pawilon szpitalny, który odciążył przepełniony barak dawnego szpitala. Kiedy piszemy te słowa, działają tam już oddziały: położniczo-ginekologiczny i wewnętrzny. W Hajnówce przybyło sto kilkadziesiąt nowych łóżek. Okoliczne wsie: Boćki i Kleszczele, Narewka mała, Czeremcha i Łosinka przestaną być synonimami ciemnoty i zacofania.

W Białymstoku powstał pierwszy w historii tego miasta precedens: Akademia Medyczna. Dzisiejsi studenci tej uczelni będą w przyszłości — jak to już dziś czynią ich starsi koledzy z Hajnówki — leczyć i wychowywać — skalpelem i słowem.

Ryszard Hładko

ANNA KOWALSKA

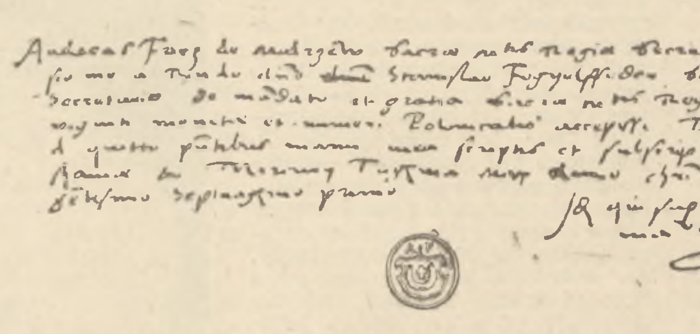
U C I E

Było już po północy, gdy Frycz usłyszał przez sen pukanie w szybę. Obudził się, lecz nie miał sił dźwignąć się z łóżka. Biło mu serce, tętniło w skroniach, szumiało w głowie. Gdy jednak pukanie powtórzyło się, wstał, z wyciągniętą przed się ręką podszedł do okna i przystanął ostrożnie z boku. Przeczuł raczej niż poznał w majaczącym za szybą cieniu Jaktorowskiego. Uchylił okno.

— Cicho. Nie róbcie, Fryczu, hałasu. Otwórzcie drzwi.

Gdy Frycz wpuścił marszałka dworu biskupiego i chciał zapalić świecę, Jaktorowski chwycił go za rękaw koszuli. — Przyodziejcie się po ciemku i chodźcie ze mną. Biskup na was czeka.

— O tej porze? — zdumiał się Frycz. — Chory jest?



Autograf Frycza Modrzewskiego

— Podagra mu dokucza, jak zwykle. Ale chorym to wy jesteście.

Noc była chłodnawa, ciemna. Szli skrajem drogi w milczeniu. Jaktorowski parę razy się obejrzał.

Weszli do pałacu od strony ogrodu biskupiego. Marszałek ujął Frycza za łokieć i prowadził po omacku na pierwsze piętro.

Drohojowski pół leżał, pół siedział na łóżku podparty poduszkami; nogę opatuloną chustą trzymał na stołku. Od kwietnia, kiedy to wrócili razem z poselstwa odwożącego królewnę Zofię do jej męża Henryka, księcia brunszwickiego, Drohojowski wychudł i pożółkł.

„A więc jednak jest chory" — pomyślał Frycz.

— Siadaj, serdeńko. Ot, i doczekaliśmy się. Przyszło nam w nocy się spotykać. Oj dolo, dolo! Źle z nami, źle bardzo. No, nie stójże, Fryczu, siadaj — syknął i wyciągnął rękę ku kolanu. — Wiesz, że Dąbrowski tu siedzi i szpiegów nasyła. Śledzą mnie, czy się z tobą nie zadaję. Sam papież raczył się nami zająć. Wtedy, jakem ci musiał wzbronić wstępu do siebie i ode drzwi odprawić, to myślałem, że się uduszę z żalu i złości. Krew mi się zapaliła. Płakałem, jakem list do ciebie pisał. Ze wstydu. Jaktorowski mi gadał, że to polityka, że sam zrozumiesz. Biskup papieża musi słuchać. Pewnie, że musi. Ale przyjacielowi dom wypowiedzieć, to nieszlachecka rzecz a podła. Przeprosiłem cię w liście, a teraz jeszcze raz mówię: wybacz. Jakbyś źle o mnie myślał, to mi żyć nie warto — powiedział ze łzami w głosie.

Frycz pocałował biskupa w ramię, a ten się na dobre rozszlochał. — Uciekaj, kochany, uciekaj. Jak tylko Dąbrowski stąd wyjedzie. Lipoman i nasz drogi Hozjusz, bo to on papieżowi o wszystkim donosi, postanowili cię zgładzić cichcem.

— Zboże jeszcze nie sprzątnięte. Wiosna była późna, jak nigdy.

— Oj durny ty, chociaż taki mądry. Nie o zboże się troszcz, ale o własną głowę. Lipoman od wiosny króla judził, aby mieczem i ogniem wyniszczył tych, co katolików psują. Nie powiodło mu się u miłościwego pana, to szuka nowych sposobów. W głowę ruchu chce uderzyć. W ciebie. Uważaj. Z domu nie wychodź. Gotowi są porwać cię i potajemnie zgładzić. Bratem mi jesteś i przyjacielem. Ale teraz sam jestem w opałach. Błagam cię, uciekaj. Jedź do Tarnowskiego. Tam będziesz bezpieczny.

— Ludzie wolborscy nie daliby mi krzywdy zrobić — rzekł chmurnie wójt.

— Kto? Te twoje Parzygnaty i Mordaki?! Oni obronią cię przed prymasem, Hozjuszem i Lipomanem?! Nie bądźże gąską. Czy nie wiesz, że Zebrzydowski Krowickiego uwięził? Weź, przyda ci się — wyjął spod poduszki sakiewkę i podał Fryczowi.

Wójt wolborski oderwał wzrok od świecy, w którą się był zapatrzył. — Dziękuję — rzekł smutno, oddając biskupowi aksamitną sakiewkę. — Mam trochę grosza. Chciałem dom odnowić, ale teraz wygląda, że mam zostać bez dachu nad głową.

— Obyś tylko bez głowy nie został. Domów ci w rzeczypospolitej nie zabraknie.

Frycz z goryczą pomyślał, że przecież właśnie przed nim Drohojowski drzwi zamknął z obawy o swoje biskupstwo.

Jaktorowski, który przez cały czas niespokojnie chodził po komnacie, podszedł do Frycza, uchwycił go za rękaw i szarpiąc nerwowo, jak to miał zwyczaj, począł mu w gorących słowach dziękować za traktacik, jaki mu z początkiem lipca Frycz był dedykował. Ale pisarz nie czuł ochoty do roztrząsania w tej chwili zagadnienia, czy po śmierci dusze ulatują z ciała natychmiast do królestwa niebieskiego. Nadaremnie marszałek biskupa usiłował sprowokować do dyskusji. Frycz puszczał mimo uszu zarówno jego pochwały jak i pytania.

— Jaktorowski — zaśmiał się biskup — ty byś i umierającemu nie przepuścił, byle tylko mieć z kimś rozprawiać. A ja to ci się już dawno znudziłem. Nie zapieraj się. Czegóż jeszcze męczysz Frycza. Napisał ci przecie wyraźnie, że zamiast czas tracić na dociekania teologiczne, lepiej zasługiwać na zbawienie naśladując Chrystusa. Frycz zaleca, byś żył z pracy rąk własnych. Mało ci jeszcze?

Jaktorowskiemu zawsze było mało. Jak pijak, gdy poczuje tęgi trunek nie spocznie, póki go nie wysączy do dna, tak i on nie mógł się powstrzymać od rozmowy, póki tchu było w dyskutancie. Tym razem jednak nic nie wskórał. Frycz zaciął się w milczeniu. W milczeniu pożegnał się z biskupem i jego marszałkiem. W ogrodzie przy pałacu na chwilę zatrzymał się, lecz nie dla rozmowy. W ciszy nocnej dało się słyszeć tęskne wołanie przepiórki, a Frycz od dzieciństwa z lubością go zawsze słuchał.

Nazajutrz stał Frycz przed półkami w swoim pokoju wodząc bezradnie wzrokiem po białawych grzbietach książek, jak po twarzach przyjaciół, których miał opuścić. Cycero, Seneka, Terencjusz, Augustyn, Cyprian, Hieronim, Origenes, Tomasz z Akwinu, Erazm, Gratianus, Melanchton... Każdy tom, po wielekroć czytany, przywodził teraz na myśl chwilę, w której książkę nabył, albo tego, kto mu ją ofiarował. Nie żeby przypomnienie było dokładne, ale tak, jak gdy patrzysz na obłok nie dbasz, ile w nim białości a ile różowości, gdzie miesza się z lazurem, ani jak na oczach twoich zmienia kształt, tak i w tych wspomnieniach wszystko wstawało naraz, przemieniało się i mijało — ludzie, miasta, ciche godziny skupienia i krótkie chwile radosnego odkrycia. Wspomnienia mijały, zostawał głuchy ból. Bo przecież nie o książki chodziło, nie o dom rodzinny nawet, ale o to, że musiał uciekać jak zbrodniarz przed ręką sprawiedliwości. A jakież zbrodnie popełnił i kim byli ci sprawiedliwi?! O niedolo ostateczna! O przewrotności ludzka!

Przeglądając papiery — zabrać mógł bowiem tylko rękopisy swoich traktatów i najważniejsze dokumenty — zatrzymał się nad listem Giustiniano, humanisty padewskiego. „Od tysiąca lat nie pojawiło się dzieło w tym rodzaju, które by tak pożyteczne było społeczeństwu" — pisał Giustiniano, po przeczytaniu „Naprawy Rzeczypospolitej".

Zaśmiał się głośno Frycz i rzucił list do skrzyni. — Ot i nagroda spotyka mnie za moje trudy. Tropią mnie jak złoczyńcę. Psy świętej inkwizycji! Sami zabiorą się do naprawy rzeczypospolitej. Już tak ją urządzą po rzymsku, oczyszczą i ubezpieczą, że ducha z niej wycisną. Nikt się z potomnych domyślić nie zdoła, jaką była, jaką być mogła.

Mimo że dzień był upalny, drżał cały i mróz go przechodził.

— Czułem, że coś się święci — jęczał stary Jan, któremu z przejęcia policzki poczerwieniały jak jarzębina jesienią. — Żebracy, zamiast pod kościołem paciorki piać, pod wójtowstwo się przenieśli. Węszą i szpiegują, dziady przeklęte!

Widząc zaś plikę listów, które wójt trzymał w drżącej ręce, jakby nie mogąc się zdecydować, co by z nimi zrobić, rzekł: — W dzbany je włożę, potem w beczkę z popiołem i zakopię. Poleżą sobie spokojnie. Sam diabeł ich nie znajdzie.

Podczas kiedy Frycz przygotowywał się do opuszczenia wójtostwa, kanclerz prymasa Dąbrowski nadal prowadził śledztwo. Mimo całej jednak zaciekłości nie udało mu się zdobyć w Wolborzu informacji, czy biskup Drohojowski widuje się z Fryczem. Badał kanoników, żebraków i mieszczan. Od jednego z pokojowców biskupa dowiedział się, że Drohojowski czyta tylko świętego Augustyna, że nawet przy łóżku leżą pisma biskupa hippońskiego, że nie wertuje Pisma świętego, ani przy stole dysput nie prowadzi.

Nie domyślił się Dąbrowski, że pokojowiec oddany swemu biskupowi, mówił to, co mu jego pan był podszepnął. Sam Drohojowski zresztą charakteryzował się w tym czasie na „dobrego" biskupa. Co przychodziło mu tym łatwiej, że nie było w Wolborzu jego brata Stanisława, z którym popadał w długie dysputy, ani też nie widywał Frycza oprócz owego jedynego nocnego spotkania.

Kiedy doniesiono Fryczowi, że Dąbrowski opuścił Wolborz, i on zabrał się do drogi. Przytroczywszy do kulbaki sakwy, w których znajdowały się rękopisy, wyjechał konno o pierwszych godzinach rannych, gdy tylko niebo poczęło szarzeć. Nie skierował się jednak na południe, lecz w kierunku Piotrkowa, do rodzinnego majątku swego przyjaciela Mikołaja Ciesielskiego, gdzie zwykle zajeżdżał, ile razy bywał na sejmie.

Nie zatrzymał się nigdzie po drodze, chyba w lesie, by dać koniowi popaść i wypocząć. Miało się ku zachodowi, gdy zbliżał się do Cieśli.

Porykiwały krowy spędzane z pastwisk. Niebieskawe dymy snuły się z chat. Skądś dolatywał tęskny głos śpiewającej dziewczyny. Podróżny minął wieś i wjechał przez mostek nad rzeczką obrośniętą starymi wierzbami. Dobry chłodek pachnący goryczką owionął mu twarz spaloną słońcem. Już mroczniało w głębi starego sadu, a tylko na szczytach potężnych jabłoni i strzelistych grusz świeciły czerwone i żółte owoce i syciły powietrze słodyczą.

Drzwi na ganek stały otwarte. Wszedł do obszernej sieni, nie natknąwszy się na nikogo, nawet psy go nie przywitały. Była pora wieczerzy. Z sąsiedniej izby dochodził gwar głosów, młode śmiechy i krzyki dzieci. Zatrzymał się na chwilę z sakwą w ręku przed drzwiami. Poczuł dotkliwiej swoje sieroctwo i osamotnienie. — Przychodzę jak żebrak bezdomny — pomyślał.

Gdy ukazał się na progu okryty kurzem, spalony od słońca, stary pan Joachim Ciesielski podnosząc obie ręce zawołał: — Wszelki duch Pana Boga chwali. Toż my właśnie o tobie mówili!

Otoczono Frycza ściskając i wypytując skąd przybywa, dlaczego tak długo nic o sobie nie dawał znać. Mikołaj Ciesielski widząc jego znękaną, nagle postarzałą twarz, zapytał: — Andrzeju, stało się coś?

Nim zdążył odpowiedzieć, najmłodszy synek Mikołaja, Jędruś, szarpnął za sakwę gościa: — Masz coś? Pierniki masz? Nic a nic nie przywiozłeś?

— Jędruś, nie męcz chrzestnego. Chodź do mnie — jakaś panna porwała chłopaczka i posadziła go na ławie.

— Siadaj, synu — zawołał stary pan Ciesielski, robiąc mu miejsce koło siebie.

— Piwa świeżego — rozkazała pani Basia, drobniutka brzydka kobieta o dziecinnej wyblakłej twarzyczce, matka dziewięciorga dzieci.

— Chodź, umyj się, odpocznij wpierw — nalegał Mikołaj.

— Ach, ty z tym myciem zawsze. Widzisz, że biedak umiera z pragnienia — obruszył się pan Joachim na syna. Odebrał sakwę z rąk Frycza i szepnął mu do ucha: — Bądź spokojny, upilnuję. — Stary pan Ciesielski ze śnieżną, długą brodą patryarchy, mimo sędziwego wieku bardzo jeszcze był krzepki i żwawy, lubił przewodzić rozmowie, mieszać się do najdrobniejszych a oczywiście i do ważnych spraw, lubił doradzać, pocieszać, swatać i rozstrzygać. Zakochany w sobie, ścigał drwiną, wymyślając zabawne przezwiska dla tych, którzy go kiedyś nie dość wyróżnili atencjami lub nie uhonorowali. Otoczony był zawsze dworem wielbiących go. Niestrudzenie zabiegał o pozyskiwanie sobie adoratorów. Uwielbiały go dzieci, panny, służba i każdy kto znajdował się w jego zasięgu. Miał przyjaciół oddanych sobie, którzy wiek życia z nim strawili. Traktował ich trochę niecierpliwie i z humorem, ale niechby odważyli się nie stawić w porę, albo w czymkolwiek pozwolić sobie na własne zdanie, choćby nawet, gdy chodziło o oddanie mu przysługi. Chlubił się tym, że nikogo o nic nie prosił dla siebie. Dla przyjaciół i ich rodzin zabiegał niestrudzenie. W sumie człowiek wielkiej zacności i prawego charakteru, któremu słabostki dodawały wdzięku. Pamięć miał niezwykłą, a ponieważ niejednego w życiu doświadczył, nie brakło mu ciekawych wspomnień. Chwalił dawne, surowe obyczaje, piątego króla za swego żywota oglądał. Jeśliby świat miał być wedle jego uznania rządzony, ludzie karmiliby się jeszcze żołędziami; tak przynajmniej szeptali młodzi Ciesielscy, gdy im dokuczył. Przyjaciele Mikołaja byli oczywiście jego przyjaciółmi. Niechby spróbowali za takich się nie uważać! Frycza szczególnie miłował, dlatego głównie, że ten sam milczał i umiał godzinami słuchać jego wspominków. Starzec pism jego nie czytał, ale że w kręgu rodziny Ciesielskich miano wójta wolborskiego za uczonego męża, więc i on rad był, że ten młokos, jak nazywał w chwilach szczerości pięćdziesięcioletniego autora „Naprawy Rzeczypospolitej", należy do jego uważnych i bystrych słuchaczy.

Frycz, którego od rana srodze łamało w skroniach i w oczodołach, chętnie byłby poszedł za radą Mikołaja i umywszy się zaszył w najdalszym kącie, ale wiedział, że okrutnie obraziłby pana Joachima, który już go koło siebie sadzał, piwa dolewał, niemal jak dziecko poił.

Frycz przeprosił gospodynię, że przerwał wieczerzę, ale go zaraz zakrzyczano, że wcale nie przerwał, ale uczcił, że wszyscy powinni się byli domyślić, że przyjedzie. Pani Basia poczęła przepraszać, że wieczerza skromna, ale nikt jej głosu nie dosłyszał, tak gadatliwi byli w tym domu mężczyźni. Mimo że pachołek usługiwał do stołu, stary pan Joachim i Mikołaj, a także jakieś dwie panny, wciąż zrywali się, aby przynieść przysmaki ze spiżarni, kłócili się ze sobą i z klucznicą, co by dla zdrożonego gościa było lepsze. Gdy zaś Frycz w paru słowach oznajmił, iż przybywa tym razem jako bezdomny i ścigany, rzucono się ku niemu ściskając ze łzami i zaklinając, że Cieśle odtąd są jego. Prawie że ofiarowano się opuścić rodzinny majątek i oddać mu go, byle tylko się nie martwił. Stary zaś pan Ciesielski wpadł w taką furię, klnąc nuncjusza, papieża, którego z uporem nazywał hiszpańskim rozpustnikiem, myląc go z Borgią, że aż pani Basia Ciesielska pociągnęła teścia za rękaw, przypominając młodzież siedzącą przy stole. Ale rozsierdzony starzec huczał w uniesieniu:

— Nie przeszkadzaj, Basiu! Niech wiedzą, co im grozi! Ten sodomista hiszpański polskiego szlachcica z rodzinnego domu wypędza. Nie natom z Tatarami się bił, by to w rzeczypospolitej cierpieć. — Tu wstał i objął Frycza tak mocno za szyję, że zdusił go niemal.

Nikt jednak z siedzących przy stole, ani nawet Frycz, ba, sam król, Zygmunt August, chociaż wiele wiedzący, nie domyślał się, że papież Paweł IV, rzecz dziwna, do króla Ferdynanda zwracał się, by ten habsburską opiekę nad religią katolicką w Polsce rozciągnął.

Frycz, chcąc ujść nadmiernych czułości pana Joachima, nadmienił, że boli go głowa. Niefortunny pomysł! Zaraz rzucili się wszyscy, nawet spokojna pani Basia, i nuż przynosić z apteczki lek za lekiem, a nieustępliwy starzec, nie zwracając uwagi na błagania gościa, jął przemocą wcierać mu olejek bursztynowy, aż zapachniało na cały dom, a po twarzy Frycza sączyły się strużki olejku zmieszanego z kurzem.

Sam Frycz miał ochotę płakać i śmiać się z okazywanej mu dobroci. Męczył go hałas i piekielna wrzawa, jaka toczyła się wokół niego. Dzieci biegały za krzątającymi się dorosłymi, psy poszczekiwały radośnie goniąc wkoło stołu.

Wreszcie Frycz podziękowawszy za wieczerzę, której w istocie nie tknął, a tylko piwem się nieco odświeżył, odszedł z Mikołajem do wyznaczonego mu pokoju, w którym zwykle przebywał.

— Na razie największą oddam ci przysługę, jeśli cię pożegnam i zostawię samego — rzekł Mikołaj. — Pozwól tylko, że zamknę okiennice.

Ciesielski polecił męskiej młodzieży, aby strażowała tej nocy, zmieniając się co kilka godzin. Kiedy po północy poszedł na inspekcję, ujrzał swego ojca uzbrojonego, jakby za chwilę miał ruszyć do ataku co najmniej na Turków i opowiadającego swoim wnukom pod wąsem jakiś bohaterski wyczyn z czasów młodości.

— Mogliby łotrzykowie cały dom na plecach wynieść — nie zauważyliby tego ani zapamiętały w opowiadaniu ojciec, ani zasłuchani młodzi — pomyślał Mikołaj, ale wycofał się, nie chcąc zawstydzić rodzinnego Plutarcha.

Rano wszyscy chodzili na palcach, rozmawiali szeptem, aby nie obudzić znakomitego gościa. Frycz jednak nie spał. Czuł się znużony, wciąż dokuczały mu bóle głowy. Wymówił się też od obiadu i dopiero zjawił się na wieczerzę.

Przy stole siedziało około dwudziestu osób, przeważnie młodzi krewniacy Ciesielskich, którzy przyjechali w odwiedziny. Rozmowa toczyła się o polowaniu.

— Polujecie jak król Popiel — zrzędził stary pan Ciesielski. — Muszę wybrać się z wami, bo jak głupich kaczek nie umiecie strzelać, co to będzie, gdy się z Turkiem spotkacie. On nie odfrunie, ale głowy wam zetnie.

Frycz poczuł na sobie czyjeś spojrzenie. Odwrócił głowę i ze zdziwieniem zobaczył drobną dziewczęcą twarz o wyrazistych szarych oczach wpatrzonych w niego z wymownym zachwytem. — Biedne dziecko — pomyślał — lituje się nad moim losem. — Zmieszał się pod tym wzrokiem i zawstydził swojej starości. Mimo jednak żałosnego przygnębienia coś mu w duszy zaśpiewało radośnie.

— A cóż tam z królową Boną? Czy to prawda, że wywiozła sto wozów klejnotów i srebra? — spytał pan Joachim Ciesielski Frycza.

— Powiadają że dwadzieścia cztery. Pan Wiga, starosta ostrołęcki miał je w swej opiece. Do grodów i zamków znać dawał, jakie skarby z Korony wiezie, spodziewając się, że je ktoś wstrzyma, czemu byłby rad, ale nikt się nie ważył. W górach drogi ciosano, żeby szerokie wozy w sześć koni zaprzężone i koleiki iść mogły. Odprowadzał ją z polecenia króla Stanisław Maciejowski, kasztelan sandomierski, Gulczewski, wojewoda lwowski i Franciszek Rusocki, kasztelan lwowski, i wielki dwór.

— A jakoż to może być, by takie skarby z Korony puszczono?

— Jak to u nas jest. Najpierw ogłoszono na rynku, żeby żaden człowiek z królową jechać nie śmiał, szlachcic pod groźą utraty czci, a prostego stanu człowiek gardła, po czym odprawiono królową stara z wielkim pocztem i honorami — rzekł

ANDREAE FRICII
Modreuij de Republica emendanda Libri quinque, recogniti & aucti: Quorum

PRIMVS. DE MORIBVS.
SECVNDVS. DE LEGIBVS.
TERTIVS. DE BELLO.
QVARTVS. DE ECCLESIA.
QVINTVS. DE SCHOLA.

AD REGEM, SENATVM, PONTIFICES, Presbyteros, Equites, populumq; Poloniae, ac reliquae Sarmatiae.

Quibus hac editione secunda accesserunt, praeter alia:

DE ECCLESIA LIBER SECVNDVS, lectu dignissimus. Orationes item, & Epistolae.

Cum locuplete rerum & uerborum memorabilium INDICE.



BASILEAE, PER IOANnem Oporinum. 1559.

Karta tytułowa „O naprawie Reczypospolitej", edycja bazylejska z 1559 r.

C Z K A

Frycz. — Najgorsze jednak, że pożyczyła królowi hiszpańskiemu Filipowi drugiemu 430.000 dukatów. Nigdy rzeczpospolita, ani miłościwy pan, ani jego siostry pieniędzy tych nie zobaczą.

— Czterysta trzydzieści tysięcy dukatów! — zaśmiał się groźnie stary pan Ciesielski i twarz jego przybrała tak krwistą barwę, że wszyscy się przerazili. Wyglądało, jakby szlag miał go trafić. — Macie tu waszych cudzoziemców! Wszystko co obce wam pachnie. Stroje, jedzenie, perfumowane rękawiczki, piórka, te wszystkie włoskie, hiszpańskie grymasy, frykasy! Te Wenusy, Apolliny! Jak nie papież śmietankę wypija z naszego mleka, to się bezecne księżniczki zwozi, by sobie annaty brały, biskupstwami i senatorskimi krzesłami handlowały. Czerysta trzydzieści tysięcy dukatów! Ha! Ile by za to koni było, krów, ile nowych domów. Nie. Czas mi umrzeć. Ginie Rzeczpospolita.

Nagle coś sobie przypomniał. Wpatrzył się w syna zwężonymi oczami i wysuwając naprzód brodę, jakby go chciał ugryźć, wycedził:

— A tyś ją chwalił? Że ogrody zakłada, agronomskie inowacje wprowadza, sztuki podnosi, szpitale funduje, od Habsburgów nas broni. A ta twoja Dobra królowa cały majątek wywiozła i jeszcze poprosiła Habsburga, aby raczył wziąć. Czterysta trzydzieści tysięcy dukatów!

— Niech się ojciec uspokoi — prosiła zalękniona synowa. — Może przecież coś da się odzyskać.

W drzwiach od sieni stanęli dwaj chłopi i pokłonili się nisko.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus.

— Na wieki wieków amen — odpowiedziano.

Chłopi wyprostowali się nieruchomi i milczący. Gdy Mikołaj Ciesielski podszedł do nich, padli na kolana przyciskając wielkie słomiane kapelusze do piersi. — Zmiłuj się panie, nie odmawiaj prośbie nieszczęśliwych! — Umilkli znowu, jakby nie mieli siły dalej mówić.

— Luźni jesteście? — spytał Ciesielski z roztargnieniem.

— Zbiegi pańszczyźniane, wielmożny panie — odrzekł twardo jeden z nich. — Przez dwie niedziele ukrywaliśmy się. Ludzie nas chowali. Tu, prosimy, tu chcielimy zostać, w Cieśli, u wielmożnego pana.

— Wasz pan będzie was szukał...

— Nie znajdzie. Z daleka idziemy. A po wsiach, to my z półsetki zbiegów takich, jak my zdybali. Nie będzie wielmożny pan miał kłopotu ani z przyręką, ani z sądem. — A gdy Ciesielski milczał — chłop dodał ponuro: — Choćbyśmy mieli do Prus Książęcych iść, choćby przyszło na suchej gałęzi się powiesić, a tam skąd idziemy nie wrócimy.

— Wielkich folwarków nie mam — bronił się Ciesielski spoglądając na Frycza, nie lubił bowiem, gdy coś go zaskakiwało. — Nie wykocowuję chłopów.

— Przecie sami przyszli — ofuknął syna pan Joachim. — A inwentarz macie? — zwrócił się do chłopów.

— Mamy, dobrodzieju — odrzekli rzeźkim głosem. Mikołaj milczał, a po chwili rzekł:

— Zostańcie więc. Obym tylko tego nie żałował.

*

Sam się sobie Frycz dziwił, gdy po długich godzinach nocnych spędzonych na rozmowie z Ciesielskim i ledwo krótkiego snu zażywszy obudził się rzeźki i ochoczy. Nie mógł sobie w pierwszej chwili przypomnieć, co by mu się tak radosnego przytrafiło, ale nawet sprzęty w pokoju, dzieło miejscowego stolarza, wydały mu się miłe oku, a gruchanie gołębi, którego zwykle nie lubił, przyjemne. Myjąc się nie przestawał nucić.

— Stary głupcze! — złajał siebie, ale po chwili wrócił do przerwanej piosenki o zającu, co siedzi pod miedzą, a myśliwi o nim nie wiedzą.

— Widzę, że ci pomógł, Andrzeju, bursztynowy olejek — wykrzyknął Ciesielski wchodząc do pokoju przyjaciela, by go zabrać na śniadanie. — Przestała cię boleć głowa?

— Jak ręką odjął.

— Dobry medyk z mojej żony, co? — ucieszył się Ciesielski. — Wszystkich nas kuruje. W ogrodzie aż dymi i w nosie kręci od dzięgielu, biedrzeńca, ślazów i macierzanki. Najobrzydliwszej rany się nie brzydzi. Na wojnę mogłaby iść. A jej balsamy sławne są na całą okolicę.

Frycz nie słyszał tego co mówił Ciesielski, myślał o czym innym. Przy śniadaniu nie zastali gospodyni ani panien; zajęte czymś były w gospodarstwie. Ciesielski zaprosił gościa, aby razem z nim wyjechał w pole, ale Frycz się wymówił.

— Nie wczasować tu przybyłem, mój drogi. Czarna troska siedzi mi na karku.

Gdy został sam, zasiadł przy wąskim stole pod oknem i począł pisać drobnym jak mak, ale wyraźnym i



rys. Jadwiga Walker

równym pismem swoją obronę, adresując ją do papieża Pawła IV. Ledwo położył datę: 15 sierpnia roku 1556, gdy doszedł jego uszu przyjemny śpiew. Tak był jednak przejęty swymi myślami, że dopiero potem, gdy wziął inne pióro, ów śpiew go doleciał, niejako zaczekawszy przed oknami, aby go w stosownej chwili pocieszyć.

— Jeślim poświęcił się studiom teologicznym — tłumaczył Frycz papieżowi — i sprawom Kościoła, to dlatego, że wyznaczony na członka misji polskiej na sobór uważałem za swoją pierwszą powinność zaznajomić się z zagadnieniami, jakie miały być rozważane, wyniki tych studiów oddałem do druku, aby i inni mogli zaznajomić się z rezultatami moich roztrząsań. Kierowała mną nie chęć wprowadzenia rozdwojenia w kościele i spowodowania zamętu w życiu religijnym Polski, lecz przeciwnie, pragnienie pojednania i zgody. Pisząc księgę o Kościele spodziewałem się, że papież uzna mój trud i chęci znalezienia wspólnej drogi dla ludzi zajmujących odmienne stanowiska. Miast uznania spadły na mnie z woli papieża prześladowania.

— No, jakżeż ci idzie?? Karcisz tego niegodziwca? — odezwał się głos zza okna.

Frycz wzdrygnął się z przerażeniem, zobaczył głowę starego pana Ciesielskiego.

— Nie bój się, już idę. Przyniosłem ci tylko garść ostro zaciętych piór i dwie brzoskwinie na pokrzepienie.— Niechże i ja się trochę przyczynię do pognębienia tego tyrana.

Frycz roześmiał się i podziękował.
— A piękne są, prawda? — powiedział starzec podając mu dwa ciemnopurpurowe jak w wenecki aksamit obleczone owoce. — Sam je sadziłem. No idę, idę. Nie przeszkadzam. Ale pamiętaj, ostro atakuj.

Długo jednak Frycz nie mógł z powrotem zebrać myśli.

Przeczytał zapisaną kartę raz i drugi, poprawił i dalej ciągnął, szło mu już jednak oporniej i wiele kreślił, nim znowu rzecz mocno uchwycił.

Nie on pierwszy — tłumaczył papieżowi — szukał drogi do zjednoczenia Kościoła badając istotne przyczyny rozdwojenia, bez uprzedzeń wykrywając nadużycia. Erazm z Roterdamu służył mu za wzór i dodawał odwagi w pracy. Erazm wszak czynił to samo, a nie ściągnął na siebie prześladowań, ale cieszył się uznaniem papieży i kardynałów. Nawet kapelusz kardynalski mu ofiarowano, ale odmówił.

Zawahał się i ostatnie zdanie przekreślił.

Ci, którzy nie uznają konieczności reform i uzdrowienia obecnych stosunków w Kościele, którzy bronią jaskrawych nadużyć, uważając, że w ten sposób bronią powagi Kościoła — nie służą sprawie zjednoczenia.

Są tacy, którzy doradzają papieżowi, by nieprzejednanych skazywać na stos. Ale przecież ani płonące stosy, ani walka orężna i przemoc nie zapobiegną rozłamowi. Nie ta jest właściwa droga do usunięcia herezji. Doradzają wprawdzie niektórzy obłąkańce i królowi polskiemu, by ściął głowy pewnych osób, a herezja zostanie usunięta. On, Frycz, nie wierzy, by król polski dał posłuch podobnym podszeptom. Jeśli papież pozwoli, by zostały usunięte błędy, fałsze i nieprawości, może uzdrowić Kościół i zjednoczyć go.

Brulion był gotów. Gdy proszono Frycza na obiad, odmówił. Zwykle bowiem, kiedy ostro pracował, jedzenie mu nie służyło, niechętnie też wdawał się wtedy w rozmowy. Następnego dnia wcześnie zabrał się do przepisywania. Nie opuszczał swego pokoju pokrzepiając się tylko piwem i czerstwym chlebem.

Śród rękopisów, jakie ze sobą zabrał był na tułaczkę, znajdował się traktat „O stanach w kościele". Uznawał w nim instytucję papiestwa, ale wykazywał konieczność ograniczenia władzy papieży. Traktat ten, który go wiele trudu kosztował, Frycz bardzo cenił. Nic w nim nie powiedział na zjednanie sobie względów papieża, nie użył pochlebstw, ale wykazał dobitnie, na czym polega ocalenie pokoju w Kościele.

Powyższy traktat postanowił dołączyć do listu pisanego do Pawła IV. Miały jednak trzy lata minąć, nim się ukazały, — traktat i list — w zbiorowym wydaniu jego pism.

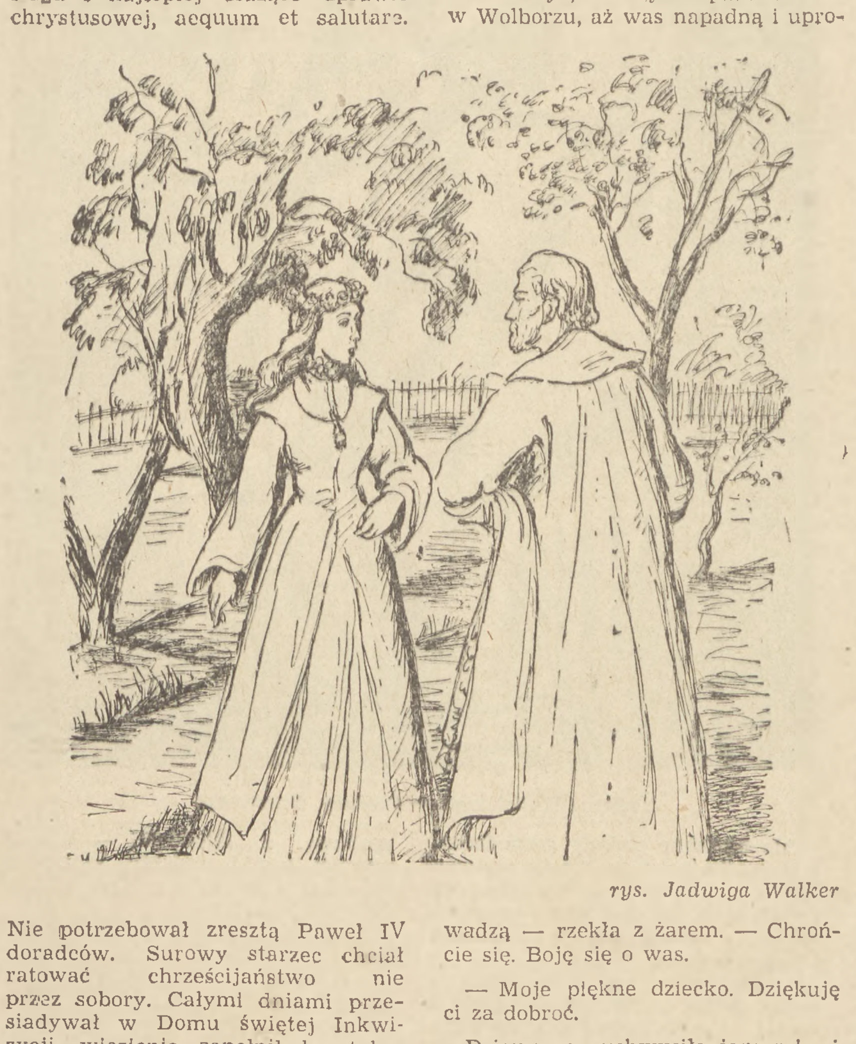
Ciesielski napominał domowników, aby nie przeszkadzali w pracy uczonemu gościowi. Wszyscy więc chodzili na palcach, rozmawiali szeptem, ale w domu, w którym wiele było młodzieży i dzieci, raz po raz wybuchały tłumione śmiechy i płacze.

W przeddzień wyjazdu do Wiewiórki pod Tarnowem dokąd, — jak mu to był doradził biskup Drohojowski — wybierał się na dwór hetmana, Frycz spakował swój skromny tobół podróżny, w którym oprócz rękopisów niewiele było dobytku, i wyszedł do sadu, aby odpocząć po pracowitych godzinach.

Minął młody sad słoneczny i jakiś nudny w swym geometrycznym porządku i wszedł do starego, co rozciągał się jakby puszcza mroczna, zarosły pokrzywą i wysoką soczystą trawą. Zanurzył się w chłodną ciszę alei jak w kąpiel pachnącą. Czasem tylko ptak przeleciał śród drzew lub spłoszony odgłosem kroków przecwałował tłusty szarak, migając białym omykiem między wysokimi pokrzywami. Ani listek nie zadrgał na wysokich jak kościół czereśniach i gruszach, na rozłożystych jabłoniach o powykręcanych w tragiczne gesty konarach. Doszedł do końca długiej alei. Za furtką szeroka droga prowadziła w las. Przystanął, oparł się o sztachety furtki wpatrzony w szczyty drzew rumianych od zniżającego się słońca. Czuć już było nadciągającą jesień.

„Proszę Boga, aby litując się nad tobą, papieżu, i nad nami wszystkimi, pobudzał nas do tego, co mu jest miłe" — powtórzył półgłosem zdanie napisane w liście do Pawła IV. Nie mógł się bowiem jeszcze uwolnić od rozmowy z papieżem.

Uśmiechnął się gorzko. Nie miał złudzeń, że jeśliby nawet, co nie było łatwe, list jego doszedł do rąk papieża, to adresat nie byłby skłonniejszy rozmyślać o tym, co Bogu może być miłe. Pochlebcy przekonywali go bez znużenia, że wszystko co robił i robić zamierzał było słuszne i sprawiedliwe, miłe Bogu i najlepiej służące sprawie chrystusowej, aequum et salutare.



rys. Jadwiga Walker

Nie potrzebował zresztą Paweł IV doradców. Surowy starzec chciał ratować chrześcijaństwo nie przez sobory. Całymi dniami przesiadywał w Domu świętej Inkwizycji, więzienia zapełnił heretykami, pozbawił kardynała Morone wolności; nie tylko zresztą Morone popadł w niełaskę, ale Contarini i Medici...

Najlepsze argumenty, najwymowniejsze słowa nie zdołają przekonać ludzi żyjących w odmienny sposób, mających inne potrzeby i nadzieje a przede wszystkim inne środki na poparcie swoich interesów.

Tak rozmyślał Frycz bezdomny i prześladowany. Nie tracił spokoju ducha, ani chęci do dalszej walki. Nie męstwa mu brakowało, ale sprzymierzeńców. Przed dwunastu laty w swej trzeciej Mowie o karze za mężobójstwo zwrócił się do tych, co obracają się nie na widowni Rzeczypospolitej, ale po wioskach, uliczkach i zagrodach. I kogóż poruszył? Któż mu odpowiedział? Mieszczanie od dawna myśleli już tylko o zachowaniu tego, czego im jeszcze nie wydarto, a chłopi, zakuwani w pańszczyznę — niemi byli jak ziemia...

Niespodzianie, tuż obok Frycza opartego w zadumie o furtkę pojawił się żebrak z pachołkiem. Można powiedzieć, że niemal wyrośli spod ziemi. Dziad, chociaż miał perś obwieszoną szkaplerzami i medalionikami, wyglądał raczej na zbója niż na chodzącego po prośbie. Olbrzymiego wzrostu, o barach niedźwiedzia, podpierał się kijem sękatym, jakim by i wołu można ogłuszyć. Dziad sunął powolutku, z głową zadartą, jakby śledził coś daleko na horyzoncie, gdy jednak mijał Frycza zwrócił ku niemu twarz szpetną i straszną; wgnieciony nos, jedno oko wysadzone gdzieś wysoko pod załamanym czołem, plugawa broda i opadające na ramiona kłaki zmierzwione. Frycza przeszedł strach i obmierzłe uczucie wstrętu.

— Niech będze pochwalony Jezus Chrystus. Wspomożenia wielebny panie — zachrypiał dziad.

— Na wieki wieków. Nie mam nic przy sobie. Idźcie z Bogiem.

— Z Bogiem? — zaśmiał się obrzydle zbój. — Lepiej przepuście mnie tędy do dworu, wielebny panie. Słaby jestem. — Zbój oparł się o furtkę, tak że zatrzeszczała i górny skobel z hukiem wyleciał.

W tej chwili jednak dały się słyszeć szczekanie psów i tętent koni. Dziad z pachołkiem usunęli się od furtki i zniknęli w krzakach. Młodzi Ciesielscy wracali z wizyty w sąsiedztwo, gdzie polowali od rana. Na próżno rzucili się w pościg za dziadem-zbójem. Przepadł. Przepadły też dwa psy. Znaleziono je niebawem z potrzaskanymi łbami.

Frycz zawrócił w stronę domu. Nie mógł się oprzeć niemiłemu uczuciu, że czyjeś oczy śledzą go z ukrycia. Odetchnął z ulgą, gdy znalazł się w pobliżu domu koło młodego sadu. W bocznej alei przechadzała się owa panna, krewna Ciesielskich, która obrzuciła Frycza przy stole życzliwym, zachwyconym wzrokiem. Zobaczywszy go nie zmieszała się, nie zapłoniła, ale szła naprzeciw niego poważna, jak dziecko, któremu polecą coś powtórzyć. Kiedy jednak stanęła przed nim, nie mogła jakoś głosu wydobyć, ale wpatrywała się w niego odważnie choć prosząco.

— Przepraszam waszą miłość za moją śmiałość, ale — urwała i podniosła brwi, a drobną jej twarz ściągnął jakiś grymas cierpienia.

— Nie trzeba wielkiej śmiałości, by do mnie mówić. Sam jestem nieśmiały — uśmiechnął się, aby jej dodać otuchy. Wianek z kwiatów przekrzywił się nieco i zsunął na ucho. Frycz chciał jej zwrócić uwagę, ale się zawahał.

— Wasza miłość raczy żartować. Wszyscy znają odwagę waszej miłości.

— Ładna mi odwaga, kiedy uciekam. — Obejrzał się niespokojnie, nie wspomniał jednak o zbóju, aby jej nie przestraszyć.

— A czyż, mielibyście panie czekać w Wolborzu, aż was napadną i uprowadzą — rzekła z żarem. — Chrońcie się. Boję się o was.

— Moje piękne dziecko. Dziękuję ci za dobroć.

Dziewczyna uchwyciła jego rękę i przycisnęła do ust.

— Jestem stary, ale jeszcze nie tak sędziwy, by mnie panny po rękach całowały — rzekł surowo.

— Ja też nie dla sędziwości... — rzekła zuchwale i potrząsnęła głową. Różany wianek zesunął się i zwisł nad ramieniem. Wyglądała śmiesznie. — Nie drwijcie ze mnie, panie, ale poszłabym za wami na koniec świata. — Poprawiła ręką wianek, a czując, że się rozplótł zdjęła go i zręcznymi ruchami umocniła włóczką.

Fryczowi zrobiło się przeraźliwie smutny. Znieruchomiał. Nagle wszystkie barwy i kształty, dźwięki nabrały ostrości, która bolała. Za jasną głową dziewczyny dostrzegł czarny pień śliwy, a na nim stężałą kroplę żywicy świecącej w słońcu ciemną czerwienią klejnotu. Zszarzały zieleń liści i niebieskawe śliwki. Wysokie niebo o mdlejących barwach i szybujące wysoko jaskółki. Granatowe cienie drzew i cały ogród schlastany ostrym światłem. W ciszy słychać było i pluskot rzeczki w dole, i granie świerszczy, i przyspieszony oddech dziewczyny. Nigdy nie zapomni tej chwili. Mógłby każdy liść, trawkę, ptaka nazwać po imieniu. Nie wiedział tylko, jak się ta dziewczyna nazywa.

— Czemu tak milczycie?! Powiedzcie choć słowo, żeście słyszeli — rzuciła gniewnie.

— Czemu tak milczycie?! Powiedzcie choć słowo, żeście słyszeli — rzuciła gniewnie.

— Jestem proboszczem, człowiekiem starym, ubogim, a teraz ściganym. Jakżeż godzi mi się słuchać tego, coście z litości nad moją dolą i z szaleństwa nieświadomej młodości powiedzieli. Nie upierajcie się w przywidzeniach. Nie znacie mnie. Skąd więc takie uczucia bez znajomości.

— Mówicie jak teolog. Zasłaniacie się probostwami i wiekiem, ubóstwem i prześladowaniem. Czyż nie chcecie żyć? — powtórzyła.

— A skądżeś się ty wzięła taka śmiała? — rzekł cicho Frycz, patrząc na drgające z gniewu nozdrza, na wydęte mocne wargi i oczy wołające.

— Uboga krewna państwa Ciecielskich. Nie całkiem jednak uboga — dodała drwiąco.

— Nie o tym myślałem.

— Gorszy was moja śmiałość?

— Raczej zachwyca, ale przyznam, że i dziwi.

— Gdybyście znali moje myśli, dopiero byście się zdziwili.

Zrozumiał, że były to nie tyle myśli, co uczucia niezwykłe u panny. Zawstydził się swojej starości. Cóż miał jej powiedzieć? Co ofiarować?

— Zapomnij. Nie licz na mnie. Zapomnij — prosił.

— Zapomnieć?! — zaśmiała się ze złością. — Nie umiem jeszcze zapominać. A was mogłabym tylko znienawidzić — zmięła wianek w ręku, aż posypały się płatki róży, i pobiegła w stronę domu.

Długo stał w miejscu jakby nie mógł unieść ciężaru, który niespodzianie zwalił mu się na serce. — Czyż nie chcecie żyć? — usłyszał namiętny krzyk dziewczyny. Dla niej życiem była miłość i tylko miłość. Patrzył na płatki róż rozsypane u swoich stóp ze smutnym zadziwieniem.

Przy wieczerzy nie patrzyła w jego stronę. Odzywała się tylko do matki, drobnej kobiety o świdrujących nieprzyjemnych oczach. Od Ciesielskiego dowiedział się, że pani Kamińska od kilku lat była wdową i z trudem spłacała długi zaciągnięte przez męża. — Gospodarna niewiasta, pobożna i zacna, ale przykrego usposobienia. Dwoje dzieci straciła, za córką świata nie widzi. Pilnuje jej jak oka w głowie.

Frycz niespokojnie zerknął na panią Kamińską. Czuł się winny wobec niej, choć nie zawinił. Czuł się też winny wobec panny.

— Na szczęście nie zobaczę jej więcej — pomyślał z ulgą. Ale nie znał jeszcze panny Jadwigi.

Anna Kowalska

Fragment powieści o Andrzeju Modrzewskim.

STEFAN FLUKOWSKI

SPORTOWCY POLSKI LUDOWEJ WITAJĄ FINLANDIĘ

Ziemio tysięcy jezior, lasów niezmierzonych,
bogata pracą chłopów, rybaków i drwali,
Kraino w śnieżnym swetrze z napisem „Suomi" —
zorzami polarnymi lśnisz w arktycznej dali.

Ojczyzno oszczepników, co oszczep ramieniem
w wiązkę światła zmieniają, w lotu krzywe linie,
Niezawodnych narciarzy — których śnieg natchnieniem
biegaczy, których imię w pamięci nie zginie.

Kiedyś w odległych latach — jako dzieci małe,
którym świat z głuchych mroków nagle się wyłonił —
budził nas rytmem kroków ów biegacz wytrwały,
z chronometrem jak z sercem w zaciśniętej dłoni.

Dziś do ciebie zdążamy — polscy oszczepnicy, biegacze
i skoczkowie, wioślarze, szermierze,
pragnąc: by twoi sławni w świecie zawodnicy
zawarli w walce z nami pokoju przymierze!

Dłonie, które dziś do was tutaj wyciągamy
a które jutro za dysk, wiosło, tyczkę chwycą,
to te same co wczoraj z zapałem trzymały:
łopatę, kielnię, sprzęgło, dźwigu kierownicę.

To dłonie tych co Polskę przekształcają w Nowe,
nowe treści wkładają w każdą ludzką sprawę,
którzy walczą o pokój i w trudzie, pospołu,
zburzoną przez faszystów budują Warszawę.

Którzy wznoszą szpitale, fabryki i szkoły,
mnożą izby mieszkalne, kopalnie i huty,
by człowiekowi — pokój, dzieciom śmiech wesoły
przywrócone zostały przez szczęśliwsze jutro.

Jedna myśl nam natchnieniem: by nasze zmagania —
każdy bieg, pchnięcie kulą, skok czy błysk floretu —
były jak uczuć szczerych wzajemna wymiana,
jak dzieło człowieczeństwa na drodze postępu.

Witam Cię, ziemio drwali, chłopów i rybaków,
wspaniałych zapaśników tysiąca stadionów!
Przyjmij to pozdrowienie drużyny Polaków,
Kraino w śnieżnym swetrze z napisem „Suomi".

UKAZAŁ SIĘ NR 2/4
„MYŚLI FILOZOFICZNEJ"

w numerze:

W 60-lecie urodzin Bolesława Bieruta
JAN DEMBOWSKI — Prezydent Bierut a nauka polska
A. OKUŁOW — Lenin o znaczeniu wojującego materializmu
LEOPOLD INFELD i LEONARD SOSNOWSKI — O rozwoju pojęcia materii w fizyce
IGNACY ZŁOTOWSKI — Dzieło życia Marii Skłodowskiej-Curie
JÓZEF HURWIC — Teoria rezonansu w chemii w świetle dyskusji w ZSRR
JÓZEF WITKOWSKI — Teoria kosmogoniczna akademika Szmidta

Z postępowych tradycji myśli społecznej w Polsce:
ANNA ŚLADKOWSKA — Poglądy polityczne Edwarda Dembowskiego
ZYGMUNT PONIATOWSKI — Społeczno-filozoficzne poglądy Henryka Kamieńskiego
TADEUSZ CZEŻOWSKI — Kilka danych o dziejach logiki w pracach Komisji Edukacji Narodowej

W sprawie metody badań społecznych:
JAN SZCZEPAŃSKI — Zagadnienia metodologii badań społecznych w niektórych pracach Marksa i Engelsa

JAKUB LITWIN — Uwagi o świadomości klasowej proletariatu

Krytyka i Polemika:
JÓZEF CHAŁASIŃSKI — Rzecz z powodu Humanistyki bez hipostaz
TADEUSZ KOTARBIŃSKI — Odpowiedź
Od Redakcji
Bibliografia:
BRONISŁAW BACZKO — Przeciw idealizmowi w teorii prawdy
WITOLD KULA — Konferencja historyków w Otwocku
Dyskusja radziecka o logice
Posiedzenie Rady Redakcyjnej „Myśli Filozoficznej"

Do nabycia w księgarniach „DOMU KSIĄŻKI"
CENA NUMERU ZŁ 10.—

DWA POLSKIE FILMY DOKUMENTARNE

„MAZOWSZE" i „DZIEŁO MISTRZA STWOSZA"

„Mazowsze", reż. T. Makarczyński, operator F. Fuchs, konsultant W. Jakowlew, komentarz T. Kubiak, produkcja: Wytwórnia Filmów Dokumentarnych.

Film jest atrakcyjny i cieszy się dużym powodzeniem. To dobrze. Jest to zasługą zespołu „Mazowsze", pieśni opracowanych przez Tadeusza Sygietyńskiego, no i przede wszystkim — barwnej taśmy. To — źle. To świadczy o tym, że temat został przez twórców filmu potraktowany jako „samograj", któremu nie potrzebna jest troskliwa opieka scenarzysty i reżysera, gdyż sam w sobie jest już dość ekspresyjny.

Nie widzimy angażowania młodzieży wiejskiej do „Mazowsza", w komentującej film speakerce ani razu nie pada nazwisko Sygietyńskiego — zasłużonego twórcy Zespołu. Cały komentarz jest źle pomyślany, w paru miejscach komentator zabiera głos, wchodząc na wyciszoną muzykę, aby... wyliczać imiona i nazwiska tańczących. Tańczą oni przy akompaniamencie... komentarza, spod którego muzyka ledwo się przebija. Owo „słowo mówione" pióra Tadeusza Kubiaka (o czym Wytwórnia Filmów Dokumentarnych „zapomniała" poinformować widza) musi nieraz „wyręczać" film, **mówiąc** o tym, co powinno być **pokazane.** Film, pozwalając widzowi usłyszeć piękne pieśni chłopskie, każe mu jednocześnie bez przerwy oglądać śpiewających w nieruchomych, dość stereotypowych ujęciach. Jest to najfałszywsze i najłatwiejsze rozwiązanie. Aż się prosi, aby od zdjęcia zespołu rozpoczynającego pieśń **przejść do krajobrazów, do scen pracy na roli** — aby Kubiak nie musiał gołosłownie zapewniać w komentarzu, że pieśń ludowa związana jest z ziemią Mazowsza, z jej ludem, że z jego pracy, trosk i radości wyrosła.

Niestety, film każe nam ze współczuciem przyglądać się śpiewającym dziewczętom, które z trudem, wykrzywiając się, muszą patrzeć w oślepiające słońce.

Do sfilmowanych scen tańca powinien mieć największą pretensję choreograf zespołu „Mazowsza" — Papliński. Wszystkie opracowane przeześ ujęcia choreograficzne albo zatraciły się tu zupełnie, albo też uległy niefortunnej deformacji. Zbiorowe sceny rozbite zostały w filmie na wycinki, pozbawione rozumnej harmonii i wykoślawione fałszywym zbliżeniem kamery. Z brawurowego oberka pozostały w filmie nieskoordynowane fragmenty, żałosne szczątki. Z małą przesadą można stwierdzić, że jedynym udanym momentem jest zbliżone zdjęcie trzepocących w tańcu barwnych pasów i deseni na spódnicach (jest to umiejętne wykorzystanie możliwości, jakie daje film kolorowy).

Film kończy się obrazem zachodzącego słońca i pędzonych z pastwiska krów. Bardzo piękne zdjęcie. Ale jako pointa zamykająca całość nie tłumaczy się, ma posmak fałszywy. Gdzie indziej — rzeka na mazowieckiej równinie i drzewa ponad nią. Jeszcze gdzie indziej — opadające z drzew pożółkłe liście. Te obrazy — i wiele innych — są pięknymi, malarskimi ujęciami, ale w kontekście **nic nie znaczą,** nie służą ilustracji jakiejś nadrzędnej myśli, **są tylko ozdobnikami.** A szkoda. Gdyby rola ich była ważniejsza, film — składający się bądź co bądź z przypadkowo ułożonych obrazów — zyskałby na sile wyrazu, a doniosły fakt społeczny jakim jest powstanie Państwowego Zespołu „Mazowsze" dobitniej i sugestywniej przemówiłby do widza.

Pomimo wszystko — film, dzięki tematowi, dzięki urzekającym piosenkom i udatnej na ogół barwie cieszy się dużym powodzeniem. Nic dziwnego: pierwszy polski film kolorowy, no i — „Mazowsze".

W recenzji celowo podkreśliłem braki filmu, jego niedopracowanie, a pominąłem wiele niewątpliwych cech dodatnich. Warto bowiem sformułować wnioski, jakie płyną z usterek, o których była mowa: atrakcyjność tematu nie zwalnia bynajmniej twórców od trudu kompozycyjnego. Przeciwnie: zobowiązuje do szczególnie troskliwej pracy, aby treściom dzieła dać równoważny jakościowo kształt filmowy.

Jerzy Ficowski



Zespół „Mazowsza" tańczący w plenerze — zdjęcie z filmu „Mazowsze"

„Dzieło Mistrza Stwosza", reż. St. Możdżeński, zdjęcia S. Sprudin. Produkcja Wytwórnia Filmów Dokumentarnych.

Film o dziele Wita Stwosza — Ołtarzu Mariackim w Krakowie miał za zadanie zapoznać masowego widza z tym najwybitniejszym zabytkiem plastyki polskiego późnego średniowiecza. Jak wynika już z samej kompozycji filmu twórcy jego chcieli zilustrować trzy główne zagadnienia: pokazać środowisko artystyczne, w którym narodziło się dzieło Stwosza, pokazać samą rzeźbę, ze szczególnym podkreśleniem cech realizmu stwoszowskiego, oraz zobrazować funkcję społeczną, jaką dziś spełnia to arcydzieło późnego gotyku.

Ten układ filmu pozwala na dosyć obszerne zapoznanie widza z Ołtarzem Mariackim, jest więc celowy i trafny. Aby jednak dać należytą ocenę filmu należy przyjrzeć się, jaką treścią i jak wypełnili realizatorzy filmu zakreślone przez siebie ramy, jak rozwiązali cały szereg specyficznych trudności, jakie zawsze stają na drodze realizatorów filmu o dziele plastyki, szczególnie o dziele tej klasy co Ołtarz Mariacki.

Część pierwsza filmu pokazuje średniowieczny Kraków — miasto, do którego przybywa w r. 1477 zaproszony przez radę miejską Wit Stwosz. Przez pokazanie zabytków średniowiecznej architektury i rzeźby Krakowa autorzy filmu słusznie zwracają uwagę, że Kraków XV wieku stanowił niewątpliwie poważny ośrodek kulturalny i artystyczny, który mógł dostarczyć przybyłemu z zagranicy rzeźbiarzowi inspiracji do stworzenia dzieła ściśle związanego z polską tradycją artystyczną. Tezę tę będą rozwijać twórcy filmu w drugiej jego części.

Druga część filmu wprowadza nas do warsztatu Wita Stwosza, przedmiotem jej zainteresowania jest samo dzieło. Jest to więc część najważniejsza.



Rzeźby z Ołtarza Mariackiego w ujęciu filmowym

Twórcy filmu nie ograniczają się do inwentaryzatorskiego spojrzenia na rzeźby ołtarza, starając się przez sposób filmowania i oświetlenia, przez montaż i ruch kamery oraz samych figur nadać filmowi walor artystyczny, wydobyć jak największą sumę ekspresji. Tu niewątpliwy sukces odniósł operator Sprudin, który nie po raz pierwszy zresztą wykazał wysoką klasę. Natomiast błędy drugiej części, błędy podstawowe, pochodzą z nie dość przemyślanego, powierzchownego i momentami efekciarskiego scenariusza tej części. Pokazując Ołtarz Mariacki film korzysta z jedynej w swoim rodzaju okazji, jaką jest całkowite jego rozmontowanie. Rzeźby i detale, które normalnie nie mogą być oglądane z bliska lub są niedostrzegalne w chwili, gdy ołtarz jest złożony, teraz mogły stanąć bez żadnych przeszkód przed obiektywem kamery. Twórcy filmu jednak niezbyt umiejętnie potrafili wyzyskać tę okazję. Kładąc główny nacisk na pokazanie z bliska poszczególnych elementów stwoszowego dzieła zapomnieli jednocześnie o kompozycji całości, gubiąc się w detalach.

Już pierwszy obraz świadczy o nieporozumieniu. Celem uzyskania efektu wyłaniania się rzeźby z kloca drzewa realizatorzy dokonują zdjęć od tyłu, wystawiając pod oko kamery wydrążone wnętrze pnia. Wiadomo, że drążenie rzeźb miało w tym czasie znaczenie praktyczne i służyło zabezpieczeniu ich przed paczeniem się. Widz nie poinformowany o tym otrzymuje obraz niejasny, niewłaściwy tym bardziej, że stwoszowska rzeźba nigdy w ten sposób nie mogła być oglądana. Tak więc efekt trafia w próżnię.

Dalej kamera pokazuje poszczególne figury ołtarza. Pokazuje je najpierw w całości, następnie wdaje się w analizę detali, przez co pragnie zwrócić uwagę na precyzję i artyzm dłuta mistrza. Ten efekt osiąga. Pokazane w zbliżeniu ręce, twarze, szaty świętych robią ogromne wrażenie i dają widzowi właściwe pojęcie o geniuszu Stwosza. Jednocześnie jednak nie posuwa to ani na krok naprzód wiedzy o ołtarzu jako całości. Poszczególne detale rzeźbiarskie nie dają w żaden sposób pojęcia o tym, jak wygląda ołtarz, jaką funkcję odgrywają w kompozycji całości poszczególne gesty, jak ustosunkowane są do siebie postacie. Nie można ani na chwilę zapominać, że dzieło takie, jak średniowieczny ołtarz szafiasty — posiada główny walor właśnie w kompozycji, którą dyktuje architekura i której podporządkowane są poszczególne postacie i grupy. Przy rozpatrywaniu ich w oderwaniu od całości wymowa ich staje się niezrozumiała.

Można więc stwierdzić, że zaletą filmu jest zbliżenie, w sensie dosłownym, poszczególnych fragmentów ołtarza, wadą zaś — nieumiejętność pogodzenia analizy detali z obrazem całości.

Nie chcę pomijać niewątpliwych zasług twórców „Dzieła Mistrza Stwosza". Dlatego należy podkreślić, że w drugiej części filmu, szczególnie przy pokazywaniu bocznych kwater, realizatorzy zdołali przekonywająco zilustrować tezę o realizmie w twórczości Wita Stwosza. Pokazali oni, jak do dzieła Wita przenikały szerokim strumieniem realia polskiego średniowiecza, jak ołtarz mariacki stał się dzięki temu wspaniałą kroniką XV-wiecznego Krakowa i Polski. Pokazali, jak bardzo narodowa jest ta sztuka, jak bliska życiu i dlatego właśnie wielka.

Zanim przejdę do omówienia ostatniej części filmu chciałbym zwrócić uwagę na komentarz. Otóż komentarz, szczególnie w części drugiej, jest niedobry. Mówi on o rzeczach, które widz w danym momencie sam widzi, opisuje słowami oglądany obraz i staje się przez to tautologiczny. Natomiast przez cały czas trwania filmu wizji wzrokowej towarzyszy doskonała muzyka Panufnika, oparta na stylizowanych motywach średniowiecznych (pokrewnych motywom „Symfonii gotyckiej" tegoż kompozytora).

Trzecia część „Dzieła Mistrza Stwosza", mówiąca o funkcji społecznej tego arcydzieła plastyki średniowiecznej w chwili obecnej jest najsłabszą partią filmu. Znów sprawę psuje już pierwsze ujęcie — montażowe przejście z obrazu głowy rycerza z ołtarza na nieudolny rysunek tej głowy wykonywany przez jednego z widzów wystawy. Nie trzeba powtarzać, że montaż filmowy ma nieograniczoną moc akcentowania skojarzeń. W tym wypadku otrzymujemy wrażenie przygaszenia wielkiej stwoszowskiej wizji, przejście jest brutalne i deprymujące. Część trzecia, jako całość, nie daje przekonywającego obrazu życia Stwosza i jego dzieła w Polsce Ludowej. Sala wystawowa zapełniona nawet najbardziej odświętną publicznością jest za ciasna, aby pokazać rolę, jaką zabytek, tej miary co ołtarz mariacki, odgrywa w naszym życiu. Trzeba było się zdobyć na bardziej monumentalne i wyraziste zadokumentowanie faktu, że wielkie arcydzieła przeszłości trafiły dziś do rąk ludu, od którego wyszły.

Krzysztof T. Toeplitz

HANNA MORTKOWICZ-OLCZAKOWA

ZMIANY W KRAJOBRAZIE

Kiedy przyjechałam zeszłego lata na Szlembark, do owej słynnej wsi w Gorcach, w której powstały najpiękniejsze drzeworyty Kulisiewicza i Krasnodębskiej-Gardowskiej — opowiadano mi tam ze śmiechem następujące zdarzenie.

Pewna pani, przyjezdna z Warszawy, stanąwszy wysoko na zboczu wzgórza, w oknie jednego z drewnianych domów, szeroko otwartym na ogromny przestwór doliny nowotarskiej i mgławo-niebieski łańcuch Tatr — spojrzała stamtąd z pogardą na falujące wzgórza, pocięte w wąskie, zielone i złote smugi pól i przeplecione iskrzącymi się nićmi Dunajca i oświadczyła:

— Ach, co to za reakcyjny widok.

I ja śmiałam się, bezpośrednio po usłyszeniu tego opowiadania. Owo natręctwo politycznej oceny i dyskwalifikacji z punktu widzenia społecznych przemian, wydało mi się przesadą wobec widoku, którego malowniczość nauczyliśmy się chwalić i lubić od lat.

Potem jednak, wędrując po stromych dróżkach, pomiędzy spiętrzonymi chałupami tej wsi, która jest cała zabytkiem dawnych form życia, zaczęłam sama ulegać pokusie podobnej oceny — i próbowałam przymierzać moje dawne przywiązania i wrażenia do surowych wymagań zmieniającego się, burzącego i budującego czasu.

Na Szlembarku całe życie zachowało się w formie tradycyjnego prymitywu: kształt chałup, które czasem tylko rozpadają się ze starości, piły i siekiery, pługi i kosy, powolny ciąg koni, które z wysiłkiem ciągną wozy pełne siana czy owsa po stromych zboczach, korowody bydła, gęsi i dzieci. Stałe współżycie grupy plastyków-grafików z tym malowniczym ośrodkiem trwające już przeszło dwadzieścia lat — w niczym nie zmieniło sposobów tej wegetacji. Prąd życia płynął dołem, zaledwie zahaczał o chałupy uczepione do zbocza. Miejscowi ludzie odchodzili stąd na krótko do wojska lub na zarobek, a potem na nowo wchodzili w dawną skorupę, jak w wyszarzałe portki z owczej wełny, zdobne regionalną parzenicą.

Malarze i graficy przyjeżdżali regularnie na parę letnich miesięcy i odjeżdżali, z bogatym ładunkiem swych utworów. Chwalili sobie tę odrębność Szlembarku i ten prymityw, z którego ciągnęli wielorakie natchnienia plastyczne. Jeżeli nawet reprezentowali swą sztuką rewolucyjną postawę wobec krzywdy społecznej i wiejskiej nędzy, jeżeli przedstawiali w swych utworach wygięte plecy i wychudłe ramiona starców, wypukłe brzuchy ciężarnych kobiet i bombiaste czoła oraz rachityczne, wątłe ciałka głodnych dzieci — po to aby walczyć ich obrazem, to ten gest protestu i oskarżenia służył ogólnej idei, nie kojarzył się z codziennością. Ich sztuka była na wynos. A wiejscy ludzie traktowali corocznych gości z pobłażliwą sympatią i nie łatwo dawali się cywilizować lub pouczać.

Znałam to wzajemne ustosunkowanie artystów i tubylców z innej miejscowości, nawiedzanej tradycyjnie przez malarzy — z Kazimierza nad Wisłą. Tam było jeszcze gorzej. Importowana sztuka, której służyli jako modele ludzie i pejzaże małego miasteczka, w niczym nie wiązała się z życiem. Stary żebrak — Kozdroń, który służył za modela całym pokoleniom — twierdził, że obrazy namalowane przez uczniów i profesorów Akademii Sztuk Pięknych wędrują do „muzynów" (murzynów) — tak obcy i niezrozumiały był dla niego termin: „muzeum".

Malowniczość zrujnowanych kamienic, krzywych chałup, była dla malarzy podnietą formalną, daleką od poważnej interpretacji treści tego widoku, zarówno jak od prób jej zreformowania. Przez wiele lat, w których Kazimierz był ulubionym miejscem pobytu malarzy, terenem letnich plenerów Akademii, nie pamiętam ani jednego człowieka, którego by przykład artystów czy magnes sztuki pociągnął za sobą, wyrwał z ówczesnego zastoju i nędzy prowincji, zachęcił do społecznego awansu. Sztuka, która wraz z przyjezdnymi malarzami przenikała w prymityw środowiska była niezachęcająca i zbędna.

Na Szlembarku było pod tym względem lepiej. Decydowało o tym społeczne, rewolucyjne nastawienie tamtejszych artystów z Kulisiewiczem na czele, oraz bujna natura i artystyczne skłonności podhalańskiego ludu.

Ta wieś w Gorcach niemal graniczyła, przedzielona tylko Dunajcem, ze starym kościółkiem w Dębnie, gdzie piękna polichromia zamykała w ornamencie barwnych zwierząt i gwiazd całą bogatą treść ludowej sztuki. Obrazki na szkle całymi rzędami pozłacanych jaskrawych szybek świeciły pod powałą chałup okolicznych. Rzeźby odrzwi i czerpaków były źródłem ciekawej ornamentyki. A Chrystus z przydrożnych kapliczek upadał pod ciężarem wielkiego krzyża ruchem umordowanego, zadręczonego pracą i nędzą człowieka. Cóż, kiedy dla zbieraczy i smakoszy była to wciąż jeszcze tylko sztuka — daleka od życia, od podstaw bytowych jej twórcy: świątkarza, pastucha czy tkacza. Snobistyczne i chciwe panie z miasta rabowały świątki przydrożne i zbójników malowanych na szkle, żeby ich przenieść do swych salonów jak cenną zdobycz. Artysta walczył nieraz pędzlem czy rylcem przeciw nędzy zapomnianych i zagłodzonych wiosek, ale ludzie z tych wiosek tkwili po dawnemu w swych domostwach i swym trudzie, obojętni zarówno na artystowskie interpretacje jak i na perspektywy własnych przemian.

Poczęli się dopiero budzić, gdy te przemiany, wraz ze zmianą ustroju, podeszły do nich w takiej sile i potędze, że trudno się im było oprzeć albo przeciwstawiać.

Jeśli letni „redyk" potrafi przegnać setki tysięcy owiec z hal tatrzańskich na połogie pastwiska krynickich gór, jeżeli pomysły inżynierów stawiają nam przed oczy możliwość wzniesienia olbrzymiej tamy na Dunajcu i zatopienie wodą całej doliny nowotarskiej, jeżeli Nowa Huta, rosnąca pod Krakowem może ściągać do pracy i po zarobek tysiące bezrolnych biedaków z całego Podhala, to czyż mogą się nazwać stałymi i wiecznymi dotychczasowe sposoby wiejskiego życia, choćby najpiękniejszy był ich prymityw i archaizm?

Drapieżne zmienne życie płynie dolinami tak wartko jak nurt Dunajca, a o prąd jego zahaczają sprawy sztuki.

W świetle tych przemian malownicze, różnobarwne paseczki i kwadraty pól znikną niebawem wraz z zanikiem karłowatych gospodarstw rolnych i projektem przekształcenia Podhala w tereny pastwisk i łąk. Na obrazach przetrwają tylko jako dokument historyczny lub anachronizm. Anachronizmem staną się maleńkie pólka owsa na stromych zboczach, uprawiane krwawym trudem człowieka i konia, uciążliwy prymityw domowych sposobów wędzenia serów lub tkania wełny i płótna.



Tadeusz Kulisiewicz — Biedacy. Drzeworyt

Ale ogromne zmiany gospodarcze, wprowadzając nowe formy wytwórczości i eksploatacji, nie chcą niszczyć tego, co jest cenne w przeszłości, starają się je zachować i upowszechnić.

Stare obrazy na szkle wiszą w muzeach jak cenne zabytki. Ale już nie tylko nowa pionierka tej dawnej gałęzi sztuki, Helena Roj-Kozłowska, lecz także zastępy jej uczniów — góralskiej młodzieży uprawiają w sposób nowoczesny to piękne malarstwo.

Ornamentykę rzeźbiarską Podhala uprawia i upowszechnia program nauk w Zawodowej Szkole Przemysłu Drzewnego w Zakopanem.

Stare haftowane portki i cuchy leżą w skrzyniach niewymarłych jeszcze starców i w gablotach muzealnych, ale ich wzory powtarzają i rozwijają góralscy hafciarze premiowani na konkursie Ministerstwa Sztuki: Haza z Olczy, Stercula z Dzianisza, Fatla z Kościelisk, Duda z Maniowej, i inni. Kobiety z Zalipia pod Dąbrową Tarnowską z Felicją Kosiniak i Felicją Curyło na czele już nie tylko zdobią dwa razy do roku ściany swych chałup, stajen i chlewków — ale weszły swą bujną, kwiecistą sztuką na szerokie pole produkcji artystycznej całego kraju, a ich dzieci kształcą się w uczelniach plastycznych w Warszawie.

Tak samo w liceum plastycznym w Zakopanem kształci się mała Bigosówna z Głodówki — dziecko wyrosłe wśród malarzy, którzy od lat malują pejzaże w tym podhalańskim zakątku.

Z tej kontynuacji rodzimego artyzmu i rzemiosła, z tego włączenia się w szeroki nurt produkcji wynika zmiana stosunku chłopa, zarówno modela jak i ludowego artysty, do środowiska artystów z miasta.

Nie jest to owo chłopomańskie artystowstwo podszyte erotyką, owo kumanie się Młodej Polski ze wsią z czasów Bronowic. Jest to także coś innego niż braterskie współżycie Mierczyńskiego i Szymanowskiego z Sobczakami i Obrochtami.

Tutaj sprawa nie zależy od osobistej sympatii, od indywidualnego doboru — tu chodzi o rzeczy zasadnicze, w ogólnej skali.

Na ostatnim konkursie kapel, czyli „muzyk" góralskich, odbytym w kwietniu rb. w Zakopanem, a urządzonym przez Państwowy Instytut Sztuki — audytorium stanowił tłum górali przybyłych z całego Podhala, tłum żywy, zainteresowany, świadomy swej siły, zespolony z artystami na scenie i z artystami w jury wspólną pasją muzyczną.

Na spotkaniu gospodyń ze Związku Samopomocy Chłopskiej, członkiń spółdzielni produkcyjnych i PGR-ów z malarkami z okazji otwarcia wystawy „Kobieta w walce o pokój", w marcu rb. w krakowskim Pałacu Sztuki — modelki-chłopki serdecznie chwaliły i surowo ganiły autorki swych portretów, stawiały im żądania i zachęcały do pracy.

— Przecież ja tu w Krakowie, mało gdzie się umiem obrócić — mówiła koleżanka Bartoń z Bolęcina. — Rzeczywistego malarza, to się nigdy nie widziało, a co dopiero malarki... Naweteśmy nie myślały, że takie podobizny mogą być...

I miała rację. Tak dawniej było.

A potem koleżanka Kurachowa z Wysocic mówiła jak jest teraz:

— Obejrzałam ja sobie te portrety w tę stronę i w ową stronę, i tak i owak. Ale na ścianach — patrzeć — dużo jeszcze pustego miejsca zostało. Można by malować a malować. I tak mnie się przykro zrobiło, że w naszej wiosce nic takiego ni ma, niceście, koleżanki, dla nas nie wymalowały. Jak nawet jest ta świetlica — to tylko papierki wiuwają — a obrazu żadnego. To ja wam mówię: przyjeżdżajcie do nas, do Wysocic. U nas ładnie, gospodarka jest wspólna i sadek koło domów i radio gra. Przyjeżdżajcie do Wysocic, do naszej spółdzielni i wymalujcie nas, bo nam są potrzebne wasze obrazy.

Jedna przez drugą mówiły kobiety ze spółdzielni produkcyjnych i z PGR-ów o swej pracy na roli i o hodowli bydła, o przybyłych do nich malarkach, o obrazach. Jak o jednym i tym samym.

I miały rację. To było to samo. To się jednoczyło i zazębiało, płynąc przez miasta i wsie tą samą falą przemian.

Nie wiem czy widok ze Szlembarku i jego malowniczy prymityw zasługują na określenie: „reakcyjne". Ale czuję, że przemijają wraz z odmianą form kulturalnego i społecznego życia.

Na ścianie drewnianego domu, skąd patrzyłam z zachwytem na złoto-błękitne wzgórza podhalańskiego pejzażu, obok pięknego drzeworytu Krasnodębskiej-Gardowskiej, przedstawiającego pracę podhalańskiego drwala, wisi obrazek na szkle, wykonany przez małego chłopaczka z jednej z sąsiednich chałup, syna Kuby Szlembarskiego. Obok stoi rzeźba drewniana — dzieło świątkarza z Dębna.

Jedna z uczestniczek zebrania w krakowskim Pałacu Sztuki tak powiedziała do koleżanek malarek:

— Dużo was jest, co jeszcze nie rozumiecie i jeszczeście się nie przełamały.

Myślę, że teraz właśnie jest ten czas. Że się przełamujemy. I my. I krajobraz. I życie. I sztuka.

Hanna Mortkowicz-Olczakowa

WŚRÓD KSIĄŻEK

POWIEŚĆ O FABRYCE PENICYLINY

Dwie ostatnie powieści Aleksandra Jackiewicza „Jan bez Ziemi" i „Penicylina"*) są dowodem dwu różnych nieporozumień na drodze tego autora.

Nieporozumienie „Jana bez ziemi" to sprawa stosunku do postaci bohatera powieści. Czy bohater musi być postacią pozytywną lub negatywną? Nie. Ale czy autor powinien rozróżniać czarne i białe, czy powinno to być dla czytelnika jasne ze stosunku autora do bohatera? Tak. Nie idzie tu o żądanie prymitywizmu artystycznego, moralizatorstwa. Stosunek autora do swego bohatera, do problemu, może być najzupełniej jednoznaczny dla czytelnika bez żadnego nieartystycznego komentatorstwa.

Jeśli natomiast autor uprawia analizę psychologiczną, portret czy też kronikę losów obiektu swych obserwacji w ten sposób, że czytelnik nie widzi jasno celu tego procederu ani kryteriów autora, jeśli autor nie precyzuje swego stosunku do obiektu obserwacyj — mamy do czynienia z uprawianiem psychologii jako sztuki dla sztuki bez względu na charakter i wynik tej gry — czyli z psychologizmem.

Jackiewicz nie wychodził z założeń psychologizmu. Przeciwnie, w swojej książce dosyć wyraźnie oświadczał, w kim widzi pozytywne siły rozwoju naszego społeczeństwa: w świadomych reprezentantach klasy robotniczej, jak doskonały robociarz — stary Leśniak, jak ofiarni komuniści Czajka i Król. Pomimo tych obrazów i przebiegu wydarzeń, które głoszą zwycięstwo postaci pozytywnych niczym szyldy idei — sprawa nie jest jasna. Niejasny jest mianowicie charakter bohatera, „skomplikowanego" rzekomo Jana Leśniaka — i niewyjaśniony wydaje się stosunek autora do tego bohatera, do całej amplitudy jego wahań między czarnym i białym.

Jan Leśniak, rzekomo silny i zawsze samotny, zawsze zbuntowany, junak otoczony auerolą rycerskości — przedstawia się w istocie oczom czytelnika jako charakter o chorobliwie słabej woli, niezdolny do utrzymania się przy jakimkolwiek przekonaniu, ani reakcyjnym, ani postępowym jak chorągiewka na dachu zależna od każdego podmuchu i człowiek tchórzliwy wobec gróźb szantażu.

W ten sposób autor szukający zrozumienia u czytelnika dla swego bohatera popada jednak w psychologizm, gdyż nie zajmując się precyzowaniem swego stosunku do postaci — poprzestaje na analizie odkrywanych wypadków patologicznych. Jan jest w powieści rzekomym reprezentantem „sprawy ludzkiej". Przedstawiać ma całą złożoność i trudność problemu, przeradzania się człowieka w ustroju socjalistycznym. Ale nie jest to dobrze zrozumiany humanizm, kiedy na przedstawiciela sprawy ludzkiej — obiera się nieuleczalny wypadek kliniczny.

A jednak powieść jest zajmująca, czytelnik angażuje się uczuciowo w losy Jana. Dlaczego? Gdyż postać Jana jest żywa, ma w sobie część prawdy. Część prawdy — to może być gorzej niż cała nieprawda. To właśnie myli czytelników, czytelnicy idą za błędem autora.

W portrecie Jana można odczytać kilka rozmaitych, niedorysowanych konsekwentnie do końca charakterów.

Autora rzeczywiście interesowała postać jego bohatera, interesował istotny, ważki problem: problem tych, którzy nie dochodzą łatwą drogą do nowego ustroju, ale którzy są ludźmi wartościowymi i których trzeba po ludzku zrozumieć. Problem ten został wypaczony, ale czytelnik znajdzie w powieści ślad gorącego stosunku pisarza do zagadnienia, a to zawsze daje wynik artystyczny, działa na czytelnika.

Z „Penicyliną" ma się sprawa inaczej. Być może autor pragnął uniknąć błędów popełnionych w poprzedniej powieści. W każdym razie rezultatem jest poprawność wyjałowiona z wartości beletrystycznych. Autor opowiada najpierw o jednych postaciach, potem o innych, następnie o jeszcze innych — porzucając je i powołując na nowo bez szczególnego zainteresowania, a tylko ze względu na potrzebę przedstawienia dziejów fabryki penicyliny. W rezultacie dla czytelnika nie ożywa ani obraz sprawy, ani ludzie. Autor, być może przestraszony drogami, na jakie zaprowadziła go analiza bohatera w „Janie bez ziemi" — nie zagląda już do wnętrza swoich postaci, zadowala się tylko opisem powierzonych im funkcyj.

W „Penicylinie" Jackiewicza czytelnik nie odczuwa, żeby autora zainteresowały jakieś charaktery, typy ludzkie czy problemy, dla których chciałby znaleźć swoje rozwiązanie. Nie z ludzi, nie poprzez postaci wyrasta tu historia polskiej produkcji penicyliny. Raczej postaci o gotowych, oznaczonych funkcjach są cegiełkami, z których układa się z góry przewidziany opis.

Wieczorek, Zagórny, Żak, Suchy, Seyda... Żaden z nich nie jest bohaterem głównym — ale nie ma i bohatera zbiorowego. Brak jednego bohatera, którego losy angażowałyby zainteresowanie czytelnika i odsłaniały zarazem dzieje walki o fabrykę — jest najdotkliwszym brakiem powieści. Najbliższy roli bohatera głównego Wieczorek — nie posiada indywidualności, jest to tylko „miejsce na fotografię" człowieka fanatycznie oddanego pracy. Wieczorek „zaczął się rodzić" na początku powieści, w starciu z hitlerowskim majorem Kolbe — ale na tym niestety autor poprzestał i zakończył swój portret. Po tej scenie uważa Jackiewicz Wieczorka za gotową do rozgrywki figurę na szachownicy, przedstawił już ją czytelnikom — i dalej może ją posuwać według zasad ustalonych dla niej w pierwszej scenie. Takie założenie jest oczywiście fałszywe, Wieczorek bardzo szybko przestaje „żyć" w oczach czytelnika. Tym bardziej, że autor porzuca tę postać, zapomina o niej, lub powołuje z powrotem — bez troski o rozwój jej losów osobistych. Jakże więc czytelnik może zainteresować się bohaterem, którym nie interesuje się autor?

Charakterystyki postaci są niejako gotowe, zasady ich charakteru są przeważnie znane czytelnikowi. A przecież nie ma takiego schematu charakteru, którego nie potrafiłby pisarz wciąż na nowo dla czytelnika „odkrywać". I schemat zdradzonego męża, i schemat niewiernej żony, i schemat samowolnego dyrektora — może zostać przez twórcę wiele razy na nowo odkrywany w nowych żywych postaciach.

Jackiewicz najpierw uprzedza czytelnika w komentarzu autorskim, jaka jest rola postaci, a potem nią porusza w myśl ujawnionych „zasad działania". A więc Kawecki jest buchalterem oczywiście biurokratycznym, któremu łatwo otworzy oczy na świat uspołeczniona załoga. A więc Seyda jest dyrektorem oczywiście samowolnym, który swoją ambicję osobistą przekształci na ambicję społeczną pośród aktywnej załogi.

Charakterystyki postaci... Autorytet palacza Zagórnego, reprezentanta tego, co najlepsze w partii — opiera się w toku powieści najbardziej na tym, że nie mówi, tylko „dudni"; basowy głos jest również argumentem pozytywnej charakterystyki innych postaci z proletariatu.

Serdeczność — reprezentuje Żak, humor — Antoni Suchy. Suchy — to postać, której Jackiewicz udzielił najwięcej samodzielnej biografii. Jest niezbyt związana z losami fabryki, raczej marginesowa. Suchy pełni mianowicie funkcję rozrywkową, jak ornament na ważnym przedmiocie użytkowym. Jego „partie" mają za zadanie „ożywianie" powieści. Z początku nie ma szczęścia w miłości. Potem żeni się z rudą wdową po trumniarzu, zostaje ojcem trojaczków... Słowem, Suchy to w powieści „felieton", podczas gdy Wieczorek jest artykułem wstępnym. Ani ta funkcja kompozycyjna humoru, ani jego gatunek nie dają satysfakcji artystycznej.

Pro forma wstawione są nic nie mówiące „opisy natury".

Autor „Penicyliny" nie znalazł w zebranym przez siebie materiale „własnej sprawy", opisał rzecz jakoś „od zewnątrz", bez zaangażowania twórczego. Z tego powodu czytelnik nie wierzy, że niesłychane trudności, jakie stoją przed załogą zrujnowanej fabryki chemicznej w Piaskach — stanowią istotnie jakiś przedmiot walki, o której wynik mógłby być niespokojny. Te ogromne trudności, niesłychane wysiłki i zadziwiające zwycięstwa odczuwa jako zadanie, którego wyliczenie na papierze posuwa się prawidłowo i da pewny wynik na końcu. Nie brak w powieści spraw istotnych w produkcji — materiał został zebrany i przedstawiony sumiennie. Poruszył Jackiewicz i kwestię trudności z powodu niskich początkowo płac, i sprawę opuszczania się przez robotników w pracy wskutek brania dodatkowych zarobków w innych firmach, i kwestię pijaństwa, która nie jest łatwa, wymaga nieraz indywidualnego podejścia, i szereg innych istotnych stron życia ludzi w fabryce. A więc nie ubóstwo obserwacji faktów stanowi słabość powieści. W sensie faktograficznym nie brak jej prawdy. Również i ujęcie problemów od strony ideowej nie budzi jakichś zasadniczych sprzeciwów, można by kwestionować tylko szczegóły. Np. sama dość naiwna „odskocznia" kompozycji: w okresie jeszcze tak pochłaniającej wszystkich walki o wyzwolenie, od chwili powstania warszawskiego do chwili upadku Berlina, bohaterowie nie mają mocniejszej pokusy, aby brać udział z bronią w ręce w bojach o wolność; nie ruszając się z miejsca pilnują swojej fabryki chemicznej dla przyszłej produkcji w uwolnionym kraju. Raz mimochodem wspomina autor, że czynią to z polecenia partii — i tylko to mogłoby tłumaczyć owo uwiązanie na miejscu ludzi mężnych i ofiarnych. Polecenie partii wygląda jednak mitycznie, gdyż Jackiewicz czuje następnie potrzebę umocnienia swoich bohaterów w postanowieniu wytrwania na placówce „na tyłach" argumentem, że ...tak powiedział ich znajomy kapral Żak z Pierwszej Armii. — Trzeba wyznać, że Ażajew w swoim „Daleko od Moskwy" bardziej przekonywająco umiał umotywować poświęcenie pracowników pozostałych w czasie wojnyny na placówkach cywilnych, gospodarczych.

Stało się tak, jak gdyby Jackiewicz sobie powiedział: „Jan bez ziemi" był interesującą powieścią, obarczoną błędami ideowymi — zatem teraz będę pisał nie interesując się życiem wewnętrznym bohaterów — a wtedy powieść będzie bez błędu". Wygląda tak, jak gdyby autor stracił własną busolę i przerzucał się od jednych postulatów do skrajnie przeciwnych — zapominając, czego sam szuka, czego chce od siebie na drodze twórczej. A tylko to może go prowadzić do jakiegoś rozwoju. Na drodze od „Jana" do „Penicyliny" rozwoju nie widać.

Janina Preger

*) Aleksander Jackiewicz. Penicylina. PIW, Warszawa 1952, str. 293 i 3 nbl.

NIE TRZEBA BAĆ SIĘ OSTRYCH KONFLIKTÓW

Kiedy przeczytałem pierwsze opowiadanie Czesława Schabowskiego ze zbioru „To sprawa syna"*), pomyślałem, że moja recenzja nie obejdzie się bez nawiązania do toczącej się w Związku Radzieckim dyskusji o „bezkonfliktowości". Lektura następnych opowiadań utwierdziła mnie w tym przekonaniu. Zanim jednak przejdę do tej sprawy, postaram się krótko zreferować problematykę opowiadań Schabowskiego, bo jest ona niezwykle charakterystyczna.

W pierwszym opowiadaniu p. t. „Szturmok" akcja dzieje się w lokalu Pogotowia Ratunkowego. Personel Pogotowia razem z kierownikiem mają ciągłe kłopoty ze sprzątaniem lokalu, bo każda z przyjętych do pracy sprzątaczek, w dość krótkim czasie kończyła kursy ratowniczo - sanitarne, które odbywały się w budynku Pogotowia i awansowała na pielęgniarkę. Postanowiono w końcu przyjąć na sprzątaczkę tylko taką kobietę, która by nie chciała awansować. Trafiła się kiedyś pacjentka Janka, dziewczyna ze wsi, która — pobita przez kułaka — nie miała się gdzie podziać. Dowiedziawszy się o kłopotach Pogotowia ze sprzątaczką, Janka udała analfabetkę i ku obopólnemu zadowoleniu została zaangażowana jako „murowana" sprzątaczka. Wkrótce jednak zaczęła w skrytości przed otoczeniem uczyć się anatomii. Kierownik to podpatrzył i tak się tym rozczulił, że ostatecznie zrezygnował z chęci zaangażowania sprzątaczki bez aspiracji do awansu.

W opowiadaniu pt. „Rower" akcja wygląda mniej więcej tak: Spółdzielnia produkcyjna otrzymała maszynę do sianokosów. Na chwilę przed włączeniem prądu okazało się, że maszynie brakuje szajby. Ponieważ czas jest drogi, syn przewodniczącego, Jurek, który dostał właśnie od ojca za dobre postępy w nauce rower, siada nań i jedzie całą parą do miasta odległego o 24 km., aby przed zamknięciem sklepów zdążyć kupić szajbę. Po drodze urządza wyścigi z jakimś przypadkowo spotkanym rowerzystą i do miasta przybywa tuż przed zamknięciem sklepów, szajbę kupuje, ale nie ma sił aby na czas wrócić z powrotem. Usiłuje zatrzymać któryś z samochodów, jadących w stronę wsi, ale szoferzy nie reagują na jego znaki. Wtedy podejmuje szlachetną decyzję: postanawia rzucić pod samochód rower (którym nie mógł się nacieszyć) i w ten sposób zmusić szofera do zatrzymania się. Tak też uczynił. Przednie koło roweru zostaje pogruchotane, ale szajba jest na czas. Wkrótce potem ów nieznany rowerzysta, który ścigał się z nim na szosie, a który, jak okazuje się, jest mistrzem okręgu w sporcie kolarskim, przyjeżdża do spółdzielni z przedstawicielem Pow. Zarządu ZMP i w uznaniu zalet sportowych Jurka ofiarowują mu nowiusieńki rower wyścigowy.

Nie ulega wątpliwości, że konflikty powyższych (jak i dwu pozostałych) opowiadań, są konfliktami nieantagonistycznymi. Czy to jest zarzut? Nie. To jest tylko stwierdzenie faktu. Zresztą, jak to wynika z radzieckiej dyskusji o dramaturgii, konflikty nieantagonistyczne są pełnowartościowym materiałem nadającym się do obróbki artystycznej. Chodzi jednak o co innego. Konflikty te, nawet gdyby były wzięte wprost z życia, jeżeli są zgromadzone w jednej książce i w dodatku starannie odizolowane od decydujących na obecnym etapie konfliktów anatagonistycznych — w ostatecznej swojej wymowie wypaczają rzeczywistość, bo nie ukazują jej pełni i bogactwa, usypiając czujność polityczną masowego czytelnika sielankowatością swej problematyki w okresie trudnego budowania podstaw socjalizmu. Socjalistyczne konflikty nie istnieją w nas jeszcze samodzielnie, w oderwaniu od konfliktów starych, rozstrzyganych na drodze ostrych walk klasowych.

Wydaje mi się, że właśnie to niezgodne z rzeczywistym procesem narastania świadomości socjalistycznej laboratoryjne wypreparowanie nieantagonistycznych konfliktów zadecydowało o wielu rażących brakach artystycznych opowiadań tego zbioru.

Charakterystyczne jest, że rzeczywistość toczących się na obecnym etapie walk klasowych, wbrew izolatorskim tendencjom Schabowskiego, usiłowała wedrzeć się do jego opowiadań. Sprzątaczkę Jankę pobił kułak, u którego służyła; na analfabetyzmie Kiścia (opowiadanie „Gazetka ścienna") usiłował żerować sabotażysta; szajbę z maszyny w spółdzielni produkcyjnej wykręcił także kułak. Jednakowoż autor uczynił wszystko, aby nie dopuścić do zetknięcia się wroga klasowego z czytelnikiem bezpośrednio w cztery oczy. Czytelnik dowiaduje się o tych, bądź co bądź, istotnych sprawach z informacji zawartej przeważnie w jednym zdaniu, a przecież nie dla uzyskania informacji czyta się utwór artystyczny.

Nie udało się także Schabowskiemu wyzyskać bogatych złoży humoru, które tkwiły w materiale literackim. Tam, gdzie sama sytuacja jest komiczna, autor rozładowuje ją swym patosem, a tam, gdzie trudno byłoby się humoru dopatrzeć, usiłuje wydobyć go sztucznie.

W sumie zbiorek opowiadań Schabowskiego, świadczący o dużych możliwościach autora, sygnalizuje jednak pewne niebezpieczeństwo, zagrażające jego twórczości, a mianowicie uchylanie się pisarza od przedstawiania pełnych dramatycznego napięcia, ostrych, życiowych sprzeczności, na korzyść preparowania jakiejś pseudosocjalistycznej sielanki. Nie trzeba bać się ostrych konfliktów, a łatwiej będzie także wyzbyć się nieporadności artystycznych.

Stanisław Mędelski

*) Czesław Schabowski: „To sprawa syna". Wyd. Lud Spółdz. Wyd. Warszawa, 1951 r.

„OPOWIEŚĆ WIERZBOWA"

Zofia Dróżdż-Satanowska nie po raz pierwszy podejmuje w swej twórczości tematykę wiejską. O ile jednak w swym poprzednim cyklu pt. „Topiela" usiłowała dać obraz wsi w czasach okupacyjnych, o tyle „Opowieść wierzbowa"*) jest powieścią o tematyce współczesnej.

Zarysowane są w niej przemiany zachodzące w świadomości chłopów ze wsi, w której powstaje spółdzielnia produkcyjna. Autorka trafnie ukazuje, że z chwilą założenia spółdzielni nie kończy się, ale przybiera inne formy proces ideologiczny dojrzewania chłopstwa. Proces ten nie został jednak zarysowany dostatecznie jasno. Z pewnością dużym uproszczeniem jest zbyt łatwe i szybkie przełamywanie przez spółdzielców wszelkich wewnętrznych oporów jak i podszeptów kułackich. Zasługą pisarki jest stosunkowo wielostronne ukazanie dziejów spółdzielni zarówno od strony walki z kułactwem i bandami jak od strony jej zagadnień wewnętrznych. Autorce udało się ukazać ekonomiczne przyczyny nienawiści kułackiej do spółdzielni. Pokazała ona, jak spółdzielnia w Łysej Wsi godzi we władzę bogacza, wyrywa mu z ręki półdarmowego odrobnika, pokornego parobka i jak to właśnie kieruje wrogimi poczynaniami kułaków.

Niestety, na „Opowieści wierzbowej" ciąży szereg błędów znamiennych dla naszej powieści o tematyce współczesnej. Będzie to przede wszystkim wtłaczanie do utworu zagadnień i spraw, które nie wyrastają organicznie z rozwoju powieściowych wydarzeń, a tylko mechanicznie doczepione są dla ilustracji rozległych zagadnień współczesnej wsi. Jest tu wiele ciekawych epizodów i dobrze podpatrzonych sylwetek ludzkich, ale mało która z nich jest ustawiona i należycie wykorzystana dla rozwoju akcji powieści.

Wskutek nagromadzenia wielkiej ilości zagadnień pobocznych ginie zwłaszcza w pierwszej części powieści jej zagadnienie naczelne — sprawa walki z kułactwem. Usiłuje to autorka nadrobić częstokroć werbalnym stwierdzeniem, iż pewne fakty zachodzą — bez ukazania ich przebiegu w losach i czynach ludzkich. Najważniejszy etap przemian — dwa lata, w ciągu których powstaje we wsi spółdzielnia produkcyjna — zostaje w akcji powieści opuszczony. Dowiadujemy się, że przez ten czas w Łysej Wsi „dokonywały się rzeczy niepojęte". Ponieważ jednak nie widzimy ich, dla czytelnika jest niepojęte, w jaki sposób kolektyw biedniacki dochodzi do decyzji założenia spółdzielni. Ukazywanie gotowych wyników zamiast procesów stawania się — wypacza prawdę o życiu, zamiast obrazów rozwoju przedstawia martwy, statyczny przekrój. Autorka pokazuje wieś albo w stanie „ideologicznego letargu", albo już po przełomie. To co jest najważniejsze — narodziny nowego człowieka — pozostaje poza dziełem.

Nieprawdziwi, statyczni, raz na zawsze ostatecznie ukształtowani są główni bohaterowie powieści. Sekretarz organizacji partyjnej, Jasienkowski, jest pełen wszelkich zalet, począwszy od mądrości i czujności partyjnej, poprzez niezwykle dobre serce, do nieprzeciętnej i uderzającej urody. O zaletach jego autorka gorąco nas zapewnia, ale nie umie ich pokazać. Aby np. wpoić w czytelnika przekonanie o czujności bohatera, tak oto go charakteryzuje: „Od chwili przybycia do Łysej Wsi stał się jakby najczulszym instrumentem słuchu, wzroku, czucia i myśli. Od chwili założenia spółdzielni instrument ten drgał ze spotęgowaną siłą i Jasienkowski widział i słyszał daleko więcej niż normalny człowiek".

Taka idealizacja bohatera, czyniąca zeń nadludzką postać — jest zupełną pomyłką. Naprzeciw niego stawia autorka wroga, którego kompromituje bardzo prymitywnymi sposobami. Jest on chamem, brutalem i pijakiem (w powieści występuje kułak, który przez cały czas trwania akcji tylko raz jest trzeźwy). Mało tego. Przywódca bandy jest zezowaty, a Grochulski — kułacka wtyczka do spółdzielni — parska śliną w twarz swego rozmówcy.

Autorka nie potrafi pokazać rozwoju i przemian skądinąd ciekawie zarysowanych postaci, jak na przykład wiejski parobek Michel. Zahukany, przygłupi. Michel po wstąpieniu do spółdzielni staje się nagle tak zupełnie innym człowiekiem, że trudno nam w to po prostu uwierzyć. Przemiany, jakie przechodzi, są ukazane nie w kategoriach ideowych, w stopniowym rozwoju, w przełamywaniu dawnych lęków i przesądów, nie w procesie zdobywania w trakcie pracy poczucia własnej wartości i łączności z gromadą, ale w kategoriach przedziwnego „odrodzenia" biologicznego i psychicznego; zobrazowane jest to w ten sposób, iż Michel z „pokracznego człowieka" porozumiewającego się z ludźmi przy pomocy nieartykułowanych dźwięków i pisków, zmienia się nagle po jednym dniu pracy w spółdzielni w przystojnego i rezolutnego, aczkolwiek nieśmiałego kawalera. Postać Michela zyskałaby na prawdzie, a sam problem na głębokości, gdybyśmy widzieli, jakimi etapami dorastał do zrozumienia swej ludzkiej wartości dawny parobek kułacki.

W powierzchowny sposób potraktowała autorka wszystkie młode zakochane pary. Kochają się one ściśle według wzorów kiepskich sentymentalnych romansów i mimo ciągłych, rzewnych i namiętnych śpiewów są właściwie wyprane z głębokich ludzkich przeżyć, radości i trosk.

Równie niepotrzebne jak owe sielankowo-liryczne obrazki jest rozwiązanie głównego węzła intrygi powieściowej — przez przełom, jaki zachodzi nie w świadomości ideowej bohaterki, ale w jej uczuciach osobistych. Gdy na skutek akcji sabotażowej niedobitków bandy NSZ polom spółdzielni grozi zalanie wodą, ratują ją zeznania nauczycielki, która przedtem kochała się w szefie bandy, a obecnie w inżynierze, przyjacielu spółdzielni. Demaskuje ona sabotażystów nie z przekonania o słuszności sprawy, ale kierując się uczuciem. Triumf nowego na wsi staje się w ten sposób dziełem przypadku.

Język Satanowskiej w całej powieści jest dość niechlujny i pełen potknięć. Szczególnie napuszony i pretensjonalny staje się on w „partiach lirycznych". Oto jak opowiada **swój życiorys** główny bohater powieści: „Kilka już dni diabelska zawierucha zrywała z domów wiechcie przegniłej słomy, zanosiła śniegiem i pluła w oczy ludziom, którzy na przekór temu piekielnemu wichrowi musieli błąkać się po świecie. Spoza niekończących się szeregów rozczochranych wierzb strasznych o tej porze, łysych, szczękających gałęziami wysunęła się, czy może wybiegła jednej z tych ponurych nocy, kobieta. Nazywała się ona Marta Jasienkowska"...

„Opowieści wierzbowej" zaszkodziły zarówno błędy schematyzmu, jak i wzorowanie się na złych tradycjach literackich. Aby zdobyć się na prawdziwie realistyczny obraz wsi współczesnej, musi autorka pogłębić swą wiedzę literacką, kształcić się na klasykach, doskonalić rzemiosło pisarskie. W twórczości realizmu socjalistycznego nie istnieje bowiem pojęcie „literatury drugorzędnej", niedbałej o język, kompozycję i trafną motywację postępowania bohaterów.

Zofia Szprokoff

*) Zofia Drożdż - Satanowska — Opowieść wierzbowa; „Książka i Wiedza", 1952 r.

POCIĄG WARSZAWA-WROCŁAW

Wielka, pokojowa „bitwa o szyny", którą stoczyli po wojnie nasi kolejarze — byłaby tematem, godnym pióra epika, i dziwne, że dotychczas nikt do niego nie sięgnął. Pionierski krok w tej dziedzinie zapisać należy na konto Mariana Ruth-Ruczkowskiego, który tu właśnie zwrócił się po tworzywo do swego bezpretensjonalnego opowiadania pt. „Pierwsze dni"*).

Czasowe ramy opowiadania Buczkowskiego stanowi przebieg pociągu Warszawa — Wrocław z końcem maja 1945 r. Autor szkicuje wycinek owej „wędrówki ludów", jaką pamiętamy z tamtych dni, wędrówki, która pasażerów wystawia na nie lada próbę cierpliwości, dla kolejarzy zaś i zdziesiątkowanego, zniszczonego taboru była najgorętszym okresem wytężonej pracy ponad siły.

Uszkodzone, na szmelc raczej niż do przewożenia pasażerów nadające się wagony; stare, sfatygowane parowozy; fatalny stan dróg kolejowych; niedobór kadr — wszystko to sprawiało, że praca kolejarza wymagała wówczas nade wszystko poczucia obowiązku, ofiarności, prawdziwej świadomości obywatelskiej. Garść związanych z tym zagadnień naświetla Buczkowski w swym szkicowym opowiadaniu - reportażu.

Stosunkowo najlepiej zarysowane zostały dwie postaci: starego konduktora Hamerlińskiego i kierownika pociągu — Chmielarskiego. Autor ciepłymi barwami kreśli sylwetkę steranego wiekiem i zgnębionego ciężkimi stratami osobistymi kolejarza-weterana, który jednak pragnie w miarę sił przyczynić się do odbudowy odradzającego się kolejnictwa. Choć może niedostatecznie wyraźnie wskazano, gdzie leży źródło wysokiej ludzkiej i pracowniczej moralności Hamerlińskiego, niemniej jednak postać ta żyje, jest dla czytelnika bliska i sympatyczna.

Próbę ukazania przełomu wśród starych, zrutynizowanych kadr podejmuje Buczkowski na przykładzie Chmielarskiego. Ten doświadczony pracownik, fanatyk „porządku", z trudem i niechęcią nagina się do „improwizacji", jakiej wymagały ówczesne specyficzne warunki; nie może pogodzić się ze stylem pracy nowych kadr; nie chce zrozumieć, że niekiedy nie tylko można, ale trzeba działać wbrew uświęconym tradycją instrukcjom. Autorowi udało się zasygnalizować zmiany, zachodzące w psychice Chmielarskiego, gdy służbista-malkontent zaczyna rozumieć głębszy sens swej pracy i poczuwać się do ludzkiej solidarności z współkolegami.

Plastycznie zarysowuje się także jowialny Kubiak, zmagający się z skłonnością do kieliszka; najbladziej stosunkowo wypadł detektyw-amator Wiala. Szkoda, że autor nie poświęcił więcej uwagi maszyniście Leśniakowi i że nie zajął się bliżej ani jedną postacią kolejarza nowego typu, których rolę uwydatniono prawie wyłącznie w komentarzu słownym.

Można by się spierać, czy celowe było wprowadzenie, a zwłaszcza rozbudowanie wątku sensacyjnego (tropienie volks-deutscha Ostmajera), który nie jest organicznie związany z tematem. Wydaje się, że jego funkcję konstrukcyjną można było zastąpić z łatwością innym, istotniejszym motywem, których nie brakuje w odyssei pociągu nr 531.

Podkreślić należy ogólny nastrój optymizmu, którym autor potrafił przepoić swe opowiadanie, nie gubiąc wśród dramatycznych szczegółów zasadniczego, pozytywnego sensu opisywanych trudnych chwil.

Na języku Buczkowskiego ciąży niestety wpływ złej publicystyki, co razi zarówno w narracji i komentarzach od-autorskich, jak w niektórych dialogach. Klasycznym przykładem może tu być „przemówienie" dyżurnego ruchu w Ostrowiu. Trudno doprawdy uwierzyć, by jeden stary kolejarz, pragnący „od serca" przekonać drugiego, zwracał się doń takim oto stylem: „Ale napewno, w najśmielszej nawet fantazji, nie mogli przewidzieć tego, z czym nam przyszło się borykać. Po morderczej wojnie musimy rzucić na olbrzymie terytoria wiele milionów ludzi..." itd. „Przemówienie" to brzmi tym fałszywiej, że autor każe mu odegrać przełomową rolę w przemianie Chmielarskiego.

„Pierwsze dni", mimo swych niedociągnięć, są lekturą interesującą. Warto chyba, by autor pokusił się o pogłębienie tak szczęśliwie obranego tematu w obszerniejszym, bardziej dopracowanym utworze.

Anna Jakubiszyn

*) Marian Ruth-Buczkowski, „Pierwsze dni". PIW, 1951

JADWIGA PASENKIEWCZ

Kronika zakochanych z Via del Corno

Vasco Pratolini, jeden z najwybitniejszych współczesnych pisarzy włoskich, przebył trudną drogę życiową, która ukształtowała jego postawę ideową i artystyczną. Urodzony i wychowany we Florencji poznał dobrze codzienną walkę o byt, będąc kolejno gazeciarzem, gońcem, terminatorem, posługaczem, sprzedawcą napoi chłodzących na placu Madonna i domokrążnym handlarzem. Ojciec jego, robotnik, zarabia zbyt mało, by wyżywić rodzinę, zwłaszcza że do domu przybyła druga żona. Vasco nie może liczyć na pomoc, toteż skończywszy piętnaście lat rozpoczyna byt całkowicie samodzielny, opuszczając na zawsze dom rodzinny.

U progu swej twórczości Pratolini poddaje się klimatowi estetyzującej sztuki mieszczańskiej. Debiutuje tomem poetyckim „Il tappeto werde" (Zielony kobierzec) będącym artystycznym wyrazem młodzieńczego spojrzenia na rodzinne miasto, na piękno jego ulic i krajobrazów.

Mimo dużej przychylności z jaką ówczesna krytyka włoska przyjęła ten debiut. Pratolini zrywa w swych następnych utworach z postawą estetyzującą. W książkach jego coraz wyraźniej dochodzi do głosu wyraz doświadczeń życiowych pisarza. Zaludnia on strony swych książek bliskimi sobie postaciami i sprawami. Opisuje swoją dzielnicę, swoje otoczenie, matkę, ojca, towarzyszy dziecięcych niepowodzeń, wkorzenionych w wieś dziadków, przyjaciół i kochanki szczodrze przybrane poetyckim wdziękiem. Powstaje w ten sposób wiele obrazów pełnych subtelnego piękna i prostej ludzkiej prawdy. Całość jednak ulega zasadniczym deformacjom naturalistyczno - werystycznym wynikającym z nieskrystalizowanej w owym czasie postawy ideowej autora.

W latach bezpośrednio poprzedzających wybuch drugiej wojny światowej na terenie literatury włoskiej ścierały się różne antyrealistyczne prądy schyłkowej sztuki burżuazyjnej. Twórczość wyrażająca idee postępu, zawierająca elementy realizmu krytycznego musiała pod presją okrzepłego faszyzmu zejść do podziemi, manifestując swe istnienie poprzez publikacje wydawane poza granicami kraju. Pratolini, postawiony w konkretne warunki literatury burżuazyjno - faszystowskiej instynktownie usiłował przeciwstawić się panującym teoriom, szukając ucieczki w pozornej prawdzie autentyzmu, weryzmu, naturalizmu i powierzchownego realizmu. Świadomy przełom w jego twórczości pisarskiej nastąpił dopiero później. Nieugięta walka, jaką podjęła i prowadzi klasa robotnicza Włoch pozwoliła pisarzowi dojrzeć głęboki, klasowy nurt zachodzących przeobrażeń, odkryć siły napędowe postępu i ukształtować własną postawę ideową.

Do najciekawszych powieści Pratoliniego należą niewątpliwie „Un eroe del nostro tempo" (Bohater naszych czasów) i „Cronache di poveri amanti" (Ulica ubogich kochanków).

„Bohater naszych czasów", to — powiedzmy sobie od razu — próba nieudana. Ambitnym zamierzeniem autora było bowiem danie syntezy powieściowej zdegenerowanej kultury kapitalistycznego zachodu, której godnym reprezentantem jest zbrodniarz i degenerat zapełniający swymi czynami scenariusze filmowe, szpalty codziennych gazet i kroniki sądowe. Niestety, talent Pratoliniego nie potrafił sprostać wymogom tematu. Zamiast szerokiej, pogłębionej syntezy, przeciwstawiającej zwyrodnieniu artystyczno - ideowemu mieszczaństwa — nową kulturę socjalizmu, powstała blada historia o cynicznym młodzieńcu, który zdradza tak przypadkowo poznane tajemnice komunistów, jak i swych faszystowskich przyjaciół. Żyje on z pieniędzy wymuszanych na kobietach, a na zakończenie morduje z całkowitą zimną krwią i obojętnością kochankę, która staje mu na przeszkodzie do dalszych sukcesów erotycznych.

„Ulica ubogich kochanków" *) jest pierwszym utworem Pratoliniego napisanym z wyraźnego stanowiska ideowego, barwnym obrazem życia pogłębionym o świadomość przenikania procesów walki światopoglądowej aż do najmniejszych zaułków prowincjonalnych miast. Jest wreszcie wyraźnym potępieniem faszyzmu i sił, z których może się on rodzić.

„Ulica ubogich kochanków" to kronika dziejów małej uliczki we Florencji w pierwszych latach panowania faszyzmu. Pratolini pokazuje, że życie takiej uliczki może być bogate, zróżnicowane i ciekawe. Są tu postaci bohaterskich bojowników komunistycznych jak Maciste, są jednostki przystające do ruchu faszystowskiego typu Oswalda, jest bogata galeria typów drobnomieszczańskich i lumpenproletariackich, młode dziewczęta marzące o miłości i miłości tej idące na spotkanie, różni wykolejeńcy życiowi i młodzi ludzie o pozytywnych, aspiracjach życiowych, zwichnięci przez faszyzm.

Przez wszystkie te postaci przebiega, często głęboko ukryta, linia podziału na tych, co uczestniczą w walce z faszyzmem i na tych, co mu ulegają.

Z wielkim talentem powołuje Pratolini do życia barwny świat prawdziwych ludzi. Kilkoma pociągnięciami pióra kreśli głęboko przekonywające postacie, które przykuwają naszą uwagę, wzbudzają głębokie zainteresowanie swym losem, porywają nas, oburzają lub zachwycają. Postaci tych jest bardzo wiele, każdej z nich jednak umie autor przydać jakieś swoiste cechy, czyniące z nich sylwetki pełne żywej, ludzkiej dynamiki.

Styl Pratoliniego jest zwięzły a przy tym bogaty i zróżnicowany. Wewnętrzne przeżycia bohaterów manifestują się w działaniu. Powieść zaciekawia żywym tokiem akcji i utrzymuje w niesłabnącym napięciu uwagę czytelnika. Szczególnie mocną pointę powieści stanowi piękny, sugestywny fragment, w którym autor opowiada o szalonej jeździe bohaterskiego Maciste śpieszącego uprzedzić towarzyszy o śmierci, grożącej im z rąk faszystów.

Pratolini oparł się w „Ulicy ubogich kochanków" na autentycznym materiale, co wywołało po ukazaniu się książki małą burzę na autentycznej via del Corno. Mieszkańcy jej poznali siebie w opisywanych bohaterach i wnieśli skargę na autora i wydawcę, domagając się wysokich odszkodowań za zniesławienie. Afera stała się głośna. Rzesze ciekawych ciągnęły na via del Corno, leżącą w pobliżu placu della Signoria, by ujrzeć na własne oczy skład starego węglarza Nessi, kuźnię dzielnego Maciste i hotel „Cervia" z wiecznie opuszczonymi zasłonami.

Włoski tytuł powieści „Cronache di poveri amanti" (Kroniki biednych kochanków) określa formę książki i stosunek autora do opisywanych wydarzeń. Szkoda, że w polskim przekładzie zmieniono go na „Ulica". Niepotrzebnym również zwężeniem intencji autora jest zastąpienie w tymże tytule słowa „biedny" przez słowo „ubogi". Kochankowie Pratoliniego byli często ubodzy, ale zawsze biedni, bo życie się sprzysięgło by zniweczyć ich miłość.

Przekład Marcina Czerwińskiego stoi na wysokim poziomie artystycznym. Tłumacz nie tylko wiernie oddaje tekst oryginału, ale wspaniale odtwarza ten nieuchwytny nastrój powieści, który można by nazwać jej poezją. Pewne nieścisłości natomiast zakradły się do wstępu, czytamy tam: „Vasco Pratolini jest dziś pisarzem w pełni rozkwitu, jego debiut powieściowy przypadł jednak dość późno, już na lata męskie. Stało się tak z prostego powodu: to faszyzm pozbawił głosu ten talent. Po wojnie dopiero ogłosił szereg utworów literackich, świadczących o głębokim odczuwaniu życia, dążeń i walki ludzi pracy".

Vasco Pratolini, ur. dnia 19.IX.1913 roku we Florencji, należy dziś niewątpliwie do pisarzy postępowych. Wbrew jednak twierdzeniu zawartemu we wstępie do książki, pisarz ten wydał w okresie faszystowskim kilka książek, które przyniosły mu duży rozgłos. Pierwszy utwór „Il tappeto verde" ukazał się w 1941 r. W tym samym roku wyszła „Via de Magazzini", a w 1943 nowa pozycja pt. „Le amiche". Po wojnie natomiast ujrzały światło dzienne „Il Quartiere" — 1945, „Cronache familiare" — 1947, „Cronache di poveri amanti" — 1947, „Mestiere da vagabondo" — 1947, „Un eroe del nostro tempo" i „Le ragazze di san Frediano".

Jadwiga Pasenkiewicz

*) Vasco Pratolini — „Ulica ubogich kochanków" — Przekład Marcina Czerwińskiego. PiW, Warszawa, 1952.

ZOFIA POBUDZIŃSKA

O TEATR W ZAKOPANEM

Zakopane, bodajże od czasów „odkrycia", zawsze i bezskutecznie spragnione jest własnego stałego teatru. Dużo się o tym mówiło, pisało, zwoływało wiele zebrań i narad — i na tym się kończyło.

W okresie 20-lecia potrzeby burżuazyjnych gości zaspokajały gościnne występy zwykle ad hoc zorganizowanej grupy artystów, rzadziej ekipa jakiegoś teatru z normalnym spektaklem, przy tym były to zwykle występy podkasanej muzy, bo tego zresztą jedynie pragnęła ówczesna publiczność Zakopanego. Prób stworzenia teatru na terenie Zakopanego było aż 33. Ta, o której chcę pisać, jest 34-ta. Szły one zwykle w dwu kierunkach:

1) stworzenia teatru miejscowego dla stałych mieszkańców, który by szedł po linii repertuarowej teatru z prawdziwego zdarzenia i jakoś zaspokajał miejscowy głód życia kulturalnego.

2) stworzenia teatru regionalnego miejscowych zespołów góralskich, reprezentującego podhalański folklor, jedyny chyba w Polsce nader czysto zachowany regionalizm z jego pięknymi tańcami i muzyką góralską, która stała się natchnieniem tylu już kompozytorów, z wspaniałym strojem ludowym, sławnym już na cały świat, i dźwięczną gwarą góralską.

W latach międzywojennych były podejmowane usiłowania ze strony takich ludzi, jak dyr. Juliusz Zborowski, który po daremnych próbach stworzenia regionalnego teatru góralskiego zamknął się dla pracy wyłącznie naukowej w ścianach muzeum tatrzańskiego. Był w latach 45-46 pod kierunkiem Zelwerowiczowej „Podhalański teatr", będący raczej miejscem chwilowego schronienia bezdomnych jeszcze i niezorganizowanych aktorów niż teatrem o zdecydowanym obliczu i repertuarze.

Były próby stworzenia teatru przy TUR-ze w r. 1946 — 48.

Powstały wreszcie „Regionalne Zespoły Teatralne Związku Samopomocy Chłopskiej w Zakopanem", zorganizowane pod opieką przewodniczącego ówczesnej Rady Narodowej, ob. Władysława Gromkowskiego, w r. 1948. Była to doskonale zapowiadająca się placówka, zespalająca szereg regionalnych grup góralskich z Witowa, Bukowiny, Kościelisk, Szaflar i innych wsi góralskich. Współpracowali z nią znawcy swego regionu, literaci podhalańscy — jak Aniela Gut Stopińska czy Adam Pach, wnuk Sabały po kądzieli, bajarz góralski, nie gorszy chyba od swego sławnego dziada. Zdawało się już, że powstał na terenie Zakopanego jedyny w swoim rodzaju ludowy teatr góralski.

Ale i ten teatrzyk, jak wszystkie inne, z powodu braku rzeczowej, fachowej opieki zmarł na uwiąd starczy po krótkim a burzliwym żywocie.

Regionalne zespoły dobiła sama „Samopomoc Chłopska", która zamiast serdecznie zaopiekować się tym ciekawym przejawem ruchu artystycznego, zamiast udzielić zespołom pomocy w postaci fachowych instruktorów i mocnego organizatora, jesienią 1950 roku zespoły rozwiązała. Wyjście zaiste najwygodniejsze: wylać dziecko razem z kąpielą.

A tymczasem zespoły ludowe, które mają jaką taką opiekę, kwitną. Pracuje stale zespół taneczno-muzyczny z Kościelisk, dlatego tylko, że ma zapewnioną stałą opiekę Związku Zawodowego Leśników. W każdej wsi niemal istnieje jakiś dobry zespół taneczny i orkiestra wygrywająca starodawne „nuty". Do ostatniego festiwalu muzyki regionu podhalańskiego, urządzonego w kwietniu b. r. dla uczczenia 15 rocznicy śmierci Karola Szymanowskiego, stanęły aż 34 zespoły muzyczne.

Pielęgnuje się na terenie Zakopanego stare gadki Sabałowe, wielkim urozmaiceniem wczasów są tzw. wieczory literackie urządzane przez pisarzy podhalańskich, Anielę Stopińską i Adama Pacha. Wczasowicze wynoszą stąd bardzo wiele. Dla wielu z nich bowiem folklor i gwara góralska są czymś całkiem nieznanym. Szkoda tylko, że program tych naprawdę ciekawych wieczorów literackich obraca się zawsze ku dawnym czasom, legendom i opowieściom, a niemal zupełnie nie nawiązuje do teraźniejszości, nie tworzy nowych tradycji.

A przecież teraz bardziej niż kiedykolwiek Zakopane potrzebuje zdrowej strawy kulturalnej, związanej zarówno z potrzebami regionu Zakopanego, jak i jego nowych, dzisiejszych gości. Rozstrzelone działania zmierzające w kierunku zjednoczenia i wydobycia talentów ludowych, pokazanie sztuki góralskiej w oczyszczonej od drobnomieszczańskich naleciałości formie, należałoby skupić w jedno świadome swych celów i mocne organizacyjnie ognisko. I coś takiego zaczyna się już „stawać" we wsi Kościelisko, w Domu Ludowym. Są to pierwsze próby dopiero, ale są. Może za jakiś czas posłyszymy o góralskim „Mazowszu"...

Od dwu lat istnieje tu Towarzystwo Muzyczno - Dramatyczne im. Moniuszki. Celem jego — dobrnięcie nareszcie do stałej placówki teatralnej w Zakopanem.

Jak zwykle w tego rodzaju poczynaniach działa naprzód pełna wiary, uparta, niestrudzona jednostka, a w miarę rozwoju zamierzonej akcji artystycznej powstaje kolektyw coraz bardziej kochający swoją placówkę, skłonny do coraz większej karności i wyrzeczenia się osobistego „ja" dla dobra zespołu, coraz bardziej zwarty i karny.

Amatorski kolektyw Zakopanego pod kierunkiem reżyserskim prof. Franciszka Buczkowskiego w ciągu niecałych 2 lat istnienia wystawił „Klub kawalerów" Bałuckiego, „W pewnym mieście" Sofronowa, „Damy i huzary" Fredry, „Moralność pani Dulskiej" Zapolskiej, „Burzę" Ostrowskiego i „Romans z wodewilu" Krzemińskiego.

Jest już więc stałość pracy i ciągłość repertuarowa, która nie zerwała się nagle po pierwszym spektaklu, jak to się stało z zupełnie udanym przedstawieniem FWP „Dwa tygodnie w raju".

Zespół Tow. Muzyczno - Dramatycznego im. Moniuszki liczy 45 członków, amatorów, rekrutujących się ze wszystkich warstw Zakopanego, ma własnych kostiumów na scenę za ponad 6 tys. złotych, jest samowystarczalny na zasadzie dochodu z przedstawień, opłaca salę, orkiestrę, podatki itp. Jednakże w tych warunkach teatrzyk, który pragnąłby docierać do wsi i miasteczek Podhala, przez nikogo nie finansowany, musi rezygnować z dalszego rozwoju, ponieważ wyjazdy tworzyłyby na pewno deficyt.

A z czasem Towarzystwo Muzyczno - Dramatyczne im. Moniuszki pragnie do pracy swej wciągnąć również miejcowe grupy ludowe, tworząc w ten sposób drugi kierunek teatrzyku — regionalny. Plan ten jest o tyle realny, że dla teatru zakopiańskiego pisze Brandstaetter i Morstin sztukę o życiu zbójnika tatrzańskiego, Janosika, zbójnika-społecznika, buntującego się przeciw uciskowi feudalnemu. W programie teatru zakopiańskiego obok tej sztuki na czas najbliższy zamierzone są premiery: „Rewizora" Gogola, „Szczęścia Frania" Perzyńskiego, oraz którejś ze sztuk współczesnych, prawdopodobnie „Wczoraj i przedwczoraj" Maliszewskiego.

Ale... teatr zakopiański utrzymuje się dzięki najwyższej ofiarności całego zespołu, który pracuje całkiem bezinteresownie, a próby odbywa po prywatnych mieszkaniach — i nie ma żadnego poparcia prócz bardzo życzliwego stanowiska miejscowej Podstawowej Organizacji Partyjnej.

Miejska Rada Narodowa znajduje fundusze na utrzymanie nader rzadko występującej orkiestry dętej, a dla teatrzyku, który „rodzi się" — realnie nie robi się nic. Tymczasem oparcie materialne dla teatru zakopiańskiego jest właściwie kwestią jego dalszego istnienia.

Zapewne dla postawy moralnej i rozwoju artystycznego tego teatru wielką radością jest fakt, że objął nad nim opiekę teatr krakowski z dyr. Szletyńskim na czele, ale to nie wszystko. Przecież najskromniejsza sekcja teatralna w świetlicy ma płatnego instruktora teatralnego, lokal do prób, dekoracje, opiekę organizacyjną swego Związku. Dzięki świadomej, mocnej postawie CRZZ wypłynęło w czasie Festiwalu wiele wysoce uspołecznionych i artystycznie dobrze postawionych zespołów związkowych, zespołów, które niekiedy lepiej niż teatry zawodowe wykazały pozytywne i negatywne wartości sztuk współczesnych.

Mają poparcie swoich Rad Narodowych, TOF-u czy domów kultury teatry w Tarnowie, Nowym Sączu, Przemyślu czy Gnieźnie, a nie ma go tylko Zakopane.

Teatr zakopiański jest placówką młodą, lecz jakże eksponowaną!

Nie chodzi w tej chwili o błędy reżyserskie, repertuarowe czy nawet ideologiczne w ogólnym kierunku tegoż teatrzyku. To można naprawić, chodzi o rzecz podstawową:

34-ty z kolei teatr w Zakopanem dowiódł swej dojrzałości; dowiódł jak bardzo potrzebna jest tego rodzaju placówka na terenie Zakopanego. Funkcjonując bez opieki i oparcia już dwa lata. Czy nikt więcej prócz dyr. Szletyńskiego nie zaopiekuje się młodziutkim teatrem zakopiańskim?

Stwórzmy bazę opiekuńczą dla teatru w Zakopanem! Nie pozwólmy mu zginąć suchotniczą śmiercią, jak zginęło już tylu jego poprzedników. Niechże 34 teatr Zakopanego stanie się naprawdę ostoją życia kulturalnego Podhala.

Zofia Pobudzińska
instruktorka teatralna

WŁADYSŁAW BŁACHUT

W KROŚNIEŃSKIM TEATRZE „NAFTA"

Od kiedy po wyzwoleniu z obozu koncentracyjnego w Buchenwaldzie Wiktor Łącki znalazł się z powrotem w rodzinnym miasteczku i objął stanowisko referenta kulturalno - oświatowego w Związku Zaw. Górników — Naftowców — myśl o założeniu świetlicowego zespołu teatralnego nie opuszczała go ani na chwilę.

Jako syn robotnika naftowego spod Krosna w czasach sanacyjnych z trudem ukończył gimnazjum niższe i dopiero przed samą wojną dochrapał się lichej posadki kancelisty samorządowego. Z prawdziwym teatrem dotychczas niewiele miał wspólnego. W latach młodości otarł się wprawdzie o mieszczańską „Melpomenę" założoną w Krośnie przez prof. Filasiewicza, ale ta w żadnym wypadku nie odpowiadała jego wyobrażeniom o teatrze ludowym, przeznaczonym przede wszystkim dla robotników i chłopów.

Znał natomiast dokładnie teren i doskonale orientował się w jego możliwościach. Wiedział np., że brać robotnicza kopalnictwa naftowego żywo pielęgnuje tradycje kulturalne regionu podkarpackiego. Po ciężkiej pracy na polach naftowych lubi się rozerwać, zaśpiewać w gromadzie ludową piosenkę, zagrać na byle jakim instrumencie, zatańczyć gdzie się zdarzy, na zawołanie „odstawiać" wędrownych aktorów i z powodzeniem naśladować jarmarcznych komediantów...

Szybko rozeznał się również w procesie wielkich przemian, jakie zaszły w jego rodzinnych stronach. Oto na zawsze odeszli stąd różni naftowi spekulanci i międzynarodowi kapitaliści, należące do nich komfortowe wille i pałacyki zaludniły się rodzinami robotników i majstrów, obszerne kasyna i kluby przemieniły się w domy społeczne i świetlice, stanowiska kierownicze w przemyśle naftowym zajęli polscy inżynierowie oraz wykwalifikowani majstrowie i robotnicy.

Referent kulturalno - oświatowy, a potem kierownik Domu Kultury Górnika-Naftowca szybko zawarł z „nafciarzami" bliższą znajomość. Położony na skraju miasteczka, okazały, z daleka widoczny Dom Kultury, zagradzał im niejako drogę z pól wiertniczych Turaszówki do domu. Toteż chętnie — zwłaszcza jesienno-zimową porą — zatrzymywali się w jego przytulnych ścianach. Niemniej wielka, na 500 osób obliczona, sala teatralna w Domu Górnika długo nie spełniała swego właściwego zadania. Teatry zawodowe z Rzeszowa czy Krakowa z daleka omijały te strony, przedwojenna „Melpomena" jakoś nie zamierzała ożyć, a organizujące się powoli zespoły świetlicowe w zakładach pracy nie miały odwagi zaangażować się w poważniejszą robotę teatralną.

Łącki postanowił zmienić taki stan rzeczy. Krosno powinno i musi mieć swój teatr z prawdziwego zdarzenia! Wnet uzgodnił tę sprawę z Zarządem Okręgowym Związku Górników, uzyskał pełne poparcie Komitetu Powiatowego Partii. Aktorów do tego przyszłego teatru na pewno znajdzie się na miejscu, wśród naftowców! Nawet nie trzeba ich bardzo szukać, bo sami przychodzą twierdząc, że czują się na siłach zagrać każdą rolę...

Na wiosnę 1948 roku powstaje w Krośnie Zespół Dramatyczny „Nafta". Tworzą go ludzie najściślej związani z produkcją naftową, tacy jak wiertacz Adam Kozubal, robotnik naftowy Kazimierz Syrek, pracownicy kopalnictwa naftowego Makulski, Łukasiewicz, młodzi zetempowcy: Zdzisław Krężałek i Adam Zajdel, Niziołek, Charchalis i jeszcze kilku innych. Wiktor Łącki od razu staje się duszą tego zespołu. Początkowo łączy w swoich niefachowych rękach funkcje reżysera, instruktora, kierownika literackiego, inspicjenta i scenografa. Pracuje po kilkanaście godzin na dobę, czyta teksty utworów dramatycznych, kreśli wzory kostiumów, maluje dekoracje. Cały zespół pomaga mu w miarę swoich sił i możliwości.

Jesienią 1948 roku „Nafta" prezentuje publiczności krośnieńskiej barwne, doskonale opracowane widowisko: „Zaczarowane Koło" Lucjana Rydla. Pierwsza premiera i pierwszy wielki sukces zespołu. 32 przedstawienia przy stale przepełnionej widowni! Daje to naftowcom poważny kredyt moralny u publiczności i własne podstawy finansowe. Rozpoczyna się okres zorganizowanej pracy zespołu: wspólne czytanie i analiza tekstów, studia z zakresu historii teatru, scenografii, wymowy... Z miesiąca na miesiąc rośnie biblioteka teatralna, pęcznieją szafy z kostiumami, zapełnia się magazyn dekoracji. Zmienia się również repertuar zespołu. Po lekkiej komedii Montgomerego „Dzień bez kłamstwa" idzie „Harry Smith odkrywa Amerykę" Simonowa, „Wielki człowiek do małych interesów" Al. Fredry i wreszcie „Wczoraj i przedwczoraj" Al. Maliszewskiego. Równocześnie wyjazdy z przedstawieniami w teren, do ośrodków robotniczych i chłopskich, „wieczory przy kaganku" dla robotników krośnieńskiego zagłębia naftowego, próby zespołu baletowego, orkiestry symfonicznej, chóru. Coraz bardziej zaludniają się świetlice i kluby w Domu Kultury, coraz częściej jego sala teatralna wypełnia się do ostatniego miejsca. Powstaje zespół techniczny teatru, pracownia kostiumów i dekoracji, kierownictwo literackie. Wszędzie ludzie młodzi, opanowani entuzjazmem pracy, chęcią samokształcenia, wspólnym wysiłkiem zdobywający coraz wyższy stopień świadomości ideologicznej i rzetelnej wiedzy fachowej.

Udział w tegorocznym Festiwalu Polskich Sztuk Współczesnych zaczął się dla nich pod niepomyślnymi raczej auspicjami. W eliminacjach powiatowych zajęli zaledwie trzecie, a w wojewódzkich tylko drugie miejsce. W ogóle Rzeszów nie bardzo interesował się osiągnięciami swego — jak się okazało — najlepszego zespołu. Dopiero fachowe jury warszawskie potrafiło należycie ocenić jego twórczą, rzetelną pracę, przyznając za przedstawienie „Wczoraj i przedwczoraj" drugą nagrodę Ministerstwa Kultury i Sztuki dla zespołu oraz trzecią Wiktorowi Łąckiemu za reżyserię. Aktorzy grali tak jak czuli i umieli, to znaczy po prostu i szczerze, bez lichej sztampy i fałszywego patosu. W ich wykonaniu dzieje robotniczej rodziny warszawskiej, związane najściślej z historią naszej stolicy w latach okupacji i po wyzwoleniu, stały się dla widza szczególnie bliskie i zrozumałe. Grę Kazimierza Syrka, jako ojca, Bronisława Makulskiego — jako Antoniego, Izabelli Syrkowej w roli matki, czy Adama Kozubala w roli Jana cechowała głęboka prawda przeżycia wewnętrznego, zrozumienie sensu ideologicznego utworu, umiar i prostota. Artyści — robotnicy z Krosna prostymi środkami umieli oddać szlachetny patos powstającej z gruzów stolicy i trudne procesy dojrzewania jej budowniczych...



Amatorski zespół świetlicowy „Nafta" Domu Górnika w Krośnie. Na zdjęciu — wspólne czytanie tekstu „Wczoraj i przedwczoraj" Maliszewskiego

Bo też — jak opowiada reżyser Łącki — porządnie napracowali się nad sztuką. Przez cztery miesiące robili próby, wspólnie czytali „Miasto niepokonane" Brandysa i „Fundamenty" — Pytlakowskiego, malowali dekoracje, które wszędzie wzbudzały zachwyt widzów. Przy tej ostatniej robocie wyróżnił się młody chłopski artysta - samouk Tadeusz Knap z Wrocanki pod Krosnem. Wszedł też na stałe w skład zespołu krośnieńskiego i stał się prawą ręką reżysera Łąckiego.

Występ w sztuce Maliszewskiego na scenie teatrów „Ateneum" i „Nowa Warszawa" był dla naftowców z Krosna wielkim przeżyciem. Z niezwykłym ożywieniem opowiadają o drodze, jaką z małego prowincjonalnego miasteczka zaprowadziła ich na stołeczne sceny. Opowiadają o trudnościach, z jakimi musieli się borykać w poszukiwaniu właściwej linii interpretacyjnej utworu. Na tle rozgrywających się w sztuce konfliktów produkcyjnych i osobistych doszukują się analogii nurtujących ich środowisko i trafnie łączą je z walką o pokój i wykonanią planu 6-letniego.

Sukces warszawski zmobilizował naftowców do dalszej pracy nad sobą. Już dziś przygotowują się do jesiennego festiwalu sztuk radzieckich. Pracują nad sztukami „Tu mówi Tajmyr" — Isajewa i „Niewinni winowajcy" Ostrowskiego. Wybierają się również na pracowitą wędrówkę wakacyjną po całym Podkarpaciu. Chcą pokazać swój repertuar wszystkim kolegom - naftowcom, chłopom na wsi i gęsto rozsianym na przestrzeni od Krynicy do Iwonicza wczasowiczom.

Nie pracują dla reklamy, ale trochę im przykro, że tak mało pisze się o nich na łamach prasy lokalnej. Wystarczy wspomnieć, że „Nowiny Rzeszowskie" do czasu mojej wizyty w Krośnie (2 i 3 czerwca) nie napisały o ich sukcesie warszawskim. Również rzeszowska ORZZ bliżej się nimi nie zainteresowała. Żaden wreszcie z teatrów zawodowych nie pokusił się o patronat nad tym doskonałym zespołem utalentowanych samouków, nie pośpieszył z pomocą w doborze repertuaru, reżyserii, scenografii itp. Podobnie jak ich Jan z „Wczoraj i przedwczoraj" Adam Kozubal z pomocnika wiertacza własną pracą doszedł do kierowniczego stanowiska w kopalnictwie naftowym, a Maria Lachówna — Wanda z „Wczoraj i przedwczoraj", z robotnicy fabrycznej awansowała na stanowisko nauczycielki — tak cały zespół wyłącznie własnym wysiłkiem dobija się rangi prawdziwego teatru.

Sukcesy i osiągnięcia zespołu „Nafta" w Krośnie są najlepszym wyrazem wielkich możliwości twórczych tkwiących w najszerszych masach robotniczych i chłopskich, wiernym świadectwem idącej przez nasz kraj wielkiej, socjalistycznej rewolucji kulturalnej.

Władysław Błachut

U PRZYJACIÓŁ

LITERATURA DZIECIĘCA W ZSRR

W n-rze czerwcowym br. miesięcznika „Nowyj Mir" zagadnieniami tematyki i metodyki twórczości przeznaczonej dla młodocianego czytelnika zajmują się znani pisarze — S. Marszak i W. Katajew. Szczególnie interesujące są uwagi W. Katajewa, który nawiązuje do podstawowych wskazań dydaktycznych, skreślonych kiedyś przez M. Kalinina:

„...po pierwsze — miłość, miłość do swego ludu, do mas pracujących. Człowiek powinien kochać ludzi...

Po drugie — uczciwość. Nauczyć dzieciaków uczciwości...

Po trzecie — odwaga...

Po czwarte — koleżeńska spójnia...

Po piąte — trzeba kochać pracę"...

Założenia te, pojęte jako konkretne zadania wychowawcze dla dramaturgii dziecięcej, cytuje W. Katajew na zakończenie dłuższych rozważań na temat postulatów stawianych przez krytykę w tym zakresie. Omówiwszy dokładnie dotychczasowy stan tekstów dla zespołów teatralnych młodocianego widza, znakomity pisarz radziecki nawraca do gatunku najbardziej atrakcyjnego — do komedii:

„Powtarzam, nie wolno nam zapominać o komedii. Mamy wszelkie możliwości sprzyjające stworzeniu komediowych charakterów satyrycznych. Człowiek winien kochać ludzi. Ale w życiu trafiają się osobnicy, którzy ludzi nie kochają. Komediopisarz obowiązany jest wyciągnąć takiego typka na scenę, pokazać całą jego plugawość. Człowiek winien być uczciwy. A zatem — trzeba koniecznie pokazać na scenie człowieka nieuczciwego i dać mu dokładnego łupnia. Konieczne jest wyśmiewanie tchórza, darmozjada, leniucha, nieuka, osobowości bezskrzydłej, nie rozwijającej swych zdolności..."

Zmiennienie jest zakończenie wywodów Katajewa:

„Mamy świetny teatr dziecięcy, ale naszym obowiązkiem jest nieustanne jego doskonalenie w zakresie wszystkich rodzajów, bez zatrzymywania się na osiągniętych etapach i bez lęku o nasuwające się trudności. Znajdziemy dość sił na to. Pomoże nam społeczeństwo. Pomoże partia".

Z kolei S. Marszak zajmuje się nie mniej ważną sprawą: chodzi o teksty literackie w szkolnych podręcznikach przeznaczonych dla młodszych uczniów szkół podstawowych. Wiadomo, że nie tylko o wypisach dla umiejących już czytać, „zaawansowanych" przedstawicieli których tam z rzędu klas szkoły podstawowej, ale i o udziale literata w uatrakcyjnieniu, w artystycznym ukształtowaniu elementarza. Na przykładach klasyków rosyjskiej literatury dziecięcej — przede wszystkim na przykładzie Lwa Tołstoja — autor wykazuje, jak można suchy i nudny wykład zasad umiejętności czytania i pisania podnieść do znaczenia artystycznego aktu wychowawczo - poznawczego. Rolę odgrywa w tym wypadku nie tylko literacka forma czytanek, ale i ich żywa, łatwo zapamiętywana związana z życiem treść.

CZYTELNICY DYSKUTUJĄ NA TEMAT POWIEŚCI O WYŻSZEJ UCZELNI.

Tematyka uniwersytecka, temat życia i pracy wyższej uczelni radzieckiej nie od dziś ma prawo obywatelstwa w powieści współczesnej. Poza dawniej powstałym *„Universytetem"* Konowałowa, można wyliczyć trzy powieści o życiu studentów i uczelni, napisane w okresie powojennym: *„Trzej w szarych płaszczach"* W. Dobrowolskiego, *„Studenci"* W. Trifonowa, a ostatnio *„Witaj, uniwersytecie!"* G. Swirskiego.

Na temat tej ostatniej powieści czasopismo leningradzkie „Zwiezda" (w n-rze 5-tym br.) publikuje interesujące wypowiedzi czytelników, umieszczone w stałym dziale „Trybuna czytelnika". Głos zabrały grupy studentów wyższych radzieckich zakładów naukowych, asystenci, absolwenci, nauczyciele szkół średnich.

W odniesieniu do utworu Swirskiego czytelnicy radzieccy wysuwa szereg postulatów zmierzających do przełamania ciągle jeszcze pokutujących nawyków schematyzmu w ujmowaniu czołowych postaci działających, wskazując dalej na pewne „nienadążanie powieści za życiem" (co podkreślają zgodnie wszystkie głosy dyskusyjne). I tu warto zwrócić uwagę, jak bardzo literatura radziecka stara się o dotrzymanie kroku idącemu naprzód życiu: jeszcze nie przebrzmiały echa dyskusji dotyczącej utworu o paląco aktualnej tematyce, gdy już w czerwcowym (szóstym) zeszycie czasopisma „Nowyj Mir" *A. Akimowa* rozpoczęła druk swojej powieści na temat „uniwersytecki", zatytułowanej *„Pierwszy wrzesień"*. W powieści występują postaci i motywy treściowe znane z poprzednich utworów o tematyce uniwersyteckiej. Nowość w ujęciu centralnego zagadnienia stanowi wprowadzenie do utworu nie którejkolwiek ze stołecznych uniwersytetów, ale organizującej się dopiero uczelni w jednym z odleglejszych miast ukraińskich. Powieść jest napisana z niezwykłą bezpośredniością, chwilami dającą złudzenie aktualnej reportażowości.

LEKCJE WIELKIEGO MISTRZA

Pod tym tytułem „Litieraturnaja Gazieta" omawia zasadnicze cechy kunsztu pisarskiego Maksyma Gorkiego. Autor artykułu stwierdza między innymi:

„Gorki uczy naszych pisarzy, aby nie włączali nowych treści życiowych w przygotowane zawczasu ramki starych form literackich, ale aby śmiało, twórczo, w oparciu o całe bogactwo nagromadzone przez literaturę rosyjską — poszukiwali nowych form wyrażenia całej obfitości i różnorodności życia.

Gorki używa np. hiperboli, śmiałych i jaskrawych metafor, symbolów, ale wszystkie te chwyty poetyckie występują u niego nie dekoracyjnie, zdobne przyczepki opisów, nie jako słowne zdobnictwo, lecz jako środek mocnego i jasnego naświetlenia niepowtarzalnej swoistości życiowego procesu.

Pisać prawdę, walczyć o nią może tylko taki pisarz, który opanował wszystkie rodzaje, całe bogactwo, cały arsenał środków artystycznych — tak brzmi nakaz Gorkiego.

Idąc drogą Gorkiego literaci radzieccy osiągną nowe zwycięstwa twórcze".

W WALCE O ROZKWIT LITERATUR NARODÓW ZWIĄZKU RADZIECKIEGO

Rozwój socjalistycznych literatur narodów ZSRR — jest przedmiotem stałej troski i opieki ze strony Partii i Rządu, organizacji literackich i artystycznych, naukowych i oświatowych. Niedawno w stolicy Kazachskiej SRR, Alma-Ata, odbyła się zwołana przez KC KP(b) Kazachstanu konferencja w sprawach ideologicznych — z udziałem przeszło 800 naukowców, pisarzy, artystów, działaczy kultury i aktywistów partyjnych. W wygłoszonym na konferencji referacie sekretarz K. C. KP(b) Kazachstanu tow. Sużikow wiele uwagi poświęcił zagadnieniom rozwojowym literatury kazachskiej. Charakteryzując jej stały rozwój pod wpływem historycznych uchwał KC WKP(b) w sprawach ideologicznych, a także dzięki nieustannej opiece i pomocy ze strony KC KP(b) Kazachstanu — mówca podkreślił jednak pewne trudności, jakie musieli pokonać pisarze i krytycy kazachscy w związku z tym, że „na ideologicznym froncie Kazachstanu dłuższy czas działała grupa historyków i badaczy literatury, którzy pod hasłem kultury narodowej propagowali „idee" burżuazyjno-nacjonalistyczne". Ogół pisarzy Kazachstanu błędy te pokonał, obecnie odczuwa się duże ożywienie twórczości literackiej, a także działalności Związku Pisarzy Radzieckich Kazachstanu.

M. in. wybitny prozaik kazachski M. Auezow — zakończył pracę nad monografią o postępowym klasyku literatury kazachskiej — Abaju Kunanbajewie i napisał ostatnio nowelę filmową pt. *„Droga kobiety"*. Autor znanej polskiemu czytelnikowi powieści autobiograficznej *„Moje szkoły"* S. Mukanow opracował nowe, uzupełnione wydanie zajmującej powieści *„Syr-Daria"*; obecnie pisze sztukę z życia klasyka literatury kazachskiej Cz. Walichanowa. G. Musrepow, autor *„Żołnierza z Kazachstanu"*, napisał trylogię *„Karaganda"* — o powstaniu i rozwoju kazachskiej klasy robotniczej.

* * *

Podobna narada w sprawach ideologicznych odbyła się w czerwcu na Litwie. Obecny stan literatury litewskiej i zadania stojące przed pisarzami omówił sekretarz KC KP(b) Litwy, tow. Sneczkus. Radziecka literatura litewska — powiedział referent — ma do zanotowania bezprzecznie wielkie osiągnięcia: twórczość laureatów Nagrody Stalinowskiej A. Wenclowy, T. Tilwitisa — w dziedzinie poezji, A. Gudajtisa - Guzjawicziusa w dziedzinie prozy (*„Prawda kowala Ignotasa"*) oraz I. Dowitajtisa autora powieści *„Wielkie wydarzenia w Numestis"*. Jednak nie wszystkie dziedziny twórczości literackiej nadążają za szybkim rozwojem kulturalnym radzieckiej Litwy; przede wszystkim dotyczy to dramaturgii.

Na omawianej naradzie podkreślono, że należy rozwinąć tematyczny wachlarz twórczości literackiej. Stosunkowo mało powstaje utworów z życia litewskiej klasy robotniczej; tematykę wiejską reprezentują przeważnie utwory osnute na wydarzeniach z przeszłości przedrewolucyjnej i okresu pierwszych przemian socjalistycznych na litewskiej wsi. Na naradzie postulowano większe zainteresowanie pisarzy zagadnieniami współczesnej, spółdzielczej wsi litewskiej.

* * *

„O świcie"—taki tytuł nosi dramat młodego białoruskiego dramaturga, A. Makajenka. Tematem sztuki jest walka francuskiej klasy robotniczej o pokój. W utworze na czoło działających postaci wysuwa się przywódca komunistów jednego z francuskich miast — Ledoux.

Interesujące jest pełne prawdy, pozbawione schematycznych uproszczeń ujęcie środowiska robotniczego i mieszczańskiego w małym mieście Francji środkowej. Wyraźny i wymowny kontur charakterystycznych przedstawicieli walczących obozów i bezpośrednia żywość dialogu, a nade wszystko tętniący aktualnością temat — to zasadniczy walor nowej sztuki, cieszącej się obecnie zasłużonym powodzeniem na scenie Białoruskiego Teatru Narodowego im. Janki Kupały w Mińsku.

FILMOWANIE PRZEDSTAWIEŃ TEATRALNYCH

W Związku Radzieckim od pewnego czasu znany jest nowy rodzaj filmów fabularnych, który zdobył sobie sympatie zarówno miłośników filmu jak i teatru. Są to filmowane przedstawienia teatralne klasycznych utworów dramatycznych w wykonaniu najstarszych i najlepszych zespołów teatralnych. Słynna aktorka, artystka ludowa ZSRR — A. Jabłoczkina, opowiedziała na łamach „Izwiestii" o sfilmowaniu komedii A. Ostrowskiego — w wykonaniu znakomitego zespołu Teatru Małego w Moskwie.

„Na wsiakogo mudrieca dowolno prostoty" wystawił Teatr Mały w sezonie 1935/6, w reżyserii P. Sadowskiego. W tej właśnie inscenizacji przedstawienie zostało obecnie sfilmowane.

„Sztukę filmowano bez skrótów — pisze Jabłoczkina — w całości, w pełnej teatralnej inscenizacji. Istota sztuki filmowej przyczyniła się do zbliżenia sceny do widzów... Umożliwia ona dobrą obserwację aktorskiej mimiki, chwytanie najdrobniejszych szczegółów gry. Zasadniczo ekran nie naruszył poczucia miary i rytmu akcji scenicznej. Poszczególne sceny zostały umiejętnie zkadrowane. Film ogląda się lekko, bez wysiłku".

Jabłoczkina uważa filmowanie przedstawień teatralnych za ważny i potrzebny rodzaj sztuki, umożliwiający utrwalenie najlepszych wzorów kunsztu teatralnego. Uprzystępnia ono arcydzieła klasycznej dramaturgii wielu milionom widzów — w najlepszym wykonaniu aktorskim i najpiękniejszej oprawie scenicznej.

Ostatnio na ekranach radzieckich ukazał się nowy film — „Żywy trup" Lwa Tołstoja w realizacji znanego w Polsce z zeszłorocznego tournee zespołu Leningradzkiego Akademickiego Teatru Dramatycznego im. Puszkina. Sztukę wyreżyserowali: W. Kożicz i A. Dauson; reżyser filmu: W. Wengrow. Główną rolę — Fiedora Protasowa — gra artysta ludowy ZSRR — M. Simonow.

MARCELI RANICKI

MAŁA KSIĄŻKA – DUŻY WSTYD

Trudno, trzeba się przyznać do winy. Leży od pół roku książka do zrecenzowania i dopiero teraz zabrałem się do jej lektury. Zacząłem czytać i nie mogłem się już oderwać. Cóż to za wyjątkowa książka! Pół roku leżała na biurku, a ja wcale nie wiedziałem, co posiadam i co ważniejsze: nie wiedziałem, że taką książkę wydało się w Polsce Ludowej i każdy może ją za sześć złotych i pięćdziesiąt groszy nabyć...

Zacznijmy od kilku truizmów. Wydawanie książek niemieckich w języku polskim, to sprawa dla nas bardzo ważna, gdyż książki te... ale nie powtarzajmy rzeczy ogólnie znanych i przez nikogo nie kwestionowanych. Tłumaczymy więc postępową literaturę niemiecką, powstałą na emigracji w okresie Trzeciej Rzeszy, odrabiamy spore zaległości zapoznając czytelnika z najlepszymi książkami minionych epok, no i oczywiście, i przede wszystkim, otrzymujemy przekłady z współczesnej literatury naszego zachodniego sąsiada.

Wydawnictwa nasze wychodzą ze słusznego założenia: z piśmiennictwa epok minionych udostępniają tylko arcydzieła, z literatury współczesnej — wszystko co postępowe i choć w pewnej mierze wartościowe, a zwłaszcza każdą książkę, która pokazuje rodzenie się w Niemczech nowego życia. A że rodzi się w bólach— to wiemy, a że literatura nie zawsze nadąża za życiem — to także wiemy, jako że mamy w tym zakresie skądinąd pewne doświadczenie. Obok dobrych i średnich książek powstają więc w Niemieckiej Republice Demokratycznej także książki złe i bardzo złe.

Potrzebne są nam przekłady dobrych i średnich książek — pozostałych nie trzeba nam. To wszystko są truizmy, ale — jak się okazuje — trzeba je było powtórzyć, gdyż... wracamy teraz do tej książki, która bezczynnie leżała przez pół roku. Należy bowiem do rzędu bardzo złych i — ku chwale naszych wydawnictw niechaj będzie to powiedziane — do rzędu wyjątkowych i miejmy nadzieję ostatnich tego rodzaju okazów w zakresie przekładów z literatury niemieckiej. Jej tytuł brzmi „Rodzina Habermannów", a autor zwie się Hans Krause [1]).

Zamierzenie autora jest wcale piękne: chce ukazać życie rodziny przesiedleńczej, która przybywa do radzieckiej strefy Niemiec, tam przechodzi bajecznie szybką ewolucję i, zakasawszy rękawy, zabiera się ochoczo do budowy utworzonej w tym czasie Niemieckiej Republiki Demokratycznej. Wszystko razem jest nieprawdopodobne, napisane nieudolnie, kiczowato i banalnie. Ale rzecz nie tylko w tym. Przyjrzyjmy się bliżej losom rodziny Habermannów i doznamy nie lada niespodzianek.

A więc: skąd rodzina została przesiedlona do radzieckiej strefy Niemiec? Autor, czy też redaktor polskiego wydania chcą nas oszczędzić. Nie mówią więc skąd ta rodzina przybyła, ale na stronicy 16 dowiadujemy się, że pani Habermannowa „po opuszczeniu rodzinnych stron nie wytrzymała ciężkiej tułaczki: zmarła w drodze". Hm, zastanawiające. Dręczy nas pewne podejrzenie, ale odrzucamy je jako zbyt nieprawdopodobne. Aż tu nagle na stronicy 157 (warto jednak było przeczytać książkę do końca!) niepewności naszej zostaje brutalnie położony kres. Pewien spekulant tak oto przemawia do jednego z bohaterów książki: „Może pan być pewien, panie Habermann, nadejdzie oznaczony dzień, kiedy obaj pomaszerujemy do pańskiego rodzinnego kraju. Pierś wypiąć, brzuch wciągnąć — i naprzód! Dalej przez Odrę i Nysę!". Wylazło więc szydło z worka. Teraz wiemy już dokładnie, jaką „ciężką tułaczkę" miał autor na myśli, gdy opowiadał nam o śmierci pani Habermannowej.

Ale pocieszmy się: z poglądem owego spekulanta na przyszły zwycięski marsz przez Odrę i Nysę pan Habermann nie zgadza się. On także wraz z całą swoją rodziną zajmował się w radzieckiej strefie szmuglem i paskarstwem, no bo przecież — tak wynika z książki Krausego — nikt tam nie opiekował się repatriantami z naszych ziem zachodnich i właściwie nie można im brać za złe, że spekulowali, by nie ginąć z głodu. Wreszcie jednak pan Habermann nie mógł już wytrzymać, uciekł do stref zachodnich i wzbogacony o gorzkie doświadczenia powraca do wschodnich Niemiec. Dojrzał, zrozumiał, przejrzał — idzie pracować na budowę. Pięknie! Ale co sądzi pan Habermann o przyszłym marszu do jego rodzinnych stron? Posłuchajmy: „Może panu się wydaje, że ktokolwiek z nas przetrwa nietknięty następną wojnę? Wykrwawimy się, wyzdychamy po tej jak i po tamtej stronie Odry i Nysy". — Cóż zrobić: jesteśmy jak wiadomo nieco innego zdania w tej sprawie, innego niż Hans Krause i anonimowy redaktor polskiego wydania jego książki. Warto jednakże zapamiętać, że takie zdania przeczytać można w książce wydanej w Polsce Ludowej w 1951 roku, w książce — dodajmy to dla pikanterii — przeznaczonej dla młodzieży.

Powiedzieliśmy powyżej, że „Rodzina Habermannów" należy do rzędu książek bardzo złych. Ale to nie wystarczy, powiedzmy wyraźnie: książek szkodliwych. Ale przecież ukazała się w jednym z poważnych wydawnictw Niemieckiej Republiki Demokratycznej? Słusznie, ale została przez prasę NRD ostro skrytykowana i potępiona. Recenzja organu FDJ „Junge Generation" kończy się zdaniem: „Złym doradcom dali autor i wydawnictwo posłuch, gdy zdecydowali się na opublikowanie tej książki".

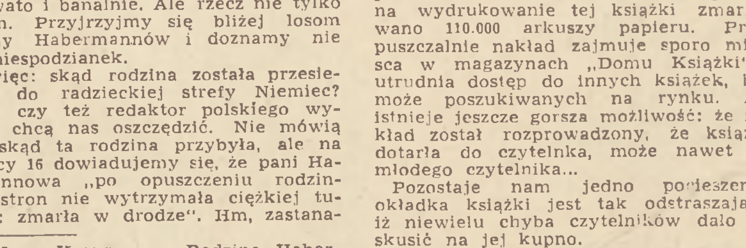
„Rodzina Habermannów" ukazała się po polsku w nakładzie 10.000 egzemplarzy, na wydrukowanie tej książki zmarnowano 110.000 arkuszy papieru. Przypuszczalnie nakład zajmuje sporo miejsca w magazynach „Domu Książki" i utrudnia dostęp do innych książek, być może poszukiwanych na rynku. Ale istnieje jeszcze gorsza możliwość: że nakład został rozprowadzony, że książka dotarła do czytelnika, może nawet do młodego czytelnika...

Pozostaje nam jedno pocieszenie: okładka książki jest tak odstraszająca, iż niewielu chyba czytelników dało się skusić na jej kupno.

Summa summarum: mała książka — duży wstyd.

Marceli Ranicki

[1]) Hans Krause — „Rodzina Habermannów", z języka niemieckiego tłumaczyła Janina Osińska, str. 176, SWO-Czytelnik. Warszawa 1951.



HISTORIA JEDNEJ PRZESYŁKI

(Esprit)

Na swym najbliższym posiedzeniu Zgromadzenie Ogólne UNESCO będzie rozpatrywało sprawę przyjęcia frankistowskiej Hiszpanii do UNESCO. Nie czekając decyzji Zgromadzenia Ogólnego, Departament Praw Człowieka UNESCO przesłał do Hiszpanii pewną ilość egzemplarzy Deklaracji Praw Człowieka, przyjętej swego czasu przez Organizację Narodów Zjednoczonych. Hiszpańskie władze celne zatrzymały przesyłkę i odesłały ją nadawcy.

jl

NOWY „SPORT" STUDENTÓW AMERYKAŃSKICH

(Liberation)

Wśród studentów amerykańskich popularny jest ostatnio nowy rodzaj „sportu". Za przykładem swych kolegów z Uniwersytetu Columbia studenci Uniwersytetu Vanderbildt w Nashville wpadli do sypialni w bursie dla dziewcząt z bojowym okrzykiem: „Dawać majtki! Dawać biustonosze!" Poturbowano przy tym trzech policjantów, którzy strzegli wejścia do bursy. Studentom udało się zebrać niezły zapas damskiej bielizny.

Na uniwersytecie w Tennessee policja ostrzeżona w ostatniej chwili o organizowanej przez studentów wyprawie na sypialnie swych koleżanek wysłała silny oddział, by rozpędzić amatorów nowego sportu. Aresztowano piętnastu studentów.

(Obok tej notatki zamieszczone jest zdjęcie „bohaterskich zdobywców", powiewających majtkami, pończochami i innymi częściami damskiej garderoby).

j. c.

W OJCZYŹNIE FORRESTALA

(Humanité)

New. York, 19 maja (Agencja Reuter). Zgodnie z informacjami dr Roberta P. Knighta, naczelnego lekarza Fundacji Riggs w Stockbridge (Massachusetts), ilość Amerykanów cierpiących na różnego rodzaju zaburzenia umysłowe wynosi około 9 milionów (więcej niż ogólna ilość chorych na paraliż dziecięcy, raka i gruźlicę). Cyfra ta obejmuje około 4 miliony nieuleczalnych alkoholików, 370.000 małoletnich przestępców oraz różne wypadki będące skutkiem nadużywania narkotyków, jak również ofiary rozmaitych fobii.

PODRÓŻE KSZTAŁCĄ...

(Le Figaro)

Prefekt policji paryskiej, pan Baylot (ten sam, który polecił usunąć z Salonu Paryskiego obrazy postępowych malarzy francuskich, ten sam, który kazał aresztować redaktora naczelnego „Humanité"), spędził pożytecznie dwa tygodnie w Stanach Zjednoczonych, gdzie był gościem amerykańskiego Departamentu Stanu. W czasie tej wizyty miał on możność konferowania z dyrektorem Federalnego Biura Śledczego, osławionego FBI, Edgarem Hooverem i z pewnością nie omieszkał zasięgnąć od niego wielu cennych rad.

W wywiadzie udzielonym waszyngtońskiemu korespondentowi „Le Figaro" pan Baylot zwierzył się, że największe wrażenie zrobił na nim „duch obywatelski i przedsiębiorczość" policji amerykańskiej. Przekonał się o tym zwłaszcza zwiedzając miasta prowincjonalne, gdzie zobaczył, co mogą zdziałać funkcjonariusze policji mając do dyspozycji o wiele więcej różnych środków niż policja francuska, a także dlatego że — obdarzeni zmysłem praktycznym — traktują często swą służbę jako przedsiębiorstwo dochodowe, nie różniące się zbytnio od przedsiębiorstwa przemysłowego.

Pan Baylot pokazał również korespondentowi „Le Figaro" plakat, który wisi — jak sam to stwierdził — w każdym biurze amerykańskim. Na plakacie tym ozdobionym rogiem obfitości, z którego sypią się dolary, widnieje dewiza „Nie ma wielkich idei. Są tylko idee, które się opłacają". Pan prefekt powstrzymał się od komentowania treści tego plakatu, ale na wszelki wypadek schował go sobie.

UMIEJĘTNOŚĆ PRZYSTOSOWANIA SIĘ DO NOWYCH WARUNKÓW

(„United Nations World")

W Sydney, Australia, aresztowano 29-cioletniego Roberta Clifforda, który wykombinował nową formę bardzo zmodernizowanego szantażu. Czterokrotnie otrzymywał pracę, po czym anonimowo zawiadamiał przez telefon pracodawcę, że zaangażował komunistę. W każdym wypadku pracodawca wyrzucał go z miejsca, płacąc mu za tydzień z góry zamiast wymówienia.

SAMI SOBIE WINNI...

(„New Statesman and Nation")

Korespondent z Południowej Afryki nadesłał fotografię ogromnej tablicy, wywieszonej przed farmą na głównej drodze między Johanesburgiem a Vereeniging. „Niebezpieczeństwo!" — brzmi zawiadomienie na tablicy. — „Tubylcy, Indianie i kolorowi! Jeżeli wejdziecie na ten teren, możecie się uważać za zgubionych. Uzbrojona straż strzela bez zastrzeżeń. Złe psy pożrą wasze ciała. Sami będziecie sobie winni". Ostrzeżenia dopełnia wizerunek czaszki i skrzyżowanych kości.

g. bil.

TRAGEDIA SIENKIEWICZA W POLSCE...

„Polonica" w reakcyjnej prasie zachodnio-europejskiej zawsze pachną sensacją. Czytane u nas nic nie tracą na swojej sensacyjności, a nawet nabierają pewnych cech surrealistycznych. Podobnie rzecz się ma z wiadomością z katolickiego wydawnictwa francuskiego „La Croix", pod tytułem „Rosjanie demoralizują młodzież polską za pomocą książek":

„W 1950 r. dyrektorzy szkół (w Polsce) otrzymali rozkaz przysłania do ministerstwa katalogów swoich bibliotek szkolnych. Katalogi te zostały wkrótce zwrócone po wykreśleniu z nich najlepszych dzieł literatury polskiej jak TRYLOGIA Sienkiewicza". Z dalszej części artykułu można się dowiedzieć, że wykreślone z katalogów książki zostały spalone w Ministerstwie Oświaty — wiadomo dlaczego i na czyj rozkaz".

W odpowiedzi na tę rewelację „Humanité" zamieściła fotografię tomów „Trylogii" w znanym w całej Polsce kompletnym wydaniu dzieł Sienkiewicza, z następującym komentarzem:

„Na nieszczęście dla „La Croix" w tym samym roku 1950 polskie wydawnictwo państwowe wydało dzieła Sienkiewicza w nakładzie 150.000 egzemplarzy i TRYLOGIĘ tego autora można zobaczyć w księgarniach Warszawy.

Oto jeszcze jeden wypadek, gdy ci, którzy rzucają oszczerstwa na kraje budujące nowe życie, zostają złapani na gorącym uczynku kłamstwa".

... i Tragedia Sienkiewicza w USA

Film Metro-Goldwyn-Mayer, nakręcony w/g „Quo Vadis" Sienkiewicza, został uroczyście pokazany w Londynie. Krytyka stwierdza — w pierwszym rzędzie niezliczone zmiany fabuły:

U Sienkiewicza Neron próbuje popełnić samobójstwo, gdy zaś w ostatniej chwili pochwycił go lęk, pomaga mu jeden z wyzwoleńców. U Zimbalista Neron zabija... Akte, więc jedyną kobietę, która go naprawdę kochała Winicjusz stacza walkę na baty z dwoma woźnicami. Biją się, walą się biczyskami po plecach, po głowach, choć, oczywiście, u Sienkiewicza nie ma takiej sceny... Ligia nie wjeżdża na arenę na grzbiecie tura, ale jest przywiązana do słupa.

Interpretacja, w/g krytyki londyńskiej, żywo przypomina filmy kowbojskie.

Winicjusz Roberta Taylora jest drewnianym prostakiem od początku do końca; na próżno doszukiwać się wyrafinowanego estety i epikurejczyka w Petroniuszu, krzepkim Anglosasie, tryskającym „common-sense'm". Złotowłosa Greczynka Eunice jest tu zadzierżystą brunetką o wyglądzie i zachowaniu amerykańskiej girlsy. Św. Piotr nie ma w sobie nic z biblijnego apostoła, przypominając raczej krzykliwego a brzuchatego mówcę religijnego z Hyde Parku w Londynie.

Następnie język. Wchodzi tam w filmie jakiś drab z gębą rzeźnika, mający być patrycjuszem i mówi: „Good morning", tak jakby u Sienkiewicza Wincjusz odezwał się do Petroniusza: „uszanowanie koledze", a nie: „Marek Winicjusz..: Petroniuszowi... pozdrowienie".

Najpikantniejszym szczegółem w całej sprawie jest jednak fakt, że „Quo Vadis" był nagrywany na miejscu—w Rzymie i według relacji korespondentów przedsiębiorcy amerykańscy tego filmu uzyskali pomoc Watykanu w produkowaniu go, ciche błogosławieństwo Papieża i „fachową" konsultację.

Gazeta „Sunday Times" podała m. in. wiadomość, że bardzo „bogobojny", a skądinąd bardzo proamerykański b. minister Christopher Mayhew, wyszedł ostentacyjnie w środku przedstawienia, na znak protestu przeciw ordynarności i chamstwu filmu. Powiedział przy tym: „Wyszedłem, ponieważ sceny w Koloseum były wprost oburzające. Idąc w ślady Nerona, Metro Goldwyn Mayer z premedytacją karmi motłoch scenami o wyjątkowej brutalności. Pominąwszy teksty z Nowego Testamentu, które wzruszają mimo woli, moralny i estetyczny poziom filmu niewiele ustępuje poziomowi samego Nerona. Stany Zjednoczone wykazałyby więcej roztropności, zabraniając eksportu takich filmów".

No cóż, panie ministrze — jak kto sobie pościele, tak się wyśpi.

(Kł.)

Przełożenie terminu Konkursu na plakat polityczny

Związek Polskich Artystów Plastyków i Dział Wydawnictw Artystyczno-Graficznych RSW „Prasa" zawiadamiają wszystkich zainteresowanych, że termin nadsyłania prac na Ogólnopolski Konkurs na plakat polityczny, rozpisany przez DWAG został przełożony na dzień 1.VIII. 1952 roku.

Michał, nie Marian

Naczelna Dyrekcja Archiwów Państwowych prosi uprzejmie o podanie do wiadomości, że autorem wymienionego w artykule Pawła Jasienicy „Nowe obszary historii" komunikatu pt. „Materiały do ruchu oporu chłopów przeciw uciskowi feudalnemu" jest dr **Michał** Szałagan (a nie Marian jak to podano w w/w artykule).

Z TYGODNIA

W KRAJU

UROCZYSTĄ AKADEMIĘ KU CZCI LEONARDA DA VINCI

zorganizował w sali Muzeum Narodowego w Warszawie 30.VI. Komitet Obchodu 500-lecia urodzin tego wielkiego męża. W akademii wzięli m.in. udział delegaci Włoskiego Komitetu Obchodu: Mario Fabiani i dr Geston Genzini. Referat wygłosił dyrektor Państw. Inst. Sztuki, prof. U.W. J. Starzyński. Przemawiali również: członek Komitetu Obchodu J. Iwaszkiewicz oraz M. Fabiani. Akademia związana była z otwarciem wystawy.

W 75 ROCZNICĘ URODZIN WOJCIECHA BRYDZIŃSKIEGO

zasłużonego aktora, laureata Nagrody Państwowej, w Państwowym Teatrze Powszechnym w Warszawie 4 bm. odbyło się uroczyste przedstawienie sztuki L. Rachmanowa pt. „Niespokojna starość", w której Brydziński gra czołową rolę.

KONERENCJĘ POŚWIĘCONĄ ZAGADNIENIOM RENESANSU W POLSCE

zorganizował Państwowy Instytut sztuki w ramach roku jubileuszowego Leonarda da Vinci. Konferencja odbyła się w Kielcach w dn. 4 — 10.VII. Celem jej było dokonanie przeglądu aktualnego stanu badań nad sztuką Odrodzenia oraz wydobycia rodzimego nurtu sztuki renesansowej. W ramach konferencji odbył się 3-dniowy objazd terenów Kielecczyzny w celu bliższego zapoznania jej uczestników z najważniejszymi zabytkami epoki Renesansu w rejonie świętokrzyskim.

I OGÓLNOPOLSKI ZJAZD PRACOWNIKÓW TEATRÓW LALEK

poprzedzony licznymi przedstawieniami w wykonaniu czołowych teatrów lalek — zakończył obrady. Dyskusję toczącą się przede wszystkim wokół zagadnień repertuaru podsumował dyr J. Pański, wskazując na to, że dotąd poświęcano zbyt mało uwagi teatrom lalek.

WYSTAWA PRAC MALARSKICH WĘGIERSKIEGO ARTYSTY - ROBOTNIKA

Gyuli Feledy'ego — została otwarta w sali Instytutu Węgierskiego w Krakowie. Feledy, górnik z zawodu, studiuje obecnie w Krakowskiej Akademii Sztuk Plastycznych.

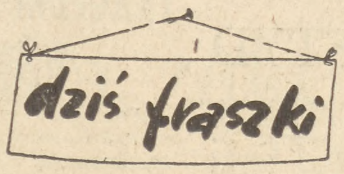
ZA GRANICĄ

KOMPOZYTORZY RADZIECCY

często wyjeżdżają do fabryk, kołchozów, do jednostek wojskowych, na wielkie budowle komunizmu. W wyniku jednej z takich podróży, kompozytorzy S. Kac, K. Listow i L. Bakałow napisali do słów staligradzkiego poety W. Kostina suitę dla chóru, orkiestry i solistów pt. „Witaj Wołgo — Donie".

NIEMIECKA PREMIERA „FARYZEUSZY I GRZESZNIKA" JERZEGO POMIANOWSKIEGO

odbyła się 18 lipca w Goerlitz w teatrze im. Gerharta Hauptmanna. Reżyserował Georg Leopold, w rolach głównych wystąpili G. H. Lange, Jutta Pfau, Werner Buttler i J. H. Teska. Sztuka została przychylnie przyjęta przez publiczność i krytykę niemiecką. Teatr im. Hauptmanna w roku ubiegłym wystawił „Halkę" Stanisława Moniuszki (z udziałem Z. Górzyńskiego); polityczną komedię Pomianowskiego i Wolin wystawiono na zamknięcie roku jubileuszowego teatru, założonego w 1852 roku. Prasa niemiecka zgodnie podkreśla celność zarówno sztuki jak spektaklu.



HORACY SAFRIN

rys. Maja Berezowska

Tenor

Widząc, że entuzjazmu na sali nie budzi,
tenor rzekł: „Cóż po ludziach, czym śpiewak dla ludzi?"
(Idąc zasię w Konrada natchnionego ślady
rację miał, bowiem śpiewem swoim zszedł na... „Dziady").

Na pewnego krytyka



Znienawidziwszy to wszystko, co nowe,
zamknięty w czterech ścianach swojej klitki,
do późnej nocy suszy sobie głowę,
by suchej na nas nie zostawić nitki.

Kochanowski XX wieku

Liryk, gdy mu zrobiono zarzut beztalencia,
widząc gmach przyszłej sławy walący się w gruzy —
„Sobie śpiewam a Muzom..." — rzekł pełen przejęcia.
Biedne Muzy!

O pewnym byłym aktorze



Choć lowelas na scenie (a i poza sceną),
poniósł fiasko sromotne w flircie z Melpomeną.

O autorze deklaratywnych wierszy

Szablon w formie, patos w słowie,
aktualna bufonada,
a w tych wierszach „o budowie"
każda zwrotka się rozpada...

O pewnej młodej aktorce



Na widok recenzenta słodką minkę stroi.
Chociaż cnotą nie grzeszy, krytyk się nie boi.

Do autora po premierze jego sztuki

Gdyś o zdanie mnie pytał, rzekłem: „Wyznam szczerze,
że oka nie zmrużyłem — w tę noc, po premierze!"
— Takich wrażeń doznałeś? — „Wprost przeciwnie, bracie.
Tak smacznie się wyspałem na twoim dramacie..."



JAN CZARNY *rys. Henryk Tomaszewski*

Zachodnioeuropejskie przysłowie



Gość w dom
Go home!

Bardzo proste

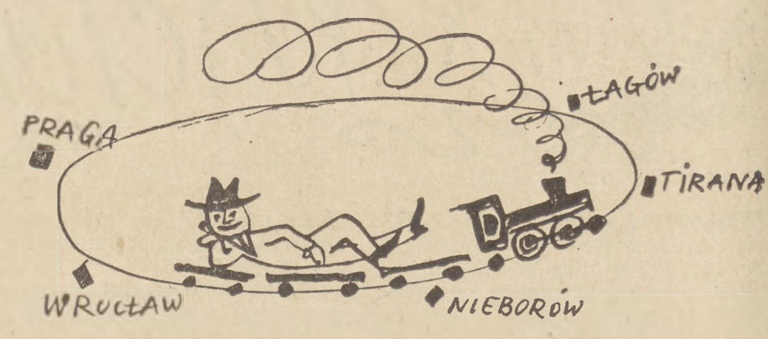
Pewien grafoman w pewnym piśmie
Drukuje utwór za utworem.
Jak on to robi? — Oczywiście,
jest tego pisma redaktorem.

Brakoróbb



W tkalni, w gazecie i w hucie,
O jakość bijemy się wszędzie,
A on starą piosenkę nuci:
— Jakoś-ć to będzie...

To sława...



To sława literacka. Pierwszy mu się kłaniam.
Ciągle jeździ na zjazdy i na konferencje.
Napisał protokółów kilka na zebraniach.
I co więcej? Nikt nie wie, co więcej.

O Iksie

Znany satyryk i również liryk,
Rymy kojarzy prześliczne...
Wielu ma wrogów. Czy za satyry?
Nie. Za utwory liryczne.

Pchła



Niedawno rzecz się taka zdarzyła,
Że panią Ridgway pchła ukąsiła,
Paluszkiem błądząc pod spódniczką
— Przestań... szeptała — Sojuszniczko...

PYTANIE?

Może mi ktoś mądry powie,
Czemu to wnoszą taki zamęt
Dwie rzeczy służące porządkowi:
Remont, remanent.

JÓZEF PRUTKOWSKI

SYNEK MA KATAR

PARODIE

...Schemat powieści nie jest zły, źle jest tylko, że cała powieść jest schematem. Czytelnik nie wie, co robili bohaterowie między dwiema naradami wytwórczymi. A może Iwanow jest żonaty? — A może zachorował synek towarzysza ze stolicy? Życie ludzkie jest skomplikowane i kiedy pozbawia się ludzi pełni życia, to wydają się oni czytelnikowi papierowymi, czytelnik nie wierzy ani w ich wynalazki, ani w wątpliwości, ani w ich pracę..."

Ilia Erenburg „Pisarz i życie".

WIKTOR WOROSZYLSKI:

Precz!

Zamilknij pieśni słowicza
Ja
piszę
dla prostych ludzi
Widać z mojego oblicza
Że mnie ta poezja nie nudzi
Precz bakterie z organizmu!
Chorego synka diabli nie biorą!
Musi kipieć tężyzna!
Daję wam słowo honoru!

GRZEGORZ LASOTA

Uwagi o „Preczu"

Ilia Erenburg, Pablo Neruda, Wiktor Woroszylski, Jorge Amado potrafią tchnąć w swoje dzieło nurt ożywczego realizmu. Nurt ten można wyłowić przede wszystkim z wiersza Woroszylskiego „Precz", w którym rola zakatarzonego synka wybija się i dominuje. Tego rodzaju poezja, taka właśnie dyscyplina pracy pomoże nam jeszcze niejednokrotnie w walce z katarem.

KAZIMIERZ NIEWIELKI:

Do Zarz. Gł. Zw. Lit. Pol.

W związku z chorobą syna proszę o bezzwrotną pożyczkę w wysokości 1.000 zł. Jestem w ciężkich warunkach, ponieważ pracuję nad wielkim dziełem „Czy naprawdę między Eufratem i Tygrysem był raj i dlaczego".

PS. Proszę o łaskawe umorzenie dotychczasowych moich pożyczek.

JOSE PROUTHCOVSKEE:

Masz wysięk z nosa?

PRZEKŁAD ZE SZWAJCARSKIEGO EWY FISZER:

Palec uderzony młotkiem pchasz między drzwi.
Drzwi skrzypią w języku Indii jak stary młyn,
Ni stąd ni zowąd mdli:
Chory syn.
Wieża z kości słoniowej, tak zwana Babel,
I pomieszanych języków pogmatwany głos
W języku starobiblijnym nadaje Ain i Kabel:
Masz katar? Utrzyj nos!

JAN BRZECHWA:

Pretensja

Zakatarzony syneczek nie czyta moich książeczek
Ach, jaki grymas usteczek ma ten syneczek.
Niech chory syneczek czyta bajeczki: w Słupsku,
W Mdlinie i Pełnie książka dziecinne wygna choróbsko.
Niech trzyma Kaczkę — dziwaczkę w pulchniutkich rączkach
Niech mnie urośnie nakładzik, a jemu — spadnie gorączka!

KAROL SZPALSKI:

Utwór tekstowy

Raz obiecałem pewnej ciotce
Że jej napiszę o kwoczce — dewotce *)
O sowie — niemowie,
O kurce — bzdurce,
O kogucie — bałamucie,
O gęsi — co się trzęsie,
O sarence — nieboręce,
O żółwiu — co się śpieszył
Pieszo do swych pieleszy,
By chory synek się cieszył...
— Lecz synek się wcale nie cieszy.

* Jeśli do tego problemu się zbliżyć,
To można z tego nawet nieźle wyżyć.

JAN ROJEWSKI:

Mamin synek ma katar

(Scenariusz filmowy).

Statek płynie po Bałtyku (Zbliżenie morza). Chłopcy śpiewają. *(Bałtyk przerobić! Jednemu koledze z ZMP nie podobał się — przyp. reż.)* Na statku chory klasowy mamin synek. Zbliża się konflikt (zbliżenie konfliktu) w tym momencie, morze, bałwany, chłopcy śpiewają. A oto pozytywny bohater. Zamierza... (widać zamiar) niestety, zagłuszył go śpiew chłopców i łomot żagli. Aby nie nużyć widza, okręt płynie, ale już Bałtyku nie widać. Ale zaraz coś się stanie! Publiczność nawet nie spodziewa się tego, tylko autor wie i czeka z zapartym tchem. Na szczęście chłopcy śpiewają przezwyciężając bohatersko chrypkę i katar *(nareszcie zdrowy konflikt nieantagonistyczny! przyp. reż.)* Statek płynie po Bałtyku *(kolega z ZMP w końcu zgodził się).* Dzięki temu nic się nie dzieje i dopiero na samym końcu sensacja: statek płynie, chłopcy śpiewają... Zbliżenie. Potem — oddalenie (od publiczności).

J. LITWINIUK:

Ja

Abecadło
z pieca spadło,
Rozsypało
w schodki głoski
Ale nawet
dziecko zgadło
Że nie jestem
Majakowski,

JAN MARIA GISGES:

Zawiadomienie

Zebranie połączonych sekcji w sprawie dyskusji nad „Zakatarzonym synkiem" odbędzie się w sali Związku o godz. 19-ej. Obecność członków obowiązkowa!

Redaguje Zespół. Adres redakcji: Warszawa, ul. Wiejska 14, I piętro tel 4-01-80 wewn 95 oraz bezpośredni 7-36 23 Adres administracji: W-wa ul Wiejska 12 tel 7-52-50 Wydaje RSW „Prasa".
Prenumerata i kolportaż: P P K. „Ruch" Oddz w Warszawie ul Srebrna 12 tel 804 20 do 25 Warunki prenumeraty: Miesięcznie zł 4.—, kwartalnie zł 12.—, półrocznie zł 24 —, rocznie zł 48 —. Należność za prenumeratę wpłacać do PKO I-15230.
Wpłaty na prenumeratę indywidualną: przyjmują wszystkie urzędy pocztowe oraz listonosze wiejscy powyżej 10 egzemplarzy — ul Chmielna 25 Cena ogłoszeń: 9 zł za 1 cm² Ogłoszenia przyjmuje Biuro Ogłoszeń RSW „Prasa", W-wa, Poznańska 38 konto PKO I-5589 111 tel. 7-38 05 Rękopisów niezamówionych redakcja nie zwraca

Zakłady Drukarskie i Wklęsłodrukowe RSW „Prasa", Warszawa, Marszałkowska 3/5. 3 B-22457